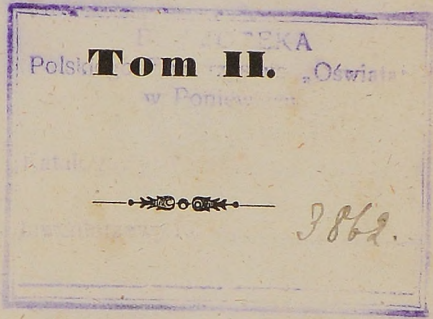


A D A.

SCENY I CHARAKTERY Z ŻYCIA POWSZEDNIEGO.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.



WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1878.

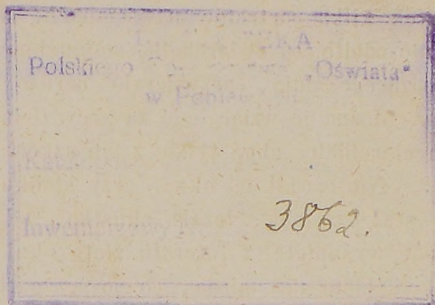
Дозволено Цензурою. — Варшава, 11-го Января
1878 года.



291.946

ВИЛЬНА. Въ Типографіи п. ф. Осипа Звадзкаго.
(Законный переулокъ, N. 149).

1962 Д 1033/6 в



Zmierzchało, światła jeszcze nie podano do salonu, i w mroku ze staroświecka umeblowany pokój spory, który pełnił funkcje salonowe, wydawał się dziwnie. Prędzej na tém zyskiwał niż tracił. Światło padające z za firanek gdzieś z lekka zarysowywało wygodne krzesła, których niekształtne linie ginęły utopione w ciemnościach. Odbijało się ono w dużém zwierciadle na ścianie i dawało mu fantastyczne rozmiary, bo ramy ginęły w mroku.... Koniec szklanego pająka u sufitu świecił resztką szlifowanych szkieł, które go przyozdabiały, a zadanych mu przez czas szczerb widać nie było.... Tak samo łudząco przedstawiały się stare szafeczki i biurka, w których brakło nie jednego bronzu kawałka, i stara berżerka w kątku ze stolczkiem na cienkich nóżkach powyginanych, które pod spodem koszyczek obejmowały.... Na

ostatek kilka portretów na ścianach, na których migotało odbite od zwierciadła słabiuchne światelko uchodzącego dnia, przybierało bardzo uroczysty pozór. Można je wziąć było za arcydzieła Lampich i Bacciarellich, choć tylko z ich szkoły pochodziły.... Nie opodał od okna, przy stoliku, na którym stał dzwonek, leżała chustka, tabakierka i na pół wysunięte z futerału złote okulary — siedziała kobieta nie młoda, co po przygarbieniu poznać było można tylko, strój jej bowiem, bardzo elegancki i wyszukany, mógłby z dala dać ją wziąć za osobę w średnim wieku. Przed nią leżał także rozłożony list z kilku składający się ćwiartek, którego zapewne ciemność doczytać nie dozwalała. Cisza panowała w domu, zegar tylko ukryty gdzieś w tych cieniach, z wolna, metodycznie, nielitościwie, nudząco wystukiwał krok każdy czasu....

Kobieta siedziała zamyślona, niekiedy oglądając się ku drzwiom, jakby się czyjegoś przyjscia spodziewała i doczekać nie mogła.... Spuszczała potém głowę zamyślona i poruszała się niecierpliwie, szepejąc coś sama do siebie.

Upłynęła tak dobra chwila czasu w samotności, aż ze drzwi wiodących w głąb mieszkań, weszła szeleszcząc suknią jedwabną druga kobieta, wysoka, sztywna, chuda, której krok żwawy przekonywał, że była w sile wieku. Rysów jej mrok nie dawał rozróżnić, widać było tylko twarz dłu-

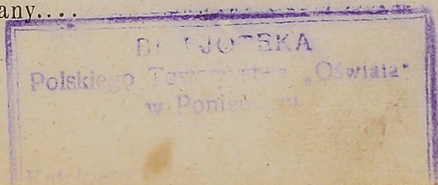
gą, chudą, otoczoną lokami, które nawet po nocy wydawały się przyprawnemi.

— A! cóż to tak, paniuńcię zostawili samą w ciemnościach! — zawołała przyśpieszając chodu. Mój Boże — że też pani nie zadzwoniła!

— Niech-no sobie Mikołaj odpocznie... odezwała się w krześle siedząca... nim pan Karol nadejdzie, będzie dosyć czasu na podanie światła...

Tu przerwawszy nieco, staruszka wnet ciągnęła dalej podnosząc głowę ku przybyłej. Promyk światła z okna padający na jej twarz, dał widzieć głowę uśmiechniętej staruszki, jakąby Denner lubił malować, pomarszczonę a jeszcze zachowującą ślady wielkiej piękności, której lata całkiem zniszczyć nie mogły. Pomimo wieku było wiele życia w tej maseczce ruchawęj, która się porysowała fałdami mnogimi, nadto może śmiejąc się i płacząc na przemiany, a nie umiejąc być spokojną.

Jeszcze i teraz drgały w niej wszystkie muskuły, biegały oczka czarne nie zagasłe i usta się mówiąc sznurowały, aby uśmieszek wdzięcznym uczynić. Siwe loki ładnie ułożone z obu stron twarzy, dobrze jej przystawały... Czarny czepeczek odbijał harmonijnie na srebrnych włosach, i cały strój z niewieściem poczuciem piękna był dobrany...



— Moja Dyakowska kochana — no co też ty mówisz na ten list Hortensyi? Ja jeszcze po nim do siebie przyjść nie mogę. Ktoby się to spodziewał! Piorun z jasnego nieba! Osoba tak przyzwolita, rozumna, energiczna! z takim mocnym postanowieniem niewychodzenia za mąż! Nagle — proszę cię — jeden prosty rumiany chłopak, bez edukacyi, bez imienia... Żeby tak na siebie, na wszelkie względy się zaślepił! Powiadam ci — niepojęta rzecz!

— Czyż paniuńca nie wie, słodziuchnym, zacukrowanym głoskiem, odparła panna Dyakowska — że kochanej pannie Hortensyi czasem się przywiduje....

— Ale — proszę cię! szczegóły! fakta! I to co się ze czcigodnym kanonikiem stało — i te pożegnania — te przyjmowania ojca, nie będące we zwyczaju — ekstraordynaryjne. Nie, tym razem to nie żadna imaginacya — ale istotne niebezpieczeństwo....

— Na to nie ma rady, jeśli to prawda! szepnęła panna Dyakowska.

— O! przepraszam cię — przepraszam! Może się znaleźć rada.... ciągnęła dalej staruszka. Trzeba znać naturę ludzką, to się na to poradzić może....

Ja mam myśl.... myśl doskonałą....

Nie pójdę za radą Hortensyi, ażeby familia miała występować, brać ją w kuratellę, reflektować!!

Toby był sposób jedyny rozgniewać ją i przyspieszyć rozwiązanie. My powinniśmy udawać, że nie wiemy nic — a występować chyba w ostateczności... Na to zawsze czas...

Ja znam pocziwą Adę — ja zawsze się lękałam jakiegoś podobnego końca... *un coup de tête*. Znudziła się, to nie innego tylko nudy, zmęczenie... Chce się zmienić jedną biedę na drugą, bo na świecie tak zawsze, człowiek mienia siekierkę na kijek... a w końcu!!

Staruszka przerwała i żywo poczęła wnet mówić do stojącej i słuchającej z uwagą panny Dyakowskiej:

— Jestem pewna, że gdyby teraz, korzystając z jęj znudzenia, przyzwoity człowiek się trafił, dobrze wychowany, wykształcony... sprytny — wnetby parobczaka swego odepchnęła...

Wielkie dziwo, że sama jedna na wsi, otoczona koczkodanami, przystojnego chłopca sobie wybrała! Ale Ada ma gust i ma rozum, jak tylko mieć będzie w czém zrobić wybór, ręcę ci, głowę daję — da odprawę parobczakowi...

Więc myślą moją jest posłać tam pana Karola...

Panna Dyakowska stała milcząca; nie rychło wyrwało jęj się, nieoznaczonego wyrazu i znaczenia: — Aa!!

— Tak jest, pana Karola — śmiejąc się ze swój myśli szczęśliwój mówiła dalej staruszka — pana Karola!!...

Tylko — naturalnie, Karol zajedzie do kuzynki przypadkiem i zabawi czując się nieco chorym.... Za skutek ręczę.... Karol.... przyznam ci się, że kazałam go dziś prosić, żeby przyszedł *entre chien et loup*, nim moi partnerowie i goście się poschodzą.... I dotąd go nie ma....

Co mówisz? spytała stara.

Panna Dyakowska poprawiała długie loki *a l'anglaise*, nie mówiąc nic, a zapytanie było wywołaniem jój zdania.

— Siadajże, moja Dyakowska, pochylając się ku niój dodała stara — siadaj i mów, ty jesteś *de bon conseil!* ho! ho!

Tęskno jakos zadźwięczał głoszek panny, która siadła po cichu, i ręką chwyciła coś na stoliku bezmyślnie.

— Pani szambelanowa wie, że ja — zawsze nie-miłe prawdy mówię. Takie jest moje nieszczęśliwe usposobienie, taki wzrok kaleki, że zawsze widzę złą stronę tylko, jak niektórzy ludzie co wszystkie kolory widzą szaro.

— Otoż to właśnie naprawia mi czasem moje zdanie, rzekła staruszka, bom ja za nadto zwykła widzieć różowo. Co mówisz?

— A! jeszcze nic — odezwała się Dyakowska, ale powiem coś — niedobrego. Nikt więcj nie ubolewa nad stanem pana Karola nademnie... ale to człowiek zgubiony, na majątku, na zdrowiu, na duchu... Jakaż nadzieja, żeby on przyniósł z sobą szczęście pannie Adzie? To drugi tom nieboszczyka jój ojca...

— A! kochanie, kochanie! co też ty gadasz, moja Dyakosiu! przerwała uderzając w stoliczek stara, aż okulary upadły, które podniosła panna. Nie ma między nimi najmniejszego podobieństwa! Nieboszczyk Pretwicz był prosty rozpustnik, najmilszy w świecie bałamut, zepsuty do szpiku... lekkomyślny,— bez głowy, bez dowcipu, bez nauki, a Karol...

— A pan Karol ma naukę, dowcip, rozum — prawda paniuńciu, ale nie ma statku... w nic nie wierzy, z siebie i z ludzi i z cnoty i z honoru i ze wszystkiego się śmieje... Jest to chodzące widmo, człowiek co się przeżył! zawołała Dyakowska.

— O! ty moja, rozumna! przerozumna główko! Jak to ty umiesz charakteryzować! rozśmiała się stara. No, dajmy na to, wszystko jak mówisz. Czego temu człowiekowi brak? Woli. Niech się ożeni z taką kobietą energiczną jak Ada, ona z niego zrobi, z tego, jak ty mówisz widma i upióra, żywego i — zobaczysz jakiego człowieka!

—Tak — mogłoby to być — ale mogłoby też być, że pan Karolby nie uległ, i że oboje byliby najszczęśliwsi.... i mogłoby być, że onby opanował żonę nie ona jego.... Naostatek czy pani myśli, że on się Jój potrafi podobać....

— Potrafi!! — zawołała staruszka — o! co za to, to ręczę.... Ona go widziała tylko raz, pobieżnie, dawno i uczynił na nią wrażenie.... Ale naówczas Karolowi co innego było w głowie — teraz....

— Tak — teraz szepnęła panna Dyakowska — zrobi co mu kto podyktuje, bo już sam nie wie co ma robić....

Gdy panna domawiała tych wyrazów, przez nieszczelne drzwi pokazała się najprzód w salonie smuga ostrego światła, zapowiadająca, że lampy niesiono, potem lokaj jeden otworzył je, a drugi w dwu rękach wniósł ostrożnie dwie lampy z zielonemi daszkami. Światło, które z nimi weszło do salonu, cały mu jego wdzięk o mroku odebrało.... Był zwiędły, wyszarzany i świecił tylko resztkami dawnych dostatków.... Krzesła okrutnie wysiedziane, kanapa spłowieła, ramy zwierciadeł i obrazów poczerniałe były — smutek starości wiał z każdego kątką. Śmiała się jedna tu twarz ożywiona staruszki.... a naprzeciw niej siedząca panna Dyakowska, blada, przekwitła piękność, chwytiała za serce wyrazem bólu, jaki się w całym jój obliczu malował.

Gdy słudzy weszli — przestano mówić. Lampy stanęły na stoliku i kolumnie w kątku, a w rogu salonu ukazał się zielony stolik do gry, na którym już dawniej położone czekały dwie talie kart nierozpieczętowane i marki na miseczkach. Stolik ten, ilekroć się gra skończyła, zaopatrywano na nowo, a kamerdyner, który dochód z kart miał przekazany, pilnował, aby zawsze świeże były.

Służący wyszli — a staruszka, która miała czas pomyśleć — cicho się odezwała:

— Bądź co bądź, z Karolem pomówię. Ma się co stać, niech przynajmniej ktoś z rodziny skorzysta...

Jakby na zawołanie chód się dał słyszeć w przedpokoju. I z chodu można poznać człowieka... Ktoś ten przybywał z wolna, jakby mu wcale nie było pilno, jakby rad był nie przyjść wcale — stanął w przedpokoju i stał nadto długo — czy rozmawiał z kamerdynerem, czy włosy zaczesywał przed zwierciadłem, czy pył otrzepywał z sukni... Staruszka niecierpliwie na drzwi patrzyła, a te się otworzyć nie mogły... Szedł ten ktoś znów nie śpiesząc, rękę już położył na klamce i drzwi nie miał ochoty czy siły odemknąć — naostatek uchylił je, i majestatycznie wtoczył się znudzonym jakimś posuwistym chodem, do salonu. Stał przed staruszką, skłonił się, coś poprawił w ubra-

niu, przypomniał ukłon pannie Dyakowskiej — i pozostał tak — czekając na to co mu powie starszka, która z wyrazem żywego zajęcia podniosła oczy i głowę ku niemu...

Słówko tylko o tym przychodniu. Był to oczekiwany pan Karol, mężczyzna mogący mieć lat około trzydziestu, wyglądający staro choć był młody — ale zmieniający się łatwo, tak, że jednej godziny bywał naprzemiany i młodym i niemal zgrzybiałym. Czynił wrażenie pięknej, kosztownej chustki jedwabnej, którąby ręka jakaś złośliwa zmieła, potargała, zszyfonowała bez litości. Bardzo piękny mężczyzna, miał twarz rozumem promieniącą, ale widać było, że ten rozum w nim chodził jak sprężyna w zegarze, której nie wstrzymuje... Zegar ten potrzebował gwałtownie zegarmistrza.

Jak młodość i starość, tak w obliczu pana Karola były wszelkie możebne wyrazy smutku, radości, gniewu, szyderstwa, obojętności pomieszane z sobą. Powiecie, że to jest niepodobieństwem? Było to coś nieustannie mieniaącego się, drgającego, niestałego... dziwaczного... Oczy się śmiały, a usta płakały i na przemiany... Zdawało się to męczyć — miał postawę znużonego i znużonego. Ubranie na nim świeże było, a już obejściem się z nié m zniszczone, — strój niestaránnie włożony. Krawat uciekał w lewo, kamizelka roz-

pięła się nad miarę, z rękawów od koszuli jeden się schował, drugi wyglądał. Na butach lakierowanych były ślady przyschłego błota, z kieszeni wywieszona groziła wypadnięciem chustka. Litość obudzała ta postać zaniedbana jakby z desperacji... czy z zubożenia na wszystko... Oczywiście potoczył po saloniku i zwrócił je na starszkę...

— Co mi babcia każe? odezwał się głosem, w którym czuć było ziewanie. Prawda? stawilem się na godzinę?

— Prawie! odparła starszka.

Pan Karol dobył z wolna zegarek z kieszeni, popatrzał nań, przyłożył do ucha i chowając go nazad, rzekł flegmatycznie.

— Zapomniałem nakręcić...

W téj chwili panna Dyakowska wstała, i nie mówiąc, parę krzeseł ustawiwszy na swych miejscach, wysunęła się z salonu. Starszka wskazała siedzenie panu Karolowi.

— Kazałam cię prosić, bo mam pomówić o bardzo, bardzo ważnej sprawie. Gdybyś ty mnie tylko słuchać raczył, nie myśląc o czém inném.

Rozśmiał się siadając pan Karol, wygodnie usadowił, kapelusz wziął w ręce obie i rzekł:

— No, cóż babunia powie? Założę się, że znowu nieszczęśliwego rozbitka swatać będzie!

Uśmiech żartobliwy przebiegł po ustach szambelanowej...

— O! ty! ty! domyślny człecze! szepnęła... A gdyby i tak było! Dziś mam coś ekstraordynaryjnego, a jeśli pan Karol zechce i weźmie to seryo...

— To się ożeni, babciu! dokończył Karol. Tak— to rzecz wiadoma! A potem... Żona nieszczęśliwa będzie, on ditto... Poważnią się, rozejdą i będą znowu świat przeklinali i ludzi!

— To bo nieszczęście, że ty nie masz wiary w nie i do niczego ochoty! westchnęła szambelanowa.

— Największa w świecie prawda babciu — rzekł pan Karol zimno, — tak dalece, że nawet w łeb sobie strzelić nie potrafię...

— E! nie plotłbyś — mówmy seryo...

— Słucham, zawsze to rozerwie na chwilę...
dodał Karol.

— Połóż najprzód kapelusz, potem weź ten list i przeczytaj go sam, bo mnie oczy bolą, — gdy go skończysz, będziemy mówili...

Podawała mu list, który on wziął do rąk.

— O! o! trzy ćwiartki! słowo daję.

— Szeroko pisane.

— Charakter panny Hortensyi.

— Ale przeczytaj.

— Cóż to być może? szepnął Karol, i poszedł ku lampie...

Gdy oczy jego przebiegać zaczęły pismo, starszka wlepiła w niego ciekawe, badające wejrzenie, jakby wrażenie, które list robi, odgadnąć chciała. Na twarzy pana Karola nie odbiło się nic. Czytał żywo przerzucając kartki, czytał długo dosyć, doszedł do końca, odwrócił się do starszki i spytał jój:

— Zatem? co? Nie rozumiem.

— Jakże ty rozumny człowiecze nie rozumiesz tego, że Ada się nudzi, że bierze pierwszego z brzegu, bo nie ma wyboru — i tego, że gdybyś ty tam był, łatwobyś odsadził chłopaka.... a....

— A! a! i ożenił się z Adą!

Pan Karol począł się śmiać, śmiał i śmiejąc padł na krzeselko, nie mogąc się pohamować. Szambelanowa patrzyła nań urażona razem i zmartwiona....

— Cóż tak śmiesznego?

— Babciu kochana! W najszcześniejszym nawet razie, o! cóżbyto było za małżeństwo! Onaby ze mnie lokaja zrobiła, a jabym uciekł z pod jój feruły piechotą....

— Wszystko to ci się tak zdaje! Ty potrzebujesz kogoś coby tobą kierował, ja ci to szczerze i otwarcie mówię, a to jest jedyna kobieta, któ-

rójbyś panowania nad sobą nie potrzebował się wstydzć.

Spoważniał pan Karol.

— Słuchaj! gusta macie jedne. Ona lubi sztukę, ty przecie i malujesz i z gliny lepisz; ona czytać lubi, tyś wszystko przeczytał co tylko mogłeś; ona lubi muzykę, tyś znawca i wirtuoz... — Będziecie mogli bredzić o filozofii, o astronomii, nie wiem tam o czém, bo ty to wszystko umiesz.

— Nie, babciu — ja tego wszystkiego liznąłem, pokosztowałem i wyplunałem. Na prawdę umiem mało, leniuch ze mnie... odezwał się Karol. Zdaje mi się, że nawet w tych rzeczach pannie Adzie bym nie sprostął... bo ona na seryo, słyszę, uczona...

— Ach! na seryo! to dla niej są rozrywki! Biedna śmiertelnie się nudzi! Nie chciała dotąd iść za mąż, wiesz z jakiego powodu... zmieniła zdanie... Ty jeden mógłbyś z tego korzystać...

— Nie — odparł pan Karol. Babcia po staroświecku wierzysz w to, że charaktery podobne najlepiej się z sobą godzą. Największy fałsz w świecie. Właśnie najsprzeczniesze się pociągają. Pannie Adzie trzeba takiego naiwnego chłopaka... a mnie...

— Pleciesz — przerwała szambelanowa. Ale — słuchajże — cóż ci to szkodzi jaki tydzień spędzić

w Ruszkowie? Spróbuj. Nie — to nie.... Czemuż nie spróbować. A! a gdybyś mnie chciał słuchać?

— Pojechać do Ruszkowa! dla czegoż nie! z najmilszą chęcią, babciu kochana. Pojadę, posiedzę nawet dopóki mnie nie wypędzą, albo się sam nie znudzę.... Tylko....

Pan Karol jedną ręką na drugiej pokazał jakby liczył pieniądze i ruszył ramionami. Szambelanova się skrzywiła.

— A, na to ja ci nie poradzę, rzekła — znasz moje położenie, jestem biedna dożywotniczka.... ledwie się schodzą końce.... Nawykłam do wygódek....

— Nie, babciu kochana — toby wszystko niczém było — ale....

Odwrócił się ku zielonemu stolikowi, staruszka się rozśmiała.

— Niepocziwy, będziesz ty mi to wypominał! Toć jedyna moja rozrywka.... a ogrywają mnie, to prawda....

— Stary generał.... rzekł Karol.... podgląda w karty, szachruje — radca.... liczy nie wiedzieć po jakimu, — nie rękę i za hrabięgo....

— Ten się zgrywa regularnie....

— Wie, babcia — na tój grze podobno generał i kamerdyner cioci wychodzi najlepiej....

— No — ja ci dać na drogę nie mogę, ale — nie maszże sposobu? spytała babcia. Bo tak mi się

chce ciebie koniecznie tam wyprawić, tém bardziej, że ów — parobczak, jak go zowie Hortensya, właśnie na Ś-ty Piotr do ojca pojechał, i miał czas jakiś zabawić.

— Rozerwałbym się — odparł Karol — w mieście ku latu nudy plekielne... Nikogo nie ma oprócz pocziwego proletaryatu, który śmieszny jest jak maryonетки — ale na długą metę!

Skrzywił usta.

— Nie maszże przyjaciela, coby ci pożyczył?

— A! babciu droga! przyjaciół do ostatniom wypompował — *à blanc* — nie ma co o nich mówić. Nieprzyjaciele nawet już są zużytkowani... Słowem nie mam się gdzie obrócić.

— Żebyś na parę set rubli kredytu nie miał!! Cóż znowu!...

— Ani na parę set złotych! zawołał Karol.

— Ale w mieście żyjesz, toż i to przecie kosztuje? spytała babka.

— A! to jest zupełnie co innego, rzekł pan Karol. Kredyt żywego grosza, o tém ani myśleć, ale kredyt jadła, napoju, sukni... o! tego mi na długiego stanie. Najprzód jestem z tymi panami w największej w świecie przyjaźni, *amis cochons!* Gdy mi są potrzebni, łechcę ich miłość własną, i ten środek nigdy nie chybi. Potém człowiek, któremu grubo winienem, lęka się zerwać ze mną, abym go nie porzucił i nie — świsnął. Babciu — co się

tycze życia w mieście, teorię i praktykę doprowadziłem do prawdziwego mistrzostwa — na niczém mi nie zbywa — ale pieniędzy.... Nawet *argent de poche*....

Zamilkł....

— Gdybym mogła, pożyczylabym ci, to jest dałabym — odezwała się szambelanowa — ale.... nie mam. Jak myślisz, ileby ci potrzeba?

Jak iskrą elektryczną tém pytaniem ożywiony, drgnął pan Karol.

— Ale ba! rzekł — otoż to, że wiele. Pojechać tam i wydać się z tém, żem zrujnowany, kawaler *de bona fortuna*, to się na nic nie zdało. Z dala tak ja zawsze mogę uchodzić za dziedzica Zawiechowa i Tataraki *cum attinentiis*, choć w Zawiechowie Żyd gospodaruje, a Tatarkę mi zasekwestrowano.... Kto tam o tém wie!....

— No — ale przecież? — spytała stara — jak ci się zdaje? ile?

Pan Karol pomyślał.

— Podróż pocztą.... mała rzecz, ale na miejscu służba.... wydatki nieprzewidziane.... Dom za-
możny. To i owoby się kupić musiało na drogę.... Parę tysięcy złotych w kieszeni mieć, to już nie-
uchronne, nieodbite....

Staruszka się wzięła za głowę.

— Zmituj się!

Gdy się ta narada toczyła i szambelanowa rzecz może miała jakieś słowo stanowcze, drzwi szeroko się otwarły, i codzienny gość do wiścika, wszedł generał — siwy, piękny, słusznego wzrostu mężczyzna, w złotych okularach, ze wstążeczkami u fraka, z miną wesołą i ruchami nader wyszukanymi....

— Pani szambelanowej dobrodziejki nóżki całuję!.... Jakże zdrowieczko?...

Pana Karola dobrodzieja....

I śmiał się — nie wiedząc czego....

Jeszcze mu na pytanie czasu nie miano odpowiedzieć, gdy drugi partner, radca, niskiego wzrostu, z dużymi bakenbardami, łysy, sapiący, namarszczony wtoczył się do salonu. Była to *hora canonica*, o której się gra wieczorna zwykła była poczynać, a moc nałogu była taka, że szambelanowa, zapomniawszy już Karola, zadzwoniła o świece.... bo ostatni partner, hrabia musiał nadejść lada chwila. Nigdy nie chybiał....

Kamerdyner, dla którego głos dzwonka był zrozumiały, wprost już do świec poszedł, a radca za ledwie się przywitawszy, pociągnął do tego kąta, w którym tak miłe spędzał godziny. Szambelanowa nie potrzebując pomocy, wstała z krzesła, wyprostowała się nieco, i także zmierzała już ku zielonemu stolikowi, gdy hrabia się ukazał.

Ten czuł, że się opóźnił, pośpiesznym krokiem podszedł — niespokojny czy go kto nie ubiegł. Mężczyzna był niemłody, siwy, z ruchami gorączkowymi, poznać po nim było łatwo, że się przy kratkach klócić musiał, a z surowego wyrazu, że grę brał bardzo seryo.... Zaledwie się przywitawszy, dążył na miejsce....

— O małym się nie spóźnił, rzekł — ale teraz wszystkie zegary powaryowały! Nie ma ani zegarmistrzów, ani porządku.... tandeta.... ludzie — rzeczy — wszystko tandeta.

— Siadajmy, nie ma co tracić czasu — odezwał się generał, który już karty z zawinięcia dobywał, tasował i pilno mu było rozebrać je, aby wiedzieć gdzie siądzie. Miejsca przy stoliku tygodniami, miesiącami były jedne fatalne, drugie szczęśliwe.... dobijano się o niektóre — krzywiono się na inne.... Z chciwością każdy spójrzył na wybraną kartę — pani szambelanowa, prawem gospodyni i niewiasty, pierwsza sobie miejsce wybrała. Ale nim siadła, skinęła na Karola, który stał zadumany, i szepnęła mu do ucha:

— Przyjdź-no jutro....

Właśnie w tym momencie panna Dyakowska wsunęła się z drugiego pokoju, gdyż miała się zająć herbatą, do której współcześnie na dalszym stoliku czyniono przygotowania.

Pan Karol rzucił na nią okiem, które spotkało wejrzenie na niego skierowane, i zbliżył się poufale do panny, jak do staréj dobréj znajoméj.

W oczach panny Dyakowskiéj malowało się chłodne jakieś politowanie....

— Czy pani i mnie da herbaty, jeżeli na nią zostanie?— spytał Karol.

— Mogę to uczynić — odezwała się panna, — chociaż wątpię, aby panu nasza herbata smakowała....

— Dla czego?....

— Pan z pewnością do innéj przywykłeś.

— Być może, ale teraz odwykam od wielu rzeczy — rzekł Karol — pani to wiadomo.... Moje zapusty skończone, posypałem głowę popiołem i post zacząłem....

— Gdyby pokutę — wtrąciła panna....

— Nie, szanowna pani, dodał śmiejąc się weselej: gdyby nawet pokutę, nie pomoże mi nic. Sam wiem, że jestem zgubiony....

Tu pochylił się ku pannie Dyakowskiéj.

— Pani wiesz o projekcie? bo jakżeby babcia przed panią sekret miała? Oryginalny — podoba mi się dla tego, że i dobrego serca babci dowodzi, i jest.... do niczego niepodobny!! Ja lubiłem zawsze grać i stawić....

— Staw pan.... rzekła panna zajmując się herbatą.

— Ba! nie mam już nawet na kartę.... a babcia.... przy najlepszych chęciach....

— A! ani myśleć, najlepiej znam stan kassy szambelanowej, bo ją trzymam; o tém nie ma co i myśleć.... Ale—dodała śmiejąc się dziwnie, szydersko jakoś panna Dyakowska—ukłoń mi się pan pięknie, uśmiechniej—a ja — może sposób znajdę....

To mówiąc spójrzała nań oczyma, w których była i litość, i nie wiem jakie jeszcze uczucie. Pan Karol drgnął i cofnął się nieco.

— Jakiż sposób? spytał....

— Ile panu potrzeba?

Zawahał się z odpowiedzią—jakby mu teraz dopiero się wstyd zrobiło....

— A! co tam! rzekł....

— Ja panu pożyczę moich własnych — chłodno rzekła panna.

— Tak, tylko trzeba, byś pańi wiedziała, że ja nigdy nie oddaję—rozśmiał się w żart to obracając Karol.

— Zdaje mi się, iż mnie pan nie posądzasz, aby to było dla mnie tajemnicą — obojętnie odrzekła panna Dyakowska....

Karol zmieszał się jakoś; mimo całego cynizmu, do którego przywykł, w téj chwili przykro mu się zrobiło. Traktowany był jak żebrak niemal.... Rumieniec na twarz mu wybiegł i zniknął. Możeby nie czekając na herbatę wysunął się z salonu, gdy-

by mu w tej chwili nie podano filiżanki, przy której siadł mieszając bezmyślnie łyżeczką....

Panna Dyakowska, nie patrząc na niego, roznosiła inne filiżanki, i nie zdawała się uważać jak tego zobojętniałego człowieka dotknęła swą ofiarą.... Pytał się siebie co to być mogło.... próba — zemsta — obelga czy — przyjaźń??

Znał pannę od lat przeszło dziesięciu.... Był czas — że się do niej uśmiechał, że lubił z nią żartować, znajdował ją rozumną i miłą.... Ona od tego czasu pozostała zawsze jednostajna — on miał się czas zmienić wielce.... Smutna ta blada twarz, chłodna, zajmowała go teraz jak jakiś sfinks nieodgadniony....

Dopijał prędko swój herbaty, gdy parę znajomych weszło do salonu, pozdrowić szambelanową, która choć gry nie opuściła, przyjęła ich grzecznie i poczęła o nowiny pytać. Pan Karol korzystał z tego, i niepostrzeżony wymknął się, chociaż w progu spotkał jeszcze wzrok panny, od którego tém prędzej umknął jeszcze. Wydał mu się szyderskim.... Nazajutrz przed dwunastą, posłuszny pan Karol znowu był w tym samym salonie, który po dniu jeszcze się smutniejszy, bardziej zabrukany wydawał. Przez wieczór i noc miał czas dobrze się rozmyślić nad projektem babuni.... Nie przypuszczał nigdy, aby mogła znaleźć się na świecie kobieta rozumna, któraby go sobie za towarzysza żywota

wybrać miała — wyobrazenie o Adzie robił sobie wielkie, nadziei więc najmniejszej — ale — ciekawość go brała.... Nie miał na świecie nic do roboty, oprócz wywijania się wierzytelom, i różnym niewygodnym stosunkom z płcią oboją, w mieście było nudno. Kosztem babci, albo czyimkolwiekładź pojechać na wieś, do domu, w którym wedle wszelkiego prawdopodobieństwa stół musiał być dobry i gawędka przyjemna — uśmiechało mu się.

Ciekawy był i téj Ady, którą raz widział w życiu, a o której dziwy prawiono, i tego jój ulubieńca, i sąsiedztwa....

Wszystko więc mówiło za tą podróżą. Gdy wszedł do salonu, szambelanową zastał u stolika nad marmurem, przypadkowym écarté z hrabią.

Skończono partyę; hrabia, widocznie wprzód ostrzeżony — natychmiast panią pożegnał i oddalił się. Zostali sam na sam.

— Cóż? rozmyśliłeś się?

— Nie było o czém myśleć, babciu. Że ona się we mnie nie zakocha, to rzecz pewna.... Przyznam się, że gdyby się dopuściła takiej niedorzeczności, straciłbym o niej dobrą opinię. Że ja się nie zakocham, to też pewna; gdyż jestem już w téj porze życia, kiedy panny dojrzałe nie czynią na nas wrażenia — ale wyrostki.

Babcia się oburzyła.

— Pleciesz.... paskudny.

— Prawdę mówię — ale — to nie przeszkadza, żebym nie miał pojechać — rzekł Karol. Babcia co wszystko wie, i to wiedzieć powinna, czy panna Ada ma dobrego kucharza....

— Doskonałego! potwierdziła stara, stół ma być wykwinny.

— A zatém — doskonale! jadę, jadę — o to tylko idzie, zkąd dostanę pieniędzy....

Staruszka zakłopotana zrobiła minkę — osobliwą.

— Gdybyś też obiecał — nie — ale bez obietnicy postarał mi się oddać....

— Wie babcia, to nadzwyczaj będzie trudno.... rzekł Karol — ja jestem człowiek otwarty. Zkądże ja i kiedy mogę to zapłacić? Nawet nie mam tego w mojej naturze, ażebym dostawszy pieniądze, długi płacił....

— Bo, bo.... widzisz — szepnęła babcia — to są pieniądze — nie moje....

— Czyjeż? spytał pan Karol.

— Ta poczciwa, dobra moja Dyakowska, złote serce — ona mi sama zaproponowała. Nie ma wiele. Skrzywił się pan Karol.

— Tych pieniędzy ja nie wezmę! zawołał — dziękuję. To być nie może... Jestem utracyzus, lekomyślny.... ale — nie — nie mogę. Sama ta myśl panny Dyakowskiej, która mnie dobrze zna — jest.... jest ja nie wiem.... Nie! to się nie godzi!!

Staruszka zarumieniła się.

— Gdybyś wiedział jak mi o to bardzo idzie, żebyś tam pojechał! Choćby tylko dla przekonania się o prawdziwym stanie rzeczy. Na pisanie Hortensyi spuścić się nie można. Jój się przywiduje.... Kto wie? może ona wcale nie myśli wychodzić za mąż.

Tu spuściła oczy babcia.

— A — gdyby — gdyby — gdyby to była, tak sobie, jakaś przemijająca fantazyja.... proszę cię — co nam do tego!

Rozśmiał się Karol.

— Oczywiście — nie powinniśmy w takim razie przeszkadzać, bo kto z nas, babciu, nie miał fantazyj?

Staruszka go uderzyła chustką po rękach.

— A! ty, ty, niepoczciwy!

— A osoba, która ma fantazyje — dodał Karol — dla familii jest zawsze naówczas czulszą.... Nie prawdaż?

Staruszka zamyśliła się nieco.

— Wiesz co? — No to jedź już z temi pieniędzmi Dyakowskiéj, ja jój dam skrypt na siebie.... i — zapłacę.... Trzeba coś zrobić dla swoich.... Gdyby mnie ten generał tak nie ogrywał!

— A na cóż babcia gra?

— Jak ty się mnie o to pytać możesz? ty? spytała staruszka — ty co znasz co są nałogi i coś połowę majątku puścił w karty?

— Niestety! babciu, dla tego, rzekł z miną poważną Karol, obowiązkiem jest moim nieszczęśliwą dołą moją stawić jako przykład okropny! Teraz młodzi starszych uczyc się obowiązani....

Zaczęła się niby śmiać szambelanowa, i z wolna dobywszy z pod chustki zwitek przygotowany — wcisnęła go do rąk Karolowi. Zawahał się on z początku, wstyd mu się trochę zrobiło.

— Z warunkiem, że pannie Dyakowskiej....

— Dam skrypt, bądź spokojny — odezwała się babcia. A teraz jeszcze warunek odemnie. Jedź mi zaraz. Jeżeli dwa dni zostaniesz w mieście, to stracisz pieniądze....

— A! babciu....

— Daj mi słowo honoru!

— Strasznie wyszarzane.... nie mogę....

— Powiedz, że pojedziesz — jak mnie kochasz....

Karol rękę położył na piersiach.

— Niech się babcia nie obawia. Największą assekuracją jest to, że moim własnym interesem jest wyjechać ztąd. Pyl, nuda i gorąco.... Spotykam się co dzień, a to z krawcem, któremu muszę czapkować, to z szewcem, którego częstuję cygarem.... to z restauratorem, którego przyjacielem być muszę — a tak — wolny jak ptaszek, ulece na tych skrzydłach w światy marzeń i nadziei.... do młodości zgasłej światów.... odrodzić się w powietrzu wonią wsi naszej przejętém! A!....

Mówił to tak pociesznie a seryo, że babcia się serdecznie uśmieła. Nie uważali oboje, iż z za drzwi niekiedy ukazywała się i nikła twarz blada panny Dyakowskiej — jakby ona tam na posłuchach stała.

Karol wstał.

— A zatém kiedy w podróż?

— Po jutrze najnie—za—wo—dniej! uroczycie to przyrzekam... Prosiłbym tylko o tajemnicę, ażeby partnerowie babci o tém nie wiedzieli. Nigdy nie można obrachować, jakie ludzie mają stosunki. Mógłby który z nich co bąknąć, i doszłoby do jednego z tych czujnych opiekunów, którzy radzi są zawsze mnie mieć na oku. Niegrzeczny jaki, mógłby położyć — veto....

— Ale ja nie powiem nikomu w świecie.

— Babcia — wytrzyma?

— Przynajmniej do wyjazdu twojego... który nastąpi po jutrze — tak?

— Tak — pojutrze....

— Czekażże! Na tém nie dosyć — ja dziś, zaraz, muszę list Dyakowskiej podyktować do Hortensyi!

— Babciu! ażeby mnie wzięła w swe szpony!!

— Nie — w opiekę.

— To wychodzi na jedno. Zmiłowania, babciu droga! litości....

— Słuchajże... Nie ominiesz jój bądź co bądź; lepiej więc, aby o tobie wiedziała wcześniej. Bądź pewien, że ci się przyda...

— Niestety! z takim sprzymierzeńcem odezwał się Karol — wyprawy się wyrzec można. Byłem z nią raz przez trzy dni, gdy odwiedzała familię... Kuzynka to nasza, osoba szanowna, ale ja ją liczę — do harpij...

— Jednak widzisz, że gdyby nie ona, nicbyśmy się nie dowiedzieli — i —

— Jaby nie mógł wyjechać — prawda! rzekł Karol ze skruchą.

— Oznajmić panie Hortensyi o przybyciu twojém — koniecznie potrzeba.

Skłonił głowę z rezygnacją pan Karol... i zabierał się do wyjścia...

— Przyjdźże na pożegnanie! zawołała za nim staruszka... koniecznie...

Przechodząc przez przedpokój spotkał pannę Dyakowską, która pozdrowiwszy go z daleka wejrzeniem, skryła się prędko. Karolowi widok jój sprawił niemal wyrzut sumienia — zarumienił się jak student i wyszedł prędko. W progu przyszło mu na myśl cały ten nedorzeczny projekt porzucić... pieniądze odesłać babce, nie pokazywać się więcéj i zostać na bruku, mimo gorąca, pyłu i nudy. Nim doszedł do mieszkania trzy razy zmieniał postanowienie — o cóż chodziło? Szambelanowa miała za

niego zapłacić? A jednak ta podróż kosztem i pieniędzy ubogiej panny Dyakowskiej — upakarzała go dziwnie i humor mu odbierała.

Cały dzień chodził zwarzony — nie swój, a że to usposobienie było mu niezwykajne, przyjaciele i znajomi domyślali się czegoś groźnego... dopytywali go... Karol ruszał ramionami i za podejrzenia się gniewał. Drugi dzień już był do zniesienia łatwiejszy, — ludzie podobni panu Karolowi czują silnie wrażenia, ale ich długo nie zatrzymują w sobie. Pozbywają się wszelkiej zgryzoty, stawiając przeciw niej świeższe wrażenia inne — lub zamordowując ją argumentami, które jak opium u chorych, stoją zawsze w pogotowiu...

Podróż była stanowczo zapowiedziana, służącemu wydano rozkazy, przy drzwiach zamkniętych pakowano tłumoki... Wieczorem poszedł się Karol pożegnać i jak zawsze, zastał szambelanową przegrywającą i zmartwioną, hrabiego klóćącego się o re-nons z radcą, generała zajętego obliczaniem punktów, a pannę Dyakowską robieniem herbaty. Ta się jednak wkrótce wymknęła i nie pokazała więcej.

Gdy robr się skończył, szambelanowa wstała się rozprostować, jak mówiła — i podeszła do Karola.

— Jedziesz?

— Przyszedłem się właśnie pożegnać! rzekł Karol.

— A zatem, po staremu, niech Pan Bóg błogosławi...

Karol się skrzywił.

— Nadto mam o nim dobre wyobrażenie, rzekł, ażebym przypuszczał że w tój sprawie udział brać zechce....

— Pleciesz! syknęła staruszka — wiesz, że ja tego nie lubię.

— Milczę — i żegnam — dodał Karol — bo nie chcę przeszkadzać.... i życzę szczęścia do wista.

Babka go w głowę pocałowała.

— Napisz przynajmniej co się tam dzieć będzie....

— Ja! pisać! zakrzyknął Karol z oburzeniem — a od czegoż panna Hortensya?

Zajrzyjmy raz jeszcze do dziennika panny Ady, która od niejakiego czasu więcej zapisuje papieru niż zwykle.

— «Waham się jeszcze czy jechać? dokąd? czy lato całe i jesień przesiedzieć w Ruszkowie? Doktor mi powiada, że ja żadnych wód nie potrzebuję, tylko ruchu, powietrza i — rozrywki.

«Przedziwny! — Gdyby mi mógł dać receptę na to co dla mnie ma być rozrywką? Wszystko nudzi, a nic nie rozrywa. To nawet co wczoraj było zajmującym, dziś już jest nudnym, co wczoraj smakowało, nazajutrz obrzydliwym się staje.

«Jest-li to w ludzkiej naturze, czy moja jest tak popsuta? Stan to zdrowia czy chorobliwy? O to się doktora pytać próżno.... On bierze za puls i czyta z niego jak krew płynie, a duszy co tę krew popędza, wstrzymuje — co w nią ogień wlewa, co jój życie odbiera — duszy oczy doktora nie widzą.... Na duszne choroby niema lekarstwa....

«Zawszem sądziła, że praca leczy, ale trzeba żeby ona była przymusową, ja jestem nadto rozpieszczoną, abym się do niej przynagliła. Trafiam na trudność, jak płynąca woda na kamienie, ale nie mam siły rozprysnąć się i przeskoczyć progu, wracam nazad, rozlewam się po łące.... i z tego się robi nudne błoto, w którym ja grzęznę....

«Gdyby mnie co do pracy zmusiło?? Wola. Usiłuję ją mieć, potem sobie mówię: — Po co? czy to warto wysilać się, aby zabić godzinę życia, którą się i tak przemęczy....

«Nikomu potrzebna nie jestem — nikt się mną nie interesuje, ja mało kim. Ci ludzie są mi potrzebni jak sprzęty, do których nawykłam — nie więcej. Nie wiem czy kogo tak kocham jak moją Madonę Luiniego....

«Zatém w sztuceby może trzeba szukać ratunku?? Tak, gdybym ja sama artystką być mogła i umiała.... Czuć sztukę, to nie starczy; trzebaby umieć tworzyć — toby cel dało życiu i pochłonęłoby mnie całą.... Za późno! za późno!

«Aby wejść na tę drogę, trzeba było całego zapалу dni pierwszych młodzieńczych — dziś byłabym może jak Oblęcki, który nie wie czy ma paść na kolana przed Angelikiem, czy przed Vernetem — i czy ma malować ideały, czy zabłocone buty.... (Napoléon Delaroche'a).

... «Z nudów poszłam dziś odwiedzić moją dawną garderobianę, pocziwą kochaną Kasię, a dziś leśniczynę Rybacką.... Tak mi jój żal! Było jój u mnie dobrze — dzieliłam się z nią wszystkiém com miała — często nawet myślą moją, którą się z nikim dzielić nie zwykłam.... Miała wszystkie wygody życia — zapewnienie przyszłości.... czego jój brakło? nie wiem. Dziewczyzna rozumna, lubiła czytać, sama się wykształciła niepospolicie. Cieszyłam się nią — przywiązałam się do niój. Jednego poranku przyszła mnie uściskać za kolana.... Oczy miała zapłakane.... Żal jój było mnie opuszczać.... żal — a jednak mówiła, że musi. Najdziwniejsza myśl — chciała wyjść za mąż, wyjść za mąż na to, aby żyć w ubogim domku, na biednej strawie, walcząc z tysięcznymi troskami; dla czego? — bo chciała być ze swoim Stasiem! Pragnęłam przynajmniej zobaczyć tego szczęśliwego człowieka, co mojej Kasi zawrócić tak umiał głowę. Wyobrażałam sobie, że był jój wart.... Opisywała mi go tak idealnie! Kazałam mu przyjść. Co za rozczarowanie!

«Prosty jakiś pocziwy chłopak, który nawet po-

prawnie się wyrazić nie umiał... Kasia stokroć rozumniejsza i uczeńsza od niego, ładna, nie uboga... i rzucała wszystko, aby mu się poświęcić!

«Napróznom ją starała się odwieść od tego poświęcenia — płakała, mdlała — ale chciała mieć swojego Stasia? Nie mogłam wreszcie i nie miałam prawa sprzeciwić się Jój postanowieniu. Wyposażyłam ją — sprawiłam wesele... Parę razy była u mnie; z téj elegantki, jaką była, zrobiła się pospolitą kobieciną — ale — powiada mi, że jest szczęśliwa, choć się na tysiąc kłopotów uskarża... Ze swojego Stasia zawsze jest bardzo kontenta...

«Zaprawdę chciałam choć raz widzieć, jak to ich szczęście wygląda. Chodzę doskonale i z upodobaniem; wzięłam z sobą dwa moje psy podwórzowe, Tyrana i Eyskę, które będąc wezwane do towarzyszenia mi, mało z radości nie poszalały. Gryzły się zasztyje, jakby jeden drugiego chciał odpędzić — i sam tylko zostać na straży. Potém się zaczęły wyścigać — słowem, humor do zazdrości. Państwo Rybaccy mieszkają w lesie — dobry kawałek drogi, ale ja znam okolicę doskonale. Dworek leśniczego nie osobiwie wygląda, ale drzewa szumią w koło.

Nie dochodząc, już widok mnie przerażający uderzył — moja pocziwa Kasia, z zakasanemi rękami, stojąca nad balią i piorąca sama bieliznę. Mój Boże! do tegoż doszło, że to biedactwo musi się zamęczać taką robotą! Poznała mnie z daleka,

krzyknęła, i otarłszy ręce, wybiegła.... Twarz rumiana znowu, oczy śmiejące się — zdrowa, wesoła.... Nie mogłam tego pojąć....

— «Proszę cię, zawołałam — możeż to być, ażebyś ty była zmuszona sama taką robotę podejmować! To okropnie!

— A! pani moja droga, odpowiedziała, więcej ze swawoli niż z potrzeby się to stało.... Człowiek się czémś zająć musi. Mam jedną gospodynię i małe dziewczętko sierotę.... Stara poszła po ziele dla krowy i chlewa, dziewczyninę posłałam po jagody.... a sama stanęłam do balii. Najlepsza bielizna gdy ja sama ją wypiorę....

«Byłam niezmiernie zdumiona. Śmiejąc się, ścieraając ławy i stoły wprowadziła mnie do dworku.... Jedna izba trochę porządniejsza, ale i w téj razem wiktuały, książki, strzelby męża, kołowrotek, pończocha.... krosienka, a na stole deska do prasowania.

Wszystko to posprzątała, aby mnie — wielkiego gościa — przyjąć....

— «Ale Kasiu kochana — rzekłam — ty, coś miała pokoik tak śliczny, caceczko, coś tak lubiła elegancję, jakże ty tu wyżyć możesz w téj prostéj chacie?

— «A! pani droga! odpowiedziała — gdyby nie to, że mi ciebie żal — nigdy nie byłam szczęśliwsza.... Człowiekowi tak mało potrzeba! Mojego często

w domu nie ma, to sobie o nim myślę, to dla niego przygotowuję wszystko, aby miał co lubi, gdy będzie z powrotem... roboty mnóstwo, czas pędzi jak strzała — a wieczorem siadamy i — ani się nagadać... A! mój Stach! mój Stach! żeby pani wiedziała — co to za człowiek... Nie pozorny on to prawda, mówić nawet ładnie nie umie, ale co to za serce... a nawet rozum jaki, choć cicho siedzi i chowa się prawie. A za mnie toby się dał zabić...

— «Spodziewam się — odpowiedziałam, bo tyś się dla niego zabiła...

«Nie dała mi dokończyć.

— «A! co też pani mówi. Czyż mogłam kiedy być szczęśliwsza?

Wtém z drugieój izdebki dał się słyszeć pieskliwy płacz dziecka, Kasia porzuciła mnie i pobiegła... Słyszałam pocałunki i śmiechy, aż za chwilę wyszła jakby tryumfująca, niosąc na ręku rumianego chłopaka, tak brzydkiego jak jój Stach... Koniecznie mi wmówić chciała, całując go, ściskając, że był najśliczniejszy, a ten się odemnie odwracał i bronił, aby mnie w rękę nie pocałować, czego matka wymagała. Oczy się jój iskrzyły, gdy patrzyła na dziecię, pierś drżała, cała była w niem, zapomniała o mnie, o świecie całym... Żal mi się jój zrobiło — litość uczułam w sercu. Biedna, nieszczęśliwa istota!

«Chłopak dał się posadzić na ziemi i zabawić kłębuszkiem włóczki, został bez trwogi ze mną sam, choć ja nie miałam się odwagi do niego przybliżyć. Kasia poszła tymczasem po mleko dla mnie i chleb razowy....

«Jakie u niej wszystko ubogie, proste — czyste wprawdzie — ale biedni być muszą, gdy ich na nic lepszego nie stało. Cóż potem za los być może tego ukochanego dziecka! takie samo życie trosk, ubóstwa i pracy — jestże się czém cieszyć? Gdy wróciła, ośmieliłam się jęj spytać — czy im na czém nie zbywa?...

«Rozśmiała się całując mnie w rękę....

— «Ależ pani widzi! Dostatek mamy dzięki Bogu, że nam drudzy zazdroszczą.... Dwie krowy! proszą pani.... masło i sery sprzedają — ogród doskonały! Wieprzaków parę możemy wykarmić, drobiu trochę jest.... O mój Boże! karaj tak do wieku! Grosika na czarną godzinę powoli się coś zbiera! Com miała z łaski pani sukien, bielizny, wyprawy to mi na całe życie starczy.... czegoż tu już więcej zapragnąć? chyba aby Pan Bóg Stachowi i mnie zdrowie dawał, i żeby się dziecina (bez uroku) chowała szczęśliwie....

«A mówiąc to, była jakby rozpromieniona. Chciała mnie oprowadzać po tém swoim gospodarstwie i dostatkach — ledwie się jęj wymówić mogła.

«Niepojęta rzecz... jak ta Kasia będąc szczęśliwą spowszedniała, zwieśniaczała. Ją dawniej można było choć do salonu wprowadzić, — teraz — praczka! Ale rumiana, śmiejąca się i tak jój z tém dobrze, że to usta zamyka...

«Bardzo była szczęśliwa, że ją odwiedziła; ciągle mnie sama całowała po rękach i chciała chłopca zmusić, ale się uparł, aż się na niego pogniewała. Chłopiec się rozbeczał, musiała go tulić i całować... Patrzałam na to osłupiała... jakbym na świat weszła inny. Metamorfoza Kasi była i jest dla mnie niepojęta...

«Zdaje mi się, że wieśniacza krew jakaś, mimo wykształcenia, odezwała się w niej o swoje prawa — i wróciła do dawnego stanu. Czytałam gdzieś, że z Egiptu przysłani do Paryża na wychowanie młodzi ludzie, choć najświetniejsze tam odebrali wychowanie, gdy do domu powrócą, zapominają wszystkiego i dzieczej. Tak się z moją Kasią stało...

«Jednak opowiadała mi, że wieczorami mężowi czytuje, że się jój Stach ponauczał wierszy na pamięć... Jak to z sobą pogodzić?

«Wszystko zresztą mniej więcej sobie tłómaczę, jednej tylko rzeczy nie mogę... Tak jój było u mnie dobrze, tak swobodnie, wygodnie... a wołała dla tego swego Stacha iść pod ubogą strzechę,

znosić ciężką pracę, jeść chleb razowy... i śmieje się i mówi, że szczęśliwa!! Niepojęta rzecz....

«Jeszcześmy rozmawiały, gdy w podwórzu dało się słyszeć wesołe świstanie. Ktoś wygwizdywał piosenkę.

«Kasia się rzuciła do drzwi, wołając:

— «Mój Stach....

«Świstanie ustało... poszedł się ogarnąć i w krótcie miałam szczęście oglądać tego człowieka....

«Naprawdę się go starała wciągnąć w rozmowę... ledwie umiał usta otworzyć, a taki był śmieszny, bo mu się chłopak napał na ręce, więc stał przedemną piastując go, a dzieciak go za wąsy targał.... nie dawał mu mówić, kazał się całować....

«Nie wiem z jakim uczuciem opuściłam chatę... Zmierzchać zaczynało.... Kasia prawie mi do nóg padała i łzy miała w oczach, poczciwe dziecko! Koniecznie i on i ona chcieli, aby mnie pan Rybacki, wzięwszy strzelbę, choć przez las przeprowadził.

«Naprawdę się wymawiała, że mam psy z sobą, musiałam przyjąć towarzystwo pana leśniczego, który za mną postępował. Przez samą grzeczność musiałam go bawić rozmową. Trudność była wielka; dopiero gdy wpadła na lasy i zaczęła pytać o nie, ożywił się i stał po swojemu wymowny. Kocha się tak w lesie jak w swój żonie; mówi, że

w poluby żyć nie mógł. Powiedziałam mu, aby sobie Kasi dał przeczytać Mickiewicza opis litewskiej puszczy....

«Wróciłam do domu dosyć późno — tak, że już pułkownik był niespokojny, a Hortensya zła.... Nie mi się przecie nie stało....

«Kasia jest dla mnie psychologiczną zagadką, nie rozumiem jój, ani tego jój szczęścia.... Dziwnie — dziwnie! Gdym jój pytała, czy się nie nudzi na téj pustyni? zrobiła wielkie, wielkie oczy....

— «A! proszę pani, abo to ja mam czas się nudzić!!

«Tak — a ja — tyle, tyle mam na to czasu! niestety.... Zapomnijmy o Kasi.

... «O panu Robercie ani słychem.... Pytałam się pułkownika, czy nie miał wiadomości od dawnego kolegi? Odpowiedział mi, że major pisać nie lubi.

«Muszę się przyznać do tego, że mi tego Roberta brak. Jest to rzecz trochę upokarzająca. Są rzeczy niezrozumiałe. Zajmował mnie tą swą naiwnością dziewczęcą, tą pokorą — może sympatją, jaką czuł dla mnie, a która była widoczna....

«Człowiek jest słaby.... wdzięcznym być musi — gdy go kto — kocha....

«Użyłam tylko może niewłaściwego wyrazu, bo on mnie szanuje — no, nie wiem tam co jeszcze, może na to nie ma wyrazu, ale on jest chłodny,

pomiarkowany.... i — oprócz ojca, wątpię by kochał kogo. Ma słuszość, każda miłość to niewola.... A! ta Kasia!... Gdym go żegnała — widziałam wrzuszonym nieco — zmieszany był może.... Ja więcj jeszcze. Zrobiłam bo sobie niepotrzebny nałóg z tego człowieka. Brak mi go wszędzie, pusto, wszyscy mnie niecierpliwą, zdaje mi się, że ciągle czegoś niedostaje w domu.... Gniewam się i przemódz nie mogę....

«Gdy się schwytam na takiej słabości, oburza mnie to.... Jestem pewna, że on tam się w najlepsze bawi z sąsiadkami ojca, i o Ruszkowie, o mnie zupełnie zapomniał. Jakież mam prawo do jego pamięci? chyba jako troskliwa nauczycielka, co mu się starała rozpowijać głowę!....

«A? jestem przekonana, że ten chłopak, w innych życia warunkach, byłby niepośpolitym człowiekiem.... Pojęcie tak cudownie łatwe, — że nie nadto ma przeladowaną głowę myślami cudzemi, czasem mu jego własne przychodzą, którym się zdumiewać trzeba.... Uczy się łatwo — pamięta — i każda go rzecz tak zajmuje, zapala, porywa.... właśnie tak jak trzeba, aby być panem téj rzeczy.

«Pokazało się, że dając mu książki na drogę, przez jakieś niepojęte roztargnienie wsunęła mu Gautier'a Włochy.... Jemu to na nic nie potrzebne, a mnie było niezmiernie. Miałam wielką ochotę napisać do niego kilka słów, aby mi tę książkę

odesłał. Jest tam opis kościoła Ś-go Marka w Wenecyi, który arcydziełem nazwać można. Ale nawet adresu nie mam, a pułkownika o to pytać nie chciałam, mógłby nie wiedzieć co sobie pomyśleć. Przy tém pisać do niego, choćby tych słów kilka—zawszeby to było uderzało. Biedna Hortensya, która mnie tak śledzi, zobaczywszy koperty, byłaby chyba zemdląła ze wzruszenia

«Gniewać mnie zaczyna, ta troskliwa Hortensyi opieka. Co ona sobie myśli? Zdaje się być pewna, że jestem zakochana w Robercie, i że łamiąc wszystkie postanowienia moje, gotowam się wydać za niego!

«A! naówczas padłyby wszystkie nadzieje i rachuby familii, która spodziewa się dziedziczyć po mnie. Takie stare panny zwykle dostają kaszlu i umierają z suchot. A ja wcale dotąd nie kaszlę i do téj romantycznej słabości nie zdaję się mieć usposobienia. Co za szkoda!! takby to im było na rękę....

....«Oblęcki wyprosił u mnie żebym mu pozwoliła malować portret Karusi, z której chce zrobić — myślałam, że pękne ze śmiechu — Madonnę. Pocziwa ta Sensytywa, najmniej idealna z istot, bo jedną tylko świeżość płci ma idealną — Madonną! Trzeba na to Oblęckiego, zakochanego, aby wpaść na myśl podobną. Opierałam się jak mogłam, Karusia także zakrzyknęła, ale jednak jój

to pochlebiło, jego robiło szczęśliwym — zgodziłam się, z warunkiem że posiedzenia odbywać się będą w salonie.

«Oblęcki tedy rozpoczął swą Madonnę. Patrząc na rozpoczętą robotę jego — wydziwić się jój nie mogłam. Ten człowiek ma talent istotny, któremu tylko czegoś, dla mnie nieokreślonego braknie, aby się mógł w pełni objawić.

«Oślupiałam niemal. W istocie zrobił z Karusi Madonnę — podobną do niój, a inną, tę samą a nie-skończenie od Sensytywy idealniejszą. Dobył z tych rysów nieśmiertelny typ, którego one były chybionym wyrazem.

«Cóż z tego? początek jest śliczny, kończąc portret zepsuje go, zropaczy i zniszczy.... Bóg mu dał widzenie piękna, a nie dał siły wypowiedzenia go....

«Wszyscyśmy zdziwieni tym portretem.... Karusia chodzi zamyślona przyglądać mu się, jakby rozumiała, że taką być mogła — a nigdy nie będzie.

«Oblęcki na chwilę szczęśliwy — rozpromieniony. Całował mnie po rękach za to, żem pozwoliła. Powiedziałam mu wręcz: Początek jest śliczny, bądź pan ostrożny, abys dzieła rąk własnych nie zniszczył.... Zostaw lepiej szkic....

«Uparł się kończyć.... Madonna staje się panną Karoliną coraz bardziej....

.... Hortensya chodzi koło mnie, wzdychając nad tém, że od tak dawna nie było u nas kanonika. Udaje przedemną, że nie wie o niczém, chociaż widzę aż nadto z jój oczu, że doskonale jest uwiadomiona. Chce mnie widocznie skłonić do tego, abym upokorzona prosiła o przebaczenie i powołała księdza hrabiego do Ruszkowa. Tego ja nie uczynię: musiałabym się poddać jego władzy. Podzielałam i dzielę wiele przekonań jego, byłam mu posłuszna, gdy o wyższe chodziło cele — lecz zostać niewolnicą ślepa nie mogę. Chcę widzieć gdzie idę, iść o mocy własnej i odpowiadać za uczynki moje przed Bogiem... Zakonnica mnie uczynić chciała, zwalnając tylko od klauzury — nie mam do tego stanu powołania.

„Jeżeli kanonik sam przyjedzie, rozważywszy jak sobie postąpił niewłaściwie — nie powiem słowa, będziemy w zgodzie; lecz o zgodę prosić — nie mogę.

„Hortensya cierpi na jego oddaleniu, był to jój najlepszy powiernik, pewna jestem, że pisuje do niego i donosi mu o wszystkiém. Właśnie ta okoliczność, że ma jednym listem więcej do pisania, powinna ją pogodzić z tym stanem rzeczy. Sądzę, że gdyby nie pisała tych listów, umarłaby biedna. Stało się to dla niej potrzebą, nałogiem, koniecznością... Żyje tą swą korespondencyą.

„Przebaczam jój to wszystko — jest nieszczęśli-

wa, nie ma domu, nie ma bliższej rodziny, — a duszę Jój Bóg dał niespokojną, umysł niecierpliwy. Cierpi.

„Czasem mi dzikie myśli przychodzą, lękam się sama zostać z czasem taką panną Hortensyą... Ale i Kasiąbym być nie chciała.

„Jestże środek między tém dwojgiem??

...„Śmieszna rzecz... Spojrzałam dziś w kalendarz!! Liczyłam dni, które upłynęły od Ś-go Piotra... Robert nie powraca, brak mi go jak szafki w pokoju wziętej do reperacyi przez stolara. Kąt próżny, oczy na nim spoczywać przywykły. Nic — nic więcej — ale brak...

„Śmieszne! tak się do kogoś obcego przyzwyczaić. Gniewam się na siebie. Obiecywał mi powrócić rychło, ale pułkownik mówił mi znowu, że ojciec chce go koniecznie osiedlić w tych Żabliżkach... Dla czego? aby co prędzej zabił w nim młodość i zakuł go w niewolę, aby z niego zrobił najpospolitszą w świecie istotę.

„Ale to się u nich szczęściem nazywa!

„Więc mogłoby tak być, żeby go ojciec tam zatrzymał i nie dał mu tu wrócić wcale? Gniewałabym się. Ta stara szlachta trzyma się zawsze starego systemu despotycznego rozporządzania dziećmi... Tak bywało dawniej: syn stał u progu, póki mu ojciec usiąść przy sobie nie dozwolił, choć miał może siwiejące włosy. Major, jako stary woj-

skowy, musi być skłonny do rozporządzania się jakby jeszcze komenderował batalionem. I biedne dziecko padnie ofiarą tego despotyzmu.

„Ale to być nie może — aby nie wrócił, a jeśli przyjedzie, zbuntuję go trochę... bo mi żal go, będzie zgubiony. Idzie mi o niego samego! Takie zdolności... tyle szczęśliwych usposobień, i wszystko to miałyby pójść marnie, dla tego, aby pozyskać parafiańskie, nudne szczęście z krupnikiem i sztuką mięsa....

„Przypuszczam, że trzy dni był w drodze, że trzy napowrot potrzebował — że cztery zabawił u ojca.... Czyż nie dosyć? Jużby powinien być z powrotem. Może powrócił i nie przyjeżdża?

„Ale zdaje mi się, że to nie może być. Nadto poczciwy chłopak ma dla mnie... szacunku... sympatyj. Ja pierwsza otworzyłam mu oczy na światy myśli, na niebiosa sztuki....

„Byłby niewdzięczny dla nauczycielki....

„Niewdzięczność!... wszak-ci to najnaturalniejsze uczucie, którego się zawsze spodziewać należy. Człowiek, któremu się uczyniło dobrze, mści się za to upokorzenie. Przypomina sobie, że był sam bezsilny, że potrzebował pomocy.... Tak mówią głębcy moralisci, i dla tego — niewdzięczności zawsze się trzeba spodziewać....

....„Oblecki podarł Madonnę, ja to przewidywałam. Chodzi i rozpacza. Od dwóch dni nie poka-

zywał się u stołu. Karusia jest zmieszana i niemal także łzawa...

„Robiłam postrzeżenia nad tą naturą Sensytywy. Widoczna w niej jest potrzeba (słabość — choroba) kochania. Póki był Robert, rzucała nań takie wejrzenia, żem się obawiała, aby się w chłopcu pożar nie zajął — szczęściem jakoś nie widział ich, czy nie zrozumiał. Teraz Oblęcki poruszył czułe jej serce, ma litość nad nim, a to uczucie graniczy już z czulszém jeszcze... Oblęcki się w niej kocha... Trzeba wszelkimi możliwymi sposobami rozerwać to póki pora...

„Mirosław sam nie ma z czego żyć, i nigdy nie będzie czém inném, chyba dobrym restauratorem, gdy u nas nie ma czego restaurować... Karusia, choćbym ją wyposażyła, niewiele mieć może. Oboje w najwyższym stopniu niepraktyczni... jutro głód. Miłość ta nie wytrzyma pierwszej próby ostrzejszej... Przyszłość byłaby okropną. Lecz jakże mam poradzić na to? Odprawić Mirosława — umrze z głodu, lub się biedak zwała; Karusia nie ma domu, jest sierotą, a do klasztoru wstąpić nie chce. Namawiałam ją; mówi, że nie czuje powołania. A! ma powołanie najwidoczniejsze być nieszczęśliwą!! To jej nie minie. Z Oblęckim czy z kim innym, los ten ją spotka, i wszystkie usiłowania moje będą próżne...

„Mówiłam o tém z pułkownikiem. Mój zacny,

godny stary Brandys, ma czasem pomysły, które mu serce dyktuje — zadziwiające.... Gdym mu poufnie się zwierzyła co myślę o Karusi i Oblęckim, rzekł mi:

— „Wie pani co? może się myłę, ale mnie się zdaje, że gdyby Oblęcki miał na sumieniu los ukochanej istoty, gdyby był zmuszony do pracy porządnej i systematycznej — możeby to jedno zwróciło jego fantazyę, a dało talentowi siłę..

Przyznaję się, że to mnie uderzyło, chociaż pułkownik bardzo się mylić może, a ja téj biednej Sensytywy na taką niebezpieczną próbę wystawiłbym nie chciała....

....„Hortensya od dni kilku jest dziwnie jakoś niespokojna, jakby się czegoś spodziewała. Nie umie tego w sobie ukryć.... Chodzi, wygląda przez okna, a gdy jęj pytam, odpowiada:

— „Ale nic — cóżby być mogło?

„Coś jednak jest niechybnie, znam ją dobrze. Spodziewa się kanonika? Coś wie i kryje się z czémś, nie mogę odgadnąć co mi grozi. Nadto jest szczęśliwa, ażeby to nie miał być figiel jakiś dla mnie.

„Tym swym niezwycajnym stanem rozdrażnienia, wprawiła i mnie w jakiś niepokój, który mnie męczy.

„Ma talent prawdziwy, nawet gdy na pozór nie robi, przyprowadzać mnie do niecierpliwości....

....„Pod pozorem książki mi potrzebnej, prosiłam pułkownika, aby posłał się dowiedzieć do Zahajów, czy ten nieszczęsny Robert nie wrócił?

„Cały dzień chodziłam potem jak panna Hortensya, czekając na odpowiedź pułkownika, i śmiałam się sama z siebie.... Po obiedzie zaturkotało, jak dziecko pobiegłam do okna, sądząc, że Robert przybywa. Ekwipaż i konie nieznanome.... jakiś gość z daleka.... Hortensya stała w płomieniach....

„Oznajmiono mi przybycie przejeżdżającego tędy do dóbr swoich kuzyna, pana Karola....

„Widziałam go raz kiedyś — nie pamiętam nawet jakie na mnie wówczas zrobił wrażenie. Słyszałam potem o nim wiele, miał się bardzo rzucać po świecie, tracić, grać, żyć, ale go chwalono jako niezmiernie zdolnego szalawile.

„Nowy więc przedmiot do studyów mi się nastręcza, to przerwie nudy.... *Have!*”

Wieczorem dnia tego o którym powyższy urywek dziennika wspomina, nadjechał pan Karol do Ruszkowa.... Ada wyszła naprzeciw niemu do salonu z tą swobodą, jaka ją zawsze cechowała, przyjmując kuzyna. Jedno spojrzenie na niego, dołączone do tego co dawniej o nim słyszała, starczyło, aby wiedziała już z jakim rodzajem człowieka ma do czynienia....

Pan Karol ani umiał, ani mógł, ani zamierzał być kim innym niż sobą. Nie zmienił ani tonu,

ani sposobu obejścia się. Miał wszystkie możliwe wady, ale kłamać się wzdrygał...

Powitał dosyć oryginalnie.

— Wiem, rzekł, że przybywam za późno i że powinienem był pani złożyć moje uszanowanie albo bardzo od dawna, lub już nie prezentować się wcale.... Tymczasem przemogły okoliczności, chęć poznania pani.... i oto jestem....

— Lepiej późno niż nigdy! odpowiedziała Ada.... Karol się rozśmiał.

— Gdyby to prawda była.... ale zdaje się być przeciwnie, w razach wielu....

Spytała się go piękna gospodyni, czy daleko ma do tych dóbr, do których jechał? Pan Karol się zmieszał nieco, ale że istotnie majątek gdzieś miał zasekwestrowany o mil dwanaście — przyznał się do jego położenia.... Był nawet tak otwarty, że od razu powiedział, iż go jedzie od wierzycieli ratować. Ta szczerłość stała się w tym razie niezręcznością. Adzie na myśl przyszło, że kuzynek przybył może w celu wezwania jój kapitałów na ratunek. Udała, że nie dosłyszała, ale to zrobiło złe wrażenie.

Pan Karol tak był wesół, iż je wkrótce rozproszył. Poszedł się przywitać z panną Hortensyą, zaprezentował się Sensytywie i zapoznał z przybyłym pułkownikiem. Ruszków mu się podobał niezmiernie.

— We wszystkim tu — odezwał się — czuć widać artystkę... Pani nią być musisz... Słyszałem o tém — ale na miejscu przekonywam się, że mówiono za mało...

— A pan lubisz sztukę? spytała Ada.

— A! pani, zawołał Karol — jak do innych rzeczy tak i do niej, mimo wielkiej miłości szczęścia nie miałem... Jestem niedoszłym malarzem, skonfundowanym rzeźbiarzem... a całe życie i we wszystkim — partaczem...

— Odjęło to panu smak do dzieł artystycznych? czy nie? spytała Ada.

— Bynajmniej — zatrulo mi tylko lubowanie się niemi, bo jak sztylet w serce za każdym dziełem godzi mi w pierś ta myśl: Czemu to nie ty stworzyłeś?

— To egoizm... odezwała się Ada — dosyć żeby piękno istniało — nie idzie o to kto jego twórcą, całej sztuki twórcą jest — ludzkość...

Karol skłonił głowę... Zaintrygował go jakiś obraz, począł mu się przypatrywać. Panna Hortensya tę zbyt naprężoną wysoko rozmowę przerwała zapytaniem, czy pan Karol nie widział kogo z familii?

— Ostatnią widziałem panią szambelanową, która jest w jak najlepszym zdrowiu, gra w wista jak zawsze; na partnerach jój nie zbywa, i prze-

grywa codzien regularnie z nadzieją nigdy się nie spełniająca, odegrania się jutro.

— Ale to życie najszcześniejsze w świecie, odezwiała się Ada, jeśli wist ją zajmuje....

— Ja także utrzymuję, iż szambelanowa jest szczęśliwa.... a jój humor tego dowodzi....

Wrażenie, jakie tego dnia uczynił pan Karol, nie było ani złe, ani dobre.... Wesołe jego opowiadania, ucinki, żarty z samego siebie, wywoływały czasem blady uśmiech na usta gospodyni. Siedziała jednak zamysłona, i po niejakim czasie, dała mu zabawiać pannę Hortensyę, zaledwie nań zwracając uwagę.

Wydał się jój — pospolitym....

Gdy wieczorem pułkownik go odprowadził do mieszkania, które dlań było przeznaczone, pozostała w pokoju Hortensya pośpieszyła do Ady z pochwałami dla gościa.

— Co też to za miły humor! jaki dowcip! i jakie doskonałe maniere! Po naszym zwykłym towarzystwie, wydał mi się jak jakiś przysmak pa-ryzki po razowym chlebie....

Ada milezała.

— Nie znajdujesz? spytała natarczywa kuzynka.

— Bardzo jest miły, odparła gospodyni — ale — typ to salonowy, zwyczajny, który mnie nie zachwyca....

— A! cóż ciebie zachwyca? szepnęła Hortensya.

— To prawda — nie mam daru zachwycania się, i zazdroszczę go szczerze tym wszystkim, którzy go w podziale dostali, — odpowiedziała Ada. Ale — cożem winna, że mnie taką Pan Bóg stworzył! Ja na tém najgorzej wychodzę...

— Przyznaj jednak — poczęła uparta panna Hortensya — *il est très comme il faut*.

— Nie przeczę....

— I bardzo przystojny mężczyzna?

— A! nie przeczę i temu....

— W dodatku artysta....

— Jak Oblęcki — niestety!

Hortensya poprawiła mitenki.

— Zna się na obrazach niepospolicie.... Gdyś mu kazała przynieść twoją madonnę.... zachwycał się....

— Tak, lecz wyznał, że właśnie tych szkół starych, w których jest duch i myśl, nie uznaje jako sztuki skończonój, tylko jako niemowlęce jęj wyrazy.... a....

Tu przerwała sobie Ada, przypomniawszy, że mówi do Hortensyi, którą sztuka niecierpliwiła....

— Zdaje mi się — dodała panna Trocka — że gdy go bliżej poznasz, oddasz mu sprawiedliwość.

— Myślisz, że on... prędko podchwyciła Ada, że on tu.... zabawi?

Bystrém wejrzeniem zmierzyła ją Hortensya.

— Ja nie wiem nic — sędzę, że to zależeć będzie od ciebie....

Ada zamilkła.

— Jedzie ratować majątek, niepodobna go wstrzymać, mógłby ponieść na tém szkodę.

Panna Trocka zakąsiła wargi i dała dobranoc.

Nazajutrz pan Karol rano poznał się i poprzyjaźnił z pułkownikiem, do którego poszedł w odwiedziny. Brandys był nim zachwycony. W dziedzińcu spotkał się z Oblęckim, którego poznał wczoraj u stołu; zaszedł do jego pracowni, w której nie było, oprócz olbrzymiej oślej głowy nad łóżkiem węglem narysowanej. P. Mirosław w przystępie fantazyi jakiś zrobił ją podobną do siebie.... Był to wyrok, który ferował. Tu zaczęli mówić o sztuce zapalczywie. Oblęckiego też p. Karol wprowadził w zachwycenie.... Jak dwaj starzy dobrzy przyjaciele poszli wprost ztąd do biblioteki i zanurzyli się w szychach....

Ztąd ich na śniadanie wywołano. O wszystkich tych wyprawach pana Karola, Hortensya była już zawiadomiona, i oznajmiła o nich Adzie. Karol gdzie stąpił, serca zdobywał. Przy śniadaniu rozmowa szła nadzwyczaj żywo, najmniej do niej jednak mieszała się Ada, choć ją grzeczny Karol ciągle wyzywał. Posępna jakaś wstała dnia tego.

Gość potrafił nawet ośmielić, rozgadać i rozśmieszyć Sensytywę, dla której był z niezwykłą grzecznością. Panna Karolina nawykła do tego, że na nią mało zwracano uwagi, była zakłopotana temi szczególnemi względy, jakie jój okazywał pan Karol — lecz nie gniewała się za nie. Miał ten talent, że nawet nieśmiałość jój rozproszył i wprowadził ją w usposobienie wesołe....

Umiał także zyskać sobie Rubaczka.... i grzeczny był nawet dla Musiatowskiego. Wszystko to przychodziło mu łatwo — nie kosztowało go nic.... a wielka wprawa życia, dozwalała mu do każdego odezwać się z jego tonu... i w myśl jego....

Zdaje się, że pan Karol, czy instrukcyje miał takie, czy sam sobie to ułożył, a chciał gospodyni przypodobać się szczególniej wyznawaniem swój wielkiej miłości dla sztuki. Tego dnia jednak Ada nie dała się wciągnąć w żadną rozprawę dłuższą, i była jakby tym artyzmem ciągle występującym, znudzona.

Z dała, w milczeniu czyniła nad kuzynem postrzeżenia, które w końcu wprowadziły pana Karola w zakłopotanie pewne. Czuł się egzaminowanym, badanym.... odjęło mu to nieco śmiałości.... Po śniadaniu poszedł oglądać park z panną Hortensyą i Karoliną, do których się Oblęcki przyłączył; gospodyni wymówiła się zajęciem.

Do stołu przysła trochę rozjaśniona, powiedziawszy sobie, że nie godzi się być zbyt okrutną dla biednego człowieka. Pan Karol przestał mówić o sztuce; mówił o ludziach i nie oszczędzał ich.... Ada kilka razy rozśmiała się szczerze....

— To smutna, odezwała się do niego, że gdy w naszych oczach drudzy się tak śmiesznie wydają, my też musimy równie dla nich być śmieszni.

— Kompensacya! rzekł Karol — musimy się na tym smutnym świecie bawić choć kosztem bliźnich....

— Czyż pan znajdujesz świat smutnym? pan? zapytała Ada....

— Właśnie ja — mój śmiech jest z rozpaczey.... A nie nie można wziąć na seryo na tym padole! rzekł Karol....

— Nic na seryo? spytała gospodyni.

Karol już jakoś nie wiedział co odpowiedzieć, kilka tak razy zapędziwszy się zbyttnio, splątał i nie powiodło mu się.

W ogólności czuł się w obec Ady nie swoim: kobieta ta imponowała mu dziwnie, mieszała go; здавало się czasami, jakby zaglądała w duszę i dobywała z jęj głębin.... łachmany, które tam zostały zmarnowane lata. Ile razy bardzo puszczał cugle swęj wesołości, ostudzała go swą powagą; gdy próbował być poważniejszym, ona żartobliwy ton przybierała....

Karol jednak dawał sobie rady jak mógł, ale obecna rozmowie panna Hortensya doprowadzona była do ostatecznego gniewu, który zaledwie pohamować była w stanie. Ruchy jéj, wejrzenia, konwulsyjne drgania zdradzały usposobienie, które ją nareszcie wyгнаło z pokoju do listów. Wieczorem było trochę muzyki....

Rubaczek grał coś z Mendelsohna; okazało się, że panu Karolowi i muzyka obcą nie była, co zdziwiło nieco Adę. Chciała, ażeby coś grał....

— Proszę mi darować, szepnął Karol: ja jestem jak ten nieszczęśliwy Oblęcki, o wszystkiém mówić umiem, a nie robić nie potrafię. Gram jednego mazurka Chopina znośnie.... i — więcej nie....

— Zagrajże go....

Zmuszony siadł pan Karol i grał owego jednego z piérwszych mazura Chopina, z którego Kalkbrenner tak nieszczęśliwie napisał waryacje. Grał go dobrze — lecz tak jak go wszyscy grający nieźle wygrywają. Rubaczek wywdzięczając się chwalił, panna Ada milczała....

— To najpiękniejsze, żeś pan był posłuszny i zagrał — rzekła mu.

— Ofiara miłości własnej — odparł śmiejąc się Karol, — do której mnie pani nie sądziłaś zdolnym....

— Zawsze najtrudniejsza z ofiar — ale pan grasz go bardzo — przyzwóicie.

Uklonił się obżałowany.

Tak go jednak bawienie gospodyni znużyło, że jak tylko mógł, zwrócił się ku Oblęckiemu i przy nim długo pozostał. Potém przysiadł się do panny Karoliny i ciągle wywoływał jój rumieńce... bo się wstydziła tego pierwszeństwa, jakie jój dawał. Panna Hortensya znajdowała też to w najwyższym stopniu nieprzyzwoitém, i zabierała się mu uczynić uwagę, ale przystąpić do niego nie miała sposobu.

Po długich strategicznych poruszeniach, panna Trocka znalazła się wreszcie z Karolem na werandzie.

— Panie Karolu! co pan najlepszego robisz! Ta biedna Karusia spali się od rumieńców.... zlituj się... U nas nikt na nią nie patrzy, ona zwykle siedzi w kątku! Dajże jój pokój!

— Dla czego? spytał Karol.

— To nieprzyzwoicie....

Gość się rozśmiał.

— Wie kuzynka — to bardzo ładne dziewczęcę...

— Ale gąska....

— A cóż to szkodzi? spytał Karol, to właśnie ją czyni taką uroczą....

Zżymnęła się stara panna.

— Przyznam się, żem się większego taktu spodziewała....

— A cóżem popełnił? pytał chłodno wzięty na konfessatę.

— Ja nie wiem.... ale spójrz pan na Adę.

Przez cały dzień jest jakby podrażniona, nie swoja.... Nie umiesz się jój przypodobać.

— Daję słowo, że próbowałem — odparł Karol. Zajeżdżałem ze wszystkich stron.... niepodobieństwo. Zdaje się, że musi być przeciw mnie uprzedzona.... walczyć z tém trudno.

— O! tylko się proszę nie zrażać! Trzeba chcieć—mieć wolę.... a wszystko będzie dobrze....

Pan Karol ziewnął nieprzyzwoicie; Hortensya coś mu szeptać poczęła, wysłuchał cierpliwie.

— Wiesz kuzynko, rzekł po chwili, nie trzeba sobie nadaremnych czynić złudzeń.... Ja z góry wiedziałem, że się podobać nie potrafię.... na wylot mnie przenika, aż mi się zimno robi.

— Ona w początkach z każdym jest tak surowa.... ale to przechodzi. Ja ją znam.... Cierpliwości.... znajdź pan jakiś powód — *acceptable*, do zatrzymania się dłużej....

— Jakiż? naprzykład?

— Mógłbyś sobie... nogę wywichnąć?

— A! rozśmiał się Karol.... ale — jeżeli doktor nadejdzie....

Panna Hortensya szepnęła mu, że z doktorem Wellerem jest jak najlepiej, i że mogłaby go uprzedzić.

— Na to się nie zgadzam! zawołał Karol — do-
ktorby się śmiał i paplał, byłbym skompromitowa-
ny. Jeśli będzie potrzeba, znajdziemy pretekst in-
ny, ale daj mi się pani rozpatrzeć lepiej... i roz-
rachować z siłami...

Narada na werandzie zamknęła się głośniejszą
rozmową, która tajemniczą miała osłonić...

Myliła się jednak i panna Hortensya i Karol,
jeśli sądzili, że nie zostali odgadnięci. Bystre oko
Ady dojrzało wszystko, domyśliło się uknutéj in-
trygi, która w niej politowanie wzbudzała. Prze-
czuwała, że list panny Trockiej sprowadził tu
owego kuzyna... Nie chciała okazać oburzenia,
ale postanowiła zmieszać im szyki chłodném przy-
jęciem, któreby odebrało ochotę do dłuższego po-
bytu.

Czyniła to z tém silniejszą wolą, że co moment
spodziewała się powrotu Roberta, a nie chciała,
aby Karol się z nim stykał. Czy się lękała, aby
go swym cynizmem dowcipnym nie popsuł, czy wo-
łała nie mieć świadków... trudno zgadnąć.

Przeczuwać mogła, że ten naiwny Robert wyda
się zepsutemu Warszawiakowi bardzo pospolitą isto-
tą — bolał ją ten sąd zawczasu... Jedném sło-
wem w ciągu tego dnia przybyły mógł się dowo-
dnie przekonać, że choć przyjęcie było nader grze-
czne i uprzejme, było zarazem ostróżne i chło-
dne... Nie zapraszano go wcale... bawiono umiar-

kowanie, unikano szczególnie wszystkiego coby pobyt przedłużać mogło. Pan Karol objawił ochotę studyowania sztychów — ale się okazało, że zbiór był tak obfity, iżby — zbyt wiele wymagał czasu.... Sam Obłęcki uczynił tę uwagę.... a w dodatku, był nieuporządkowany. Półkownik, który w prostocie ducha, nadzwyczaj pana Karola polubił, dostał ostrzeżenie na ucho, ażeby.... był z nim oględny.... bo ma wadę wyśmiewać wszystko. Brandys uczuł się jak zimną wodą oblany i — cofnął się nieco....

Dnia tego smutna odeszła do siebie panna Hortensya — głowa ją bolała. Karol, ten Karol, na którym tyle pokładano nadziei — zawiódł, nie odpowiedział zaufaniu — okazał się niezręczny!! Co tu począć było?

Siadła z lamentem gorzkim donieść o tém szambelanowój.

Z Żabliszek ani się wyrwać było Robertowi; ile razy przebaknął o tém ojcu, major się niecierpliwił.

— Ale co cię tam korci do tych Zahajów.... Daj bo pokój! Jeszczem się tobą nie mógł nacieszyć, nie nagadaliśmy się, tysiąc rzeczy jest do rozważenia, — a ty mi się rwiesz, jakby cię tam co ciągnęło....

Roberta ciągnęło w istocie — ale składał swą niecierpliwość na siano, na blizkie żniwa i na gwałtowną potrzebę dozoru gospodarstwa w czas tak gorący.

— Niech tam.... kaczki zdepczą to gospodarstwo, co mi ma syna odbierać — mówił major.... No — to zgnoją! i cóż?

— Inwentarza nie będzie czém przezimować.... mówił Robert....

— To dam tysiąc złotych na kupno siana, przecie mnie to nie zrukuje.... Kat je bierz....

Milczał więc Robert chodząc posepnie. Po dwu nieudanych próbach u marszałka i Surymów, major z Erdziwillem, zrobiwszy przegląd sąsiedztwa, raz jeszcze, wybrali dalszy nieco dom, poprzyjaźniony, a nawet skolligacony z Jazygami, państwa Ochmańskich.... Było do Tarajewa, gdzie mieszkali, tęgie trzy mile, nie litewskie — ale prawie ukraińskie, w połowie piasku, na pół takich grobelek, po których żebyś z doktorem do chorego jechał, pośpieszyć niepodobna....

Z Ochmańskich nikogo na Ś-ty Piotr nie było w Żabliskach, bo on sam dawno z łóżka nie wstawał.... Kiedyś nogę mu jedną odjęto i z lewej strony w twarzy miał drganie.... Leżał nieboraczysko, a żona się sama musiała krzątać około domu, gospodarstwa i dzieci. Za wzór też stawiono ją w okolicy żony, matki i gospodyni, bo skarga

nigdy z ust jęj nie wyszła, a miała dużo do zniesienia. Rodzina się składała z dwojga dzieci, dorosłej córki panny Leokadyi i dziesięcioletniego syna, który się do szkół wybierał. Tarajewo było dobrą wioską, i gospodarstwo dzięki czujności pani Ochmańskiej szło dobrze, ale choroba, którą mąż był dotknięty, truła wszystko. Z natury żywy i niecierpliwy, pan Jędrzej Ochmański nie umiał się zgodzić z wolą Bożą i położeniem swoim, zżymał się, stękał, narzekał i żonie spokoju nie dawał, choć potem, pomiarkowawszy się, czule ją za to przepraszał.

Z dala stary dworzec w Tarajewie może piękniejsię obiecywał, niż był w istocie. Był to jeden z bardzo u nas rzadkich domów odwiecznych muryrowanych, niegdyś zapewne zameczek, którego wałów ledwie ślad pozostał.... Z komnat jego przerobione pokoje, zastosowane później do potrzeb domowych, zachowały ten charakter odwiecznej budowy, który nie był wygodny dla mieszkańców, ale ciekawy dla obcych. Okna miał nieregularne i małe, mury niezwykłej grubości, drzwi ciasne, a i rozporządzenie dziwaczne. Do tego wszystkiego potrzeba było przywyknąć. Stare drzewa otaczały go do koła, z baszty narożnej zrobiony lamus, z drugiej kaplica, bardzo poważnie go przyozdabiały. Z dala też dojeżdżając, Robert, który tu nigdy pono nie był jeszcze, powziął wyobrażenie

wielkie o Ochmańskich.... Z blizka daleko skromniej się to przedstawiało.... Wyszedł naprzeciw gościom służka w szaraczkowym surduciku, włożonym na przedce — i wnet ich do bawialni wprowadził, w której jeszcze nie było nikogo. Sprzęt w niej stary, utrzymany troskliwie nie miał innego wdzięku nad ten, jaki wiek nadaje.... Od dawna snadź nie tu nie przybywało — wszystko było dziadowskie, ojcowskie lub starsze jeszcze.... i niewykwintne. Lecz czyściuchno utrzymana salka sklepią, ze swemi wążkami okienkami wgłębionemi, przy których z obu stron były siedzenia deskami pokryte, kwiatkami i firankami odżywiona, w których niewieścią rękę czuć było, miłe czyniła wrażenie.

Pierwszy który wyszedł do gości, był dziesięcioletni chłopak, syn gospodarza, wesóły i ciekawy Moduś.... który poznał majora — bo go już gdzieś widział. Ten całując go w rękę starym obyczajem, zapewnił, że matka natychmiast służyć będzie. Ponieważ wysłanie Modusia do gości wydało się zapewne niedostatecznym, wybiegła po nim, także uprzedzając i zwiastując matkę, panna Leokadya....

Nie było to jedno z tych niewieścich zjawisk olśniewających i zdumiewających urodą a blaskiem — ale skromna piękność wiejska, która jednak po wpatrzeniu się w nią, zdumieć mogła

rysami zarówno jak wyrazem twarzy, idealnej niemal czystości i spokoju. Piękność ta była jakby przysłoniona i utajona pod skromnością dziecięcą, zdawała się nie wiedzieć o sobie... Dopiero gdy zbliżywszy się do majora podniosła spuszczone dotąd powieki, długimi ciemnymi rzęsy obszyte, a z pod nich czarne, wielkie, jakby we łzach utopione pokazały się oczy, gdy się jój małe usta otwarły i ożywiły lice swym ruchem — gdy się z nich dał słyszeć głos sympatyczny, słodki... panna Leokadya objawiła się im choć w części — czém była. Trochę pomieszana, z dziecięcą niezgrabnością nie bez wdzięku, poczęła krzesła posuwać... zapraszać — i nie śmiejąc spojrzeć na Roberta, przyjęła jego zaprezentowanie przez ojca.

Trochę smutku widać było na twarzyczce, który się aż nadto smutnym położeniem rodziny tłómaczył.

— A jakże się ma ojciec pani? spytał major.

— Zawsze jednakowo, westchnęła panna Leokadya — nie może się z łóżka poruszyć — doktorowie obiecują co lato... ale się jakoś nie polepsza.

— Ale widzieć pana Jędrzeja będziemy mogli? zapytał major.

— Ja sędzę — odezwała się panna, — ojciec wdzięczny jest bardzo gdy go kto odwiedzi, mama także, bo jego to cokolwiek rozrywa...

Nareszcie nadeszła pani Ochmańska, osoba w średnim wieku, z twarzą niegdyś piękną, dziś zmęczoną i wymizerowaną, której usiłowała nadać wyraz niby wesoły. Lecz czoło jój nawykłe się marszczyć, nie mogło się wypogodzić i koło ust pozostał wyraz boleści... Major pośpieszył ku niej, całując z uszanowaniem podaną mu rękę.

— Nie mogłem się wstrzymać, abym syna kochanym kuzynowstwu nie przywiózł i nie zaprezentował — rzekł. Choć mieszkamy nie tak bardzo daleko od siebie, choć nas krew łączy, jakoś okoliczności zrzędziły, żeśmy — to jest ja — poprawił się — zaniedbałem Tarajewo. Przyjeżdżam prosić o przebaczenie. A no — trudno państwu się narzucać... kiedy mój dobry, poczciwy Jędrzej chory... Chorym gościu na nic.

— O — przeciwnie — pośpieszyła sama pani. Jędrzej tylko że się ruszyć nie może — a zresztą nie jest źle i gościom rad. Ja także... Pozwólcie abym mu o was oznajmiła...

I wyszła pani Ochmańska spojrzawszy na córkę, która znowu majora poprosiła siedzieć i szukała zapewne przedmiotu do rozmowy, cała zaturbowana... Nieśmiało mierzyła oczyma to ojca, to syna. Moduś stał oparty o krzesło, ręce zawieszony na poręczy i uśmiechał się do obu, rozpoczynając tém znajomość poufałą.

— Chodzisz już do szkoły? spytał go major...

Panna Leokadya odpowiedziała za brata, że się dopiero przygotowuje — i że za rok ma pójść do drugiej klasy.

Chłopak to głową potwierdził.

— A masz ochotę do nauki? pytał major.

Panna Leokadya w odpowiedzi nie mogła brata zastąpić, popatrzała na niego żartobliwie, dzieciak się zarumienił, oczy schował, ale zebrawszy się na odwagę, rzekł w końcu:

— A jakże....

Uśmiech siostry niekoniecznie to potwierdzał, a figlarne oczy chłopaka, więcej zdolności do swawoli niż do książki obiecywały.

W czasie tego małego epizodu, Robert się przypatrywał pannie, która mu nieco Karolinę — Sensytywę przypominała, więcej ruchami i fiołkową skromnością swą, niż twarzą.... Z twarzy była piękniejsza daleko, a Robert, którego artystyczny smak wykształcił się na dziełach sztuki w Ruszkowie, z przyjemnością poglądał na regularny profil i na wyraz całego oblicza, które mimo młodości swój i świeżości, już taką było powagą okryte.... nieprzybraną, naturalną.

Nie patrząc na nią prawie — zobaczył, że miała ręsy śliczne, ząbki perłowe, że ręce jój na kolanach złożone były kształtów najwytworniejszych, że — piękność to była w całym znaczeniu wyrazu,

choć na pierwsze wejrzenie nią się nie wydawała. Szukał wady jakiegóś — nie znalazł. Wyrażała się z prostotą i naturalnością, a wdziękiem razem... Raziła go tylko jakimś chłodem nie młodzieńczym, jakimś zawczesnym znużeniem. Było w niej coś smutnego... Nie długo mógł postrzeżenia te robić, bo gospodyni weszła, zapraszając do męża... Przez wążkie drzwi i pokój przechodni, w którym stało łóżko syna, po wschodkach weszli do jasnej, ale firanką zieloną przyémionój, izby chorego.

Pan Jędrzej leżał na łózkú, z brodą zarosłą, żółtą, z wyrazem cierpienia w twarzy wychudłej, któremu drganie nerwowe jednego policzka dodawało coś nieprzyjemnego dla patrzących — otoczony był wszystkiém czego mógł zapotrzebować, aby ciągle o pomoc wołać nie był zmuszony. Na stolickach stały flaszki, napój, lekarstwo, książka do nabożeństwa, różaniec, klapka na muchy, mnóstwo drobnostek... W głowach wisiał stary obraz Matki Bożkiej... Pomimo otwartego w części okna, czuć było w pokoju jakąś woń szpitalną — ziółka i leki — chorobę... Smutno tu było, a rodzina co się ciągle widokiem téj niedoli karmić musiała, wesolą być nie mogła.

Jędrzej oble ręce wyciągnąwszy witał krewniaka.

— O! o! panie Piotrze — cięży na was grzech... dawno, dawno należało mnie odwiedzić! Ale trudno o to prosić — bo u mnie i ze mną niewesoło.

Bóg ci zapłaci, żeś choć teraz sobie starego przypomniał.

— Syna wam przywiozłem — odezwał się major...

— Cożes się za ślicznego chłopca dochował! zawołał rękami wskazując siedzenia stary. Siadajcie! A słyszałem, że kawaler kędyś daleko, aż w Brzeskiem trzyma dzierzawę...

— Tak jest — odparł major — Zahaje.

— Wiem, wiem — znam ja te Zahaje — niezły majątek — począł chory — ta to koło Ruszkowa Pretwiczów. Ja to dawniej w tamtych stronach gościłem nieraz — miałem stosunki i familię. I tego niepocziwego rozpustnika Pretwicza, co żonę zgubił, że się mało nie zagryzła... znałem też. O! łotra był kawał!

Stary lubił mówić, bo często zbyt długo milczeć był zmuszony, ciągnął więc dalej:

— Mówili mi, że córka po nim została, także jakaś osobliwego nabożeństwa istota — co za mąż iść nie chce i różne ma wybryki.

Robert zecerwienił się niezmiernie, i nie mogąc wytrzymać, przerwał z cicha:

— Ja mam przyjemność znać pannę Adę, i mój ojciec także ją poznał — ale — muszę przyznać, iż mam dla niej największy szacunek i nie widziałem w jej postępowaniu nic takiego...

Major się skrzywił nieco — a gospodarz się poprawił:

— A może to ją ludziska ogadały...

— Lękając się może, aby Robert w pochwały zbytnie i namiętną nie wdał się obronę, sam major zabrał głos.

— A byłem i ja tam, choć nie po dobrej woli, rzekł. Trzeba wiedzieć, że najlepszy mój przyjaciel, towarzysz broni — poczciwy, zacny Brandys — ale i wy go bo znacie...

— Znałem go! a jakże! potwierdził chory.

— Otoż Brandys — *quo titulo* nie wiem, podobno z pokrewieństwa dalekiego — przyjął u niej obowiązki rządcy i plenipotentą. Wpadłem do niego i dostałem się na dwór Jaśnie Wielmożnej Pretwiczówny...

Bardzo to pochwalam, że mój drogi Robert jój broni i chwali, bywał u niej w domu, życzliwie przyjmowany, jest racya. Ale — prawdą a Bogiem, co ty powiedziałaś o niej ze słuchu, panie Jędrzeju, nie jest także bez podstawy. Vox populi, vox Dei.

Robert się zmieszał, spuścił oczy, milczał, bo jakże miał z ojcem w obcym domu spór wieść? a major korzystając z téj bezbronności syna, namyślnie może — otwarcie się począł wywnętrzać ze zdaniem o pannie Adzie.

— Panna rozumna, przystojna — mówił dalej — pięknie wychowana, ani słowa. Nie przeczę... Pogadawszy z nią widać kobietę do absolutnych rządów przywykłą, która wyrzekłszy się małżeństwa... szuka sobie zabawy i rozrywki..., jak umie. Prawda, że innaby trzymała małpy i papugi; ta zbyt rozumna na to, ale trzyma muzykantów, malarza... kuzynki różne i cały dwór... całą gotowalnię na posługi jejmości...

Bawi się dziś ogrodem, jutro malowaniem, to nabożeństwem — to książkami... Nie naszych obyczajów i nie naszego świata kobieta... Temu i acieńdziej, panie Robercie, choć jój wielki admira-
tor nie zaprzeczysz...

Zwrócił się ku synowi, który z głową spuszczo-
ną siedział posepny. Nie śmiał już ojcu zaprze-
czać, a zdanie to o Adzie bolało go...

— Nikt jój nie rozumie — mówił w duchu...

Stary pan Jędrzej musiał być zaciekawiony
wzmianką o Pretwiczównie, bo oczyma wodząc po
ojcu i synu, badać się ich chcieć zdawał.

— Historye! odezwał się — a to ciekawa rzecz —
dalipan... Więc widać, że majątek uratowała...?

Robert uczuł się choć na to pytanie do odpo-
wiedzi upoważniony, bo znał lepiej od ojca stan
majątkowy Ady.

— Nietylko go oczyściła z długów, rzekł, ale
znacznie pomnożyła...

— To była i tak pańska fortuna.... wzięli ją po Boguszach.... rzekł chory.

— Wszystko to ona winna nie sobie — rzekł major — ale poczciwemu Brandysowi, który zaprowadził oszczędności, gospodarstwo.... no — i poszczęściło mu się....

— Ba! ba! przebaknął Ochmański ręką wychudłą w powietrzu wywijając — to bardzo bogata być musi.... a dla czegoż za mąż iść nie chce...?

Major zrzekając się już odpowiedzi, zdał ją na syna i spojrział nań, jakby mu wskazywał:

— Mów.

— O ile wiem, odezwał się nieśmiało Robert, zraził ją nieszczęśliwy los matki, na który patrzyła. To było przyczyną postanowienia.... iż za mąż nigdy nie pójdzie.

Pokiwał głową chory, a major się począł złośliwie uśmiechać. Obejrzał się jednak, chcąc odezwać, czy nie było kobiet i chłopaka, przy którychby się wahał tak dobitnie myśl swą wyrazić.

Zobaczywszy dopiero, że ich nie ma — odezwał się głosem stłumionym:

— Słuchacie i wierzycie! Nie idzie za mąż najprzód, że się jój chce rozkazywać, a mężowiby zawsze trochę się submittować musiała... to pierwsza przyczyna. Powtóre nie trafiła na swego — a na ostatek — nie jest stara — jeszcze jój inna fantazyja przyjsć może....

— Aby tylko nie jaka... hm! chrząknął Ochmański i ręką wywinął w powietrzu... hm! coś to wszystko dziwnie mi wygląda...

Robert siedział jak na mękach, nie śmiejąc podnieść oczu, lękając się, aby go postawa i twarz nie zdradziły, nie wiedząc co robić, a prosząc Boga, aby ta niefortunna rozmowa jak najprędzej się skończyła.

Zdaje się, że major właśnie był jój rad i przedłużał. Czy że sam na sam z synem podjąć mu ją było trudno, a przy obcym śmieliej się spodziewał wygadać — czy że milczenie mu już zbyt dokuczycyło — począł natychmiast:

— Brandys, który formalnie jest w uwielbieniu dla swój pani — wciągnął mnie do niój. Dwa razy tam byłem na obiedzie i mogłem się dobrze przypatrzeć. Jeżeli jój w istocie kiedy po innych fantazyach przyjdzie ostatnią wydać się za mąż — nie wieszuję temu kogo uszczęśliwi!...

Panna piękna i rozumna — nie stara — ale nawykła do samowoli, i mąż tam smutną będzie grał rolę, której i nieprzyjacielowi nie życzę...

Nie jestem ja — dodał major — za tém, aby kobieta zahukaną niewolnicą być miała. Tego u nas, chwala Bogu, nie widać dawno. Lecz głowa domu, mężczyzna ma swe prawa... jak go pod pantofel wpakują — nie wart funta kłaków...

— Masz słuszość majorze — odezwał się chory — święta prawda! Z takiej kobiety co do panowania nawykła, dobra żona być nie może. Mąż u niej będzie pierwszym sługą...

— Gorzój, dodał major — a no spodziewam się, że u nas o takiego nie łatwo będzie, coby się dla jój tam milionów w niewolę zaprzedał! Miałbym go za — cztery litery!

Wszystko to mówił tak gorąco major, iż Robert nie mógł się od téj myśli powstrzymać, że to było na jego intencję powiedziane.

Przykra ta rozmowa przeciągnęłaby się może, gdyby sama pani nie przyszła oznajmić, że herbatę podano, i prosić na nią gości. Stary pan Jędrzej, któremu pozostać w samotności było przykro — ozwał się:

— Jejmościuniu moja, daj panu Piotrowi tu herbatę, my ze starym pogawędzimy.

Robert z przyjemnością wstał z krzesła i poszedł za gospodynią do bawialni. Tu panna Leokadya gospodarzyła.... Odetchnął swobodniej — ale rozmowa, którą prowadzić musiał, wzbudzony i zgryziony, nie poszła tak łatwo. Przedmiotu do niej trudno znaleźć było, choć sama pani go szukała. Spytała Roberta o okolice, w której mieszkał, o gospodarstwo, i szczęściem gospodarstwo to uratowało go. Pani Jędrzejowa sama w Tarajewie gospodarzyć była zmuszona, zajmowało więc

ją i rozumiała je dobrze.... Panna Leokadya, która z drugiej strony stołu, naprzeciw Roberta usiadła, mało się do rozmowy téj mieszała. Matka jednak widocznie chciała, aby w nią udział wzięła, bo kilka razy się ku niej zwracała.

Tym sposobem, gdy pani Ochmańska wyszła niosąc coś mężowi, Robert i śliczna panna zmuszeni byli ciągnąć dalej sami — poczętą rzecz gospodarską. Leokadya nie miała przesadzonej bojaźliwości Sensytywy, raz przemógłszy trudne poznanie się pierwsze, zaczynała być coraz śmielsza. Robertowi podobała się jég naturalność i prostota.... Kilka razy spojrzeli sobie w oczy i — jakby ten wzrok im coś powiedział — poczęli być coraz odważniejsi....

Na zapytanie Jazygi, panna mu odpowiedziała, jak żyli cicho, samotnie i jak jég z témby dobrze było, gdyby nie słabość ojca.

— A do zabaw pani nie tęskni? spytał gość....

— Ja do nich nie przywykłam... i mnie wszystko bawi — rzekła Leokadya. A! gdyby ojciec był zdrów tylko, czegoby żądać więcej! Zajęcia mamy dużo.... nudzić się czasu nie ma.... Ja po kilka godzin na dzień ojeu czytuję gazety i książki.... trochę mamie w gospodarstwie pomagam.... tak miło czas schodzi....

— A czytanie to nie męczy pani? zapytał Robert.

— Nic a nic — owszem, zajmuje mnie — mówiła Leokadya. Nawykłam do głośnego czytania.... Sta-

ramy się, żeby ojcu na tém nie zbywało, bo czémżebyśmy go zabawili? Rzadko kto do nas przyjedzie — bo to nikomu nie miło — na chorego patrzeć....

— Muzyką się pani nie zajmuje?

— A! nie! choć bardzo ją lubię — odpowiedziała panna. Czasu na nią mało, dom szczupły, a choremu ojcu przykreby było granie. On tego nie znosi. — A pan?

— Ja także lubię muzykę, ale jój nie umiem — rzekł Robert.... Gospodarstwo też na nią czasu niewiele zostawia....

— Ma pan sąsiedztwo?

— Jeden szczególniej dom, w którym nieco bywam częściej.... krótko odpowiedział Robert.

Mówiono potem o sąsiedztwie Żabliszek.... a panna Leokadya z wielkim taktem i delikatnością unikała wszystkiego coby choć najlżej drasnąć kogoś mogło. W każdym znajdowała coś do pochwalenia.

Siedzieli tak sam na sam, wcale już nie ciężąc sobie wzajemnie, gdy — *Deus ex machina*, zjawił się we drzwiach wędrowny Erdziwiłł. Czy wiedział o wycieczce majora i w sukurs mu przybywał, czy go traf tu jakiś przypędził — dosyć, że znalazłszy pannę Leokadyę z Robertem samych w bawialni — w progu stanął.

— A! a! gość nie w porę gorzej od Tatarów! rzekł — dalipan nie przeszkadzam! Miałbym na sumieniu, tak ślicznie państwo, jak para gołębi gruchałaście że grzechby śmiertelny był im przerywać.

Leokadya zerwała się zarumieniona, lecz rozśmiała się wesoło, zapraszając Erdziwiłła.

— Chodź pan — pomożesz nam do rozmowy!

— Ale gdzie zaś! z miną filuterną odparł przybyły. Tam gdzie dwoje młodych ludzi z sobą rozmawia, gdyby anioł się na jasnych skrzydłach z Nieba spuścił — byłby natrętem.... Mówcie sobie dalej — ja ruszam do pana Jędrzeja.... Wszak tędy droga?

Wskazał na drzwi, — gdy wtém nadeszła Ochmańska.

— A! sędzia! Oto gość!

— Widzi pani! gość — prawda — ale w złą godzinę.... Tak mi tu ślicznie ta para turkawek gruchała.... a ja wlażem....

Rozśmiała się smutnie pani Jędrzejowa.

— Pan Robert pierwszy raz dziś u nas, rzekła — to nowa znajomość....

— Otoż właśnie... najgorzej, żem przeszkodził, bo pierwsze spotkanie zawsze najważniejsze....

Uśmiechali się wszyscy, Robert najmniej, bo go te żarty ostudziły, i przypomniały mu, ażeby był ostrożny. Erdziwiłł zdawał się go chcieć umyślnie na drogę prowadzić i dać też panie do myślenia....

Pani Ochmańska wyszła z nim do męża. Leokadya została znowu z Robertem — nie przerażona wcale żartami sędziego. Robert tylko siedział zastygły i sztywny. Spojrzała nań kilka razy ukradkiem, jawnie, przemówili coś — nie szło owo gruchanie.... Zaledwie słów starczyło na to, ażeby milczenie nie stało się przykrém....

Nadbiegł braciszek, który się przybliżył do Roberta, spowiadając mu się z tego, że już z fuzyi strzelał, i dwa razy sam na kucyku jeździł. Wdała się w to siostra — i znowu wesoło mówić zaczęli.... Chłopak był wielkiego animuszu do strzelby i apetytu do konia.... Wzdychał do tego, żeby nie na kucyku, ale na dużym mógł jeździć prędzej.... Zaręczał, że dubeltówkę udźwignie i pilniejsze mu to było daleko, niż wstąpienie do klasy drugiej, którą rad był, razem ze wszystkimi innemi, co najprędzej przestąpić....

Z tych zachcianek śmiała się panna Leokadya, a Robert się im trochę sprzeciwiał. Dość, że śmiało się i hałasowano, aż w pokoju chorego poruszyły się krzesła, słyhać było pożegnania, i Robert się też ruszył do chorego.... W istocie major zbyt długą nie chcąc go męczyć rozmową, a mając kawał drogi do domu, choć go bardzo na noc proszono, wybierał się do Żabliszek. A że i Erdziwiłtowi w tę stronę jechać wypadalo — zapraszał go na

jedną bryczkę, aby droga przy gawędzie krótszą się wydała.

Przy pożegnaniach proszono bardzo, aby Jazygowie o Tarajewie nie zapominali, panna Leokadya spokojnym, przyjaznym wejrzeniem pożegnała Roberta, uczepił się go braciszek wiodąc aż na ganek.... Tu konie stały już, Erdziwił siadł z majorem, Robert na przedzie i ruszyli.

Sędzia czy namówiony, czy z własnego usposobienia, od wrot poczawszy począł prześladować młodego Jazygę panną Leokadyą.

— Widziałem jakieś acindziej do niej słodkie oczy robił, schwytałem was na uczynku. Ona też nie była od tego.... Gruchaliście ślicznie....

— Ale pierwszy raz ją widziałem!

— A cóż to ma do tego! Miłość się zapala od jednej oczu iskierki — lub od razu albo nigdy. I nie ma się czego wstydzic! jak Bóg miły, bratku.... Panna dobrze urodzona, piękna jak bogini.... dobra, poczciwa.... a o posagu ja coś powiedzieć mogę.... Sto tysięcy złotych, jak lodu! Wyprawa.... stosowna.... Czegoż chcieć!!

Major spoglądał tylko na syna, pykając z fajki, którą za wrotami zapalił,— oko jego śledziło wyraz twarzy Roberta.... Robert się śmiał swobodnie.

— Będzie na to czas! mówił.

— Otoż bo nie — pannę ci z przed nosa uchwyca.

Owoc dojrzały — posag w gotówce.... Nie ma się co ociągać, trzeba dobijać targu....

— Cóż ty na to? bąknął pół żartem major — he?

— Prawda, że acindziej, panie majorze, pobłogosławiłbyś bez wahania! wtrącił nie dając czasu na odpowiedź Robertowi Erdziwiłł.

— Ja?! z duszy i serca! choć dziś! Dom znam.... matka najzaciejsza kobieta — a córka to jój obraz żywy. Z duszy i serca....

— No — ot i rzecz skończona. Zawracajmy konie, a do jutra zapijemy zrękowiny — zawołał Erdziwiłł....

W żarty to obracając, Robert się śmiał, lecz na duszy mu było okrutnie ciężko....

— Cóż ty na to? powtórzył major.

— Rochany sędzio — odezwał się młody Jazyga — może to dawniej się tak ludzie brali.... ale my dziś dużo mniej śmieli jesteśmy.... Rozpatrujemy się — wahamy.... Ja zaś, szczególnieć.... nie mam wcale ochoty iść tak prędko do ołtarza....

— Oj to źle! przerwał sędzia.... musisz się po liberbaronowsku bałamucić, a to licha warto.

— Ja? ja? zaprotestował Robert....

— Ja go też bronić muszę, bo ci słowo daję, że się najprzykładniej prowadzi, a na folwarku trzyma takie koczkodany....

— O! o! pfe! i to źle — i to nie dobrze — wołał Erdziwiłł. A to z waćpana pociechy nie będzie.

Młody — nie umizga się, pije kiepsko.... w karty nie gra.... żadnego pojedynku nie miał, cóż? na Kapucyna się kieruje....

Major się śmiał, a Erdziwił z ogniem mówił ciągle....

— Człowiek człowiekiem... *homo sum*.... wiesz, co mówi rzymski poeta? Ja tych cnót nadzwyczajnych nie lubię, bo to potem najczęściej pęka jak bomba — co sobie leży jak niewinniutki kawał zarzewiałego żelaza — nagle — brzdęk!... i krew się leje... i ludzi potłukła... i ruiny po niej....

Sędzia mówiąc spoważniał, Robert sposepniał...

— Wszak pan tego nie mówisz seryo? zapytał.

— Bierz kochanku, bratku, jako chcesz — dodał sędzia. — Jestem przyjacielem twojego ojca, życzę ci jak najlepiej. Żal mi twój młodości — czas zaczynać żyć....

— Ja dopiero się uczę do życia — rzekł Robert skromnie.

— *Usus te plura docebit*, tu teorye nie potem! wyrwał się Erdziwił. Żeń się bratku.... to cię najlepiej rozumu nauczy....

Ojciec jak w tęczę patrzył w syna, którego zmęczenie widoczne, naostatek w nim wzbudziło litość. Łokciem nieznacznie trącił sędziego, aby dał pokój i — urwano.... sprowadzając to na żarty....

Robertowi jednak humor popsuł sędzia tak, że aż do miejsca, w którym Erdziwił miał wysiąść,

nie prawie nie mówił. Gdy przyszło się rozstawać, stary kawaler chwycił za rękę Roberta....

— Serce, bratku — nie gniewaj się na mnie! Dalibóg choć zbredzę co, to z dobrego serca... Ja was obu kocham.... Robert go uściskał — zostali z ojcem sami. Major wzdychał fajkę paląc.... w końcu rzekł:

— To poczciwe człeczysko ten sędzia — czasem papla nadto — ale zabawny.... Nadokuczał ci dzisiaj.... Hm — a tom się ja zapomniał spytać — jak ci się tam podobało? cóż? Leokadya?

— Miła panienska.... ludzie zacni.... rzekł obojętnie Robert.

— Mówiliście z sobą?

— Dostyc długo....

— Roztropna? nie prawdaż?

— Bardzo....

Lakoniczne te odpowiedzi nie zdawały się zaspokajać majora, który ciężko wzdychał.

— Ja tyle tylko powiem, że takiéjbym sobie synowej życzył jak ona.... Nie ująć, nie dodać....

Ciągle te przymówki w końcu niemal zmusiły Roberta do wytłómaczenia się otwartszego. Pocałował ojca w ramię.

— Ojczy drogi — kochasz mnie trochę? rzekł z wyrazem dziecinnym.

— A! Robciu! potrzebaż ci to mówić! Nad życie!

Tyś pociecha moja, tyś oczu moich żrenica... I począł go ścisnąć gwałtownie.— Co ci jest?

— Jeśli mnie kochasz, ojcze — na teraz, dajmy ożenieniu pokój. Zmuszając mnie do posłuszeństwa, uczyniłbyś mnie nieszczęśliwym.... Nie mam do małżeństwa ochoty.

Major zdumiony, zasmucony, fajkę od ust odjąwszy, z głową zwieszoną — nie odzywał się słowa.

— Ja, rzekł zimno — zmuszać cię nie myślę, to pewna. Nie żeń się kiedy nie chcesz, nie narzucę ci żony; ale jedno ci powiem Robciu, i — jak cię kocham, od tego nie odstąpię. Gdybyś chciał się żenić niedorzecznie, przeciw mojemu przekonaniu — musisz czekać aż ja umrę; bo — pókim żyw, nie pozwolę.

I powoli — stanowczo, powtórzył:

— Pókim żyw — nie pozwolę.

— Żenić się też wcale nie myślę — odparł Robert.

— Zatem nie mamy o czém mówić. Zgoda. Pamiętaj tylko com powiedział. Znasz mnie, słowo u mnie rzecz święta. Nie powiem go bez rozmysłu, ale wyrzekłszy — jak Bóg miły — dotrzymam....

Można się było domyślić do czego to zmierzało z dala.... Robert pocałował w ramię ojca. Dojeżdżali do Żabliszek — obaj smutni i milczący....

Przy wieczerzy prawie nie mówili z sobą. Major wyszedł z fajką na ganek, Robert mu towarzyszył.

— Miałem intencję — odezwał się ojciec, — obwieść cię po całym sąsiedztwie, abyś się w pannach rozpatrzył. Przyznaję, że cię myślałem żenić — ale gdy tak stanowczo objawiłeś mi twój wstręt do małżeństwa, po co mam i ciebie i siebie męczyć, i ludziom dawać niepotrzebnie do myślenia? Dajmy temu pokój.

— Mnieby do Zahajów wracać potrzeba — odezwał się Robert....

— A! do tych Zahajów! — krzyknął gwałtownie stary żołnierz — no — to jedź. Nie będę cię wstrzymywał — co robić! Nie wiem co cię tam ciągnie — ale — ciągnie.

— Gospodarstwo....

Major odwrócił się, splunął i zaczął coś nucić.... Robert nie śmiał się już odzywać.

Rozeszli się tak po niemém pożegnaniu. Syn w swym pokoju chodził długo, myślał, wzdychał... widać było po nim okrutną walkę. Ojca kochał, a musiał mu się narażać. Siła niezwyciężona, potężna ciągnęła go wistocie — tam, tam! — gdzie go niewysłowione wiązało uczucie.... Rozumiał dobrze, iż było bez nadziei, że się do niego przyznać nie mógł, że ono go okrywało śmiesznością — zwyciężyć się przecież nie mógł, nie chciał. Z tą walką,

niepewnością, rozpaczą było mu dobrze; — gdyby mu je odjęto — żyćby nie mógł.

Młodość Roberta pod czujnym ojca okiem spłynęła w dziewiczej nieświadomości świata. Ojciec ustrzegł go od zepsucia... ale nie mógł zapobiedz, by młodzieńcze serce nie zapragnęło poezji życia. Ogień, który drudzy gaszą w rynsztokach za młodu, zachował cały, niewygasły, ku ideałom nim strzelając. Pierwszą kobietą godną tego imienia, do której mógł się przybliżyć — była Ada; pierwsza jego miłość obudziła się dla niej — spóźniona, lecz tym silniejsza. Spotęgowała się w niej wszystkie duszy, serca i młodości pragnienia... Miała też siłę olbrzymią, i musiała tym niepojętym magnetyzmem działać nawet na tak ostygłą istotę jak była Ada. Są w życiu tajemnice... Pierwsze uczucie ma moc, której późniejsze nie mają. Dla tego ono prawie zawsze jest zwyciężkie.

Robert wychowany był w obrzydzeniu lekkomyślnych miłostek... nie spowszedniała mu kobieta — nie zwałała się miłość, ani zwątpił o jej niebiańskim znaczeniu i charakterze... Cóż dziwnego, że rzucone żarzewie taki w nim pożar rozpałiło — tak pochłonęło całego?

Traf zrządził, że ta pierwsza miłość musiała go związać z istotą zimną, rozbrataną ze światem, która się wyrzekła uczucia — przyjmując go nie mogła — a samém swém położeniem stała tak daleko

od niego, iż ku niej sięgnąć było zuchwalstwem. Robert widział to jasno, ale rozpaczliwe uczucie było jeszcze dla spragnionego serca błogosławieństwem....

— Skończy się to jakąś katastrofą — mówił sobie — niech się kończy jak chce, ale niech trwa.... Ja nie wyznam jęj nigdy, że ją kocham; za cóżby mnie miała odtrącić? Jest dla mnie dobrą.... Ona chce może, abym ją tak kochał z milczeniem i pokorą niewolnika.... Będę ją kochał jak każe — ale kochać ją muszę....

Miłość ta zamknięta w sobie, nie mogąca się wylać, objawić, poskarżyć, tém była dla niego straszniejsza. Był to ten ogień ukryty, co wyżera wnętrza ziemi, aż — dnia jednego — otchłani się otworzy i skorupa zwęglona w nią zapadnie....

Nazajutrz nie śmiał Robert mówić o wyjeździe; ojciec chodził smutny jak noc — patrzył w okna, nie śmiejąc spojrzeć na syna.... Łzy mu się chwilami w oczach kręciły. Trwało to z małemi zmianami dni parę, gdy major raz wpatrzywszy się w Roberta, dostrzegł bardzo wyraźną zmianę na jego twarzy. Znikały z niej rumieńce, oczy mu wpadły, blady był. Spytał go, czy nie chory? Robert zaprzeczył temu.... Ojcowskie oko widziało jasno — syn cierpiał.... Nie mógł tego znieść major — sam wspomniał mu o wyjeździe.

— Kiedy ty chcesz do tych Zahajów jechać?

— Czekam aż mi ojciec pozwoli....

— A! na Boga! ja ci nie bronię przecie. Jeśli masz potrzebę — jedź....

Spójrzał, rumieniec wytrysnął na twarz Roberta; stary się odwrócił żywo, i zimno rzekł odchodząc:

— Zadzysponuj konie.... ja cię choć o parę mil przeprowadzę....

Natychmiast wydane były rozkazy — orzeźwiał Robert tak widocznie, iż ojciec się tém niemal więcej niż zmizerowaniem przeraził. Według przyrzeczenia trzy mile przeprowadzał go major do pasu, nie śmiejąc już ani słówka bąknąć, ani żadnej dać przestrogi, ani napomknąć.... o niczém. Dopiero gdy się już rozstawać mieli, ściskając go, niespokojny major powtórzył:

— Robciu — serce moje — pamiętaj o tém cośmy mówili powracając z Tarajewa.... Do niczego w świecie zmuszać cię nie będę.... ale — niech Bóg nas od tego strzeże i uchowa — gdybyś przeciw mojemu przekonaniu postąpić chciał, pomyślał o czémś, coby ci życie zawiązać mogło, uczynić nieszczęśliwym — nie pozwolę!! Jam stary — jam żył — ja znam świat — ty masz złudzenia młodości.... Ja chcę, ja muszę cię widzieć szczęśliwym!

Począł go niemal płacząc ściskać major, a gdy się ze swych objęć wyrwali, oba podobno łzy mieli

w oczach... Z popasu Robert dnem i nocą pośpieszył do Zahajów. Ludzie byli przekonani, że tak niespokojny był o swe gospodarstwo.

Pan Karol siedział w Ruszkowie z ręką na temblaku—cierpiał mocno z powodu nieostróżnego uderzenia się o drzwi... Chciano sprowadzić doktora Wellera, lecz się wyprosił od tego, zaręczając, że sam jest po trosze lekarzem i że się arniką i homeopatją wykuruje...

Ada w kilka dni po jego przybyciu, gdy się umiał jakoś wybornie wcielić w towarzystwo jój i domowników, mogła go prawie nie widzieć i nie wiedzieć o nim. Nie zawadzał jój na pozór wcale, bo go ignorowała, chociaż nie chybiała mu bynajmniej—ale ją niecierpliwil straszliwie. Rada się go była pozbyć—nie wiedziała sposobu...

Zręczny bardzo pan Karol starał się stać niewidocznym prawie—zabawiał się z pułkownikiem, z Oblęckim, z Musiatowskim nawet... z Habichtem w ogrodzie—czytał u siebie książki, prześiadywał dużo w bibliotece, czasem godzinami rozmawiał po cichu z panną Karoliną—a o wyjeździe mowy nie było.

Gospodyni też nie okazywała, by się go pozbyć chciała, dowodziła mu tylko, pokazując się rzadko, rozmawiając z nim niewiele, iż jój był najzupełniej

obojętny. Karol właśnie może tę obojętność tak wyrazistą, po swojemu brał za dowód, że się go obawiała.

Siedział, aby się pomścić; siedział, aby się doczekać Roberta i — przeszkadzać. Byłoby go to bawilo... Nigdy w życiu, w najlepszych towarzystwach nie trafiało mu się być tak sponiewieranym — bywał nienawidzony, nigdy traktowany tak jakby nic nie znaczył i nie istniał. To miłość własną jego oburzało do najwyższego stopnia. Dowcip, nauka, talenta, zręczność — w oczach téj kobiety, okazującej mu grzeczną, ale największą pogardę, nie znaczyły nic. Było za co pogniewać się i zemsty zapragnąć.

Czuł to, że mści się samém siedzeniem w Ruszkowie, z kąd go z tą ręką na temblaku, nie można było wypędzić — a obiecywał sobie jak najdłużej ją na nim nosić.

I on już niecierpliwił się, że Robert nie przyjeżdża.

Do siedzenia upartego i to się przyczyniało może, iż pan Karol — w najdziwniejszy sposób zajął się panną Karoliną. Czy go pociągnęła młodość, świeżość, skromność, nieśmiałość, czy fantazyja zepsutego człowieka, któremu się zachcewa nagle przedmiotu wczoraj pogardzanego — któż to zrozumie?

Ani sam przed sobą, ani przed nikim się z tém nie wydał, ani przyznał sobie, że go mocno zajmowała — lecz ten dowcipniś i szyderca, przy krosienkach małomównój i trwożliwój panienki, z przyjemnością całe przesiadywał godziny. Nikt go nie posądzał o skłonność, bo się jój domyślić, przypuścić było trudno.

Ada obawiała się tylko, żeby z niój nie szydził. Panna Hortensya była pewna, że to są żarty.... a może chęć obudzenia zazdrości w gospodyni. Śmiał się z siebie, ruszając ramionami pan Karol — gdy wieczorami powracając do mieszkania, przynosił kwiatek ukradziony z bukietu Sensytywy.... i składał go na stoliku z uszanowaniem....

— Wracam do błogich czasów studenckich! mówił sobie. Sam siebie nie poznaję. Jednak gdybym się raz zakochał na prawdę — byłoby to niedarowane głupstwo. Ale to, szczęściem, być nie może....

Z każdym dniem rosła niespokojność gospodyni: Robert mógł nadjechać! Na ten powrót czekała tak długo, a zatruć miała go przytomność tego nieznośnego szydercy....

Chwila, do której biło jój serce — choć się do tego nie przyznawała nawet przed swoim dziennikiem — ta chwila, której łaknęła — mogła się zmienić w najutrapieńszą męczarnię. W końcu na myśl przyszło panie Adzie, że ten uparty kuzynek, siedzący załogą, mógł w ten sposób wyczekiwać na

jakąś pomoc pieniężną dla swych interesów. Znała go dosyć z tego co słyszała o nim, aby go o to móżdż posądzić.

Jednego dnia zręcznie się starała wybadać Hortensyę, zawsze ją posądzając o współnictwo...

Na pierwszą, daleką jeszcze o tém wzmiankę — panna Trocka zakrzyknęła oburzona! Nie godziło się go o to posądzać nawet, był to najbezinteresowniejszy w świecie człowiek.

Panna Pretwiczówna zdecydowana już była wykupić się z téj niewoli.

Krok to był wszakże niezręczny — panna Hortensya musiała o nim zawiadomić pana Karola, który tém większą zemstę poprzysiął — i siedział. Nie było ani nadziei, ani sposobu pozbycia go się. Wprawdzie dokuczliwy nie był, ale już sama przytomność jego starczyła do popsucia humoru — gdy on przeciwnie udawał, że był w najlepszym.

Wszystko się tak składało przeciwko woli Ady, a z jej charakteru wypływało, że się tém mocniej upierała, nie chcąc uleść naciskowi, jaki czuła dookoła — Hortensya i Karol już ją dostatecznie męczyli, Robert nie przybywał, ale jednego rana zadzwoniono na mszę ranną w kaplicy.

Zdziwiła się gospodyni, posyłając zapytać jaki ksiądz ze mszą przybył? Trafiło się często, iż zajeżdżali tu zakonnicy z pobliskich klasztorów. Służący przybył z oznajmieniem, iż ksiądz kanonik

de Bello przyjechał. Zdziwiło to nieco Adę, — ale wybrała się na mszę. Jak za dawnych czasów, ksiądz wyszedł przed ołtarz, kapliczka była pełna. Tryumfująca i wesola rzucając oczyma w koło, w ławeczce swój klęczała panna Hortensya, zdając się mówić wzrokiem Adzie:

— Widzisz, że my na swoim postawimy.

Ze spokojem i rezygnacją modliła się piękna gospodyni, nie dając poznać po sobie, jak ją wzruszało przybycie kanonika, z którym nieuniknioną się zdawała (potem co zaszło) rozmowa i rodzaj przejednania.

Jak zwykle za dawnych czasów, na kawę przyszedł ksiądz kanonik do salonu, w którym nań już czekała gospodyni, gotując się na rozmowę. Panna Hortensya pośpieszyła także; jakby z rozkazu, znalazł się i pan Karol. Kanonik wszedł z twarzą wypogodzoną, jak gdyby nic nie zaszło i nic się nie zmieniło, powitał i o zdrowie spytał gospodynię, zaczął mówić o swych zatrudnieniach, o nowinach z sąsiedztwa — i pierwsza chwila przeszła bez najmniejszej alluzji do tego co go poróżniło z panną Adą.

Panna Hortensya i Karol dosiedzieli tak długo, iż w końcu gospodyni wyjść musiała, zostawiając ich z kanonikiem. Samo z siebie wynikało, że miał pozostać na obiedzie. Tu znowu osób było tyle, iż do żadnych tłómaczeń przyjść nie mogło, bo teby tylko na cztery oczy odbyć się musiały. Ada sama

się w duchu zapytywała:— czy się to może obejść bez poufnej rozmowy i zatrzeć — jakby nie było?

Ku wieczorowi, kanonik zająwszy swoje mieszkanie zwyczajne w efekywie, nie odjechał. Trochę niespokojna Ada wyszła nieco wcześniej do salonu, ale tu już zastała na czatach pannę Hortensyę, i Karolinę, przy której siedział cicho rozmawiając Karol, kanonik chodził po pokoju, z dawną poufałością przyjaciela domu. Powitał wesoło przybywającą i rozpoczął rozmowę zajmującą od nowin, jakie odebrał z Rzymu, z Francyi i z Belgii, dotyczących się ogólnych interesów kościoła. Zajmowała go także missya przedsięwzięta do Chin, na którą zbierano składki po całym świecie katolickim. Był to przedmiot, który zawsze gorąco obchodził Adę, gorliwą o to, aby katolicycy missyonarze protestanckim się wyprzedzać nie dali. I tym razem poczęła się rozpytywać pilno.... Ksiądz kanonik opowiadał wiele, czytał odebrane listy i okólniki.... Pozostali tak zajęci tym przedmiotem, zupełnie odosobnieni, i ksiądz brabia, gdyby był chciał, mógłby był łatwo coś powiedzieć o swoim przybyciu, wytłómaczyć je — słówko jakieś napomknąć. A że tego nie uczynił, wniosła Ada, że chciał, aby to było zapomniane. Sama nie miała też ochoty wznowiać nic, ani się okazywać obrażoną.

Puszczono więc w zapomnienie owo nieszczęśliwe znalezienie się dyrektora sumienia, który zupełnie

był teraz takim jak niegdyś, i zdawał się też chcieć zatrzeć wspomnienie o niewłaściwym swém znalezieniu się. Ada była rada, że się to tak skończyło, że nadto bijącego w oczy zerwania stosunków mogła uniknąć.

Jednak nie uległa — i jój dawne uczucia dla kanonika nie powróciły; stała mocno przy swoim, aby się nie dać zawojować, nie dozwolić nikomu kierować sobą. Wszystko się składało na to, aby w niéj wzmódz to postanowienie.

Zostawiona sama sobie, gdyby nie się nie sprzeciwiało jój skłonności — byłaby może walczyła z nią i pokonała; znalazłszy opór i zawady — czuła się niemi do walki zagrzana.

Rtóż wie? może nareszcie to długo zamknięte serce, raz się otwarło! Ona sama wcale tego nie przypuszczała. Oburzało ją tylko, że chciano swobodę jój ograniczyć, kierować nią, która dla téj samotności poświęciła wszystko. Myśli podobnego zuchwalstwa ścierpieć nie mogła...

Z każdym dniem więcej — niecierpliwilo ją też, że Robert nie powracał. Miała mu to za złe, i tłumaczyła sama przed sobą. W końcu gdy Karol nie odjeżdżał, prawie rada była, iż Robert się nie zjawiał. Ale i to nie trwało długo — powiedziała sobie, że powinien był wracać, aby jój dać zrzeczność pokazać jawnie światu całemu, iż wcale nie myśli zważać na to, co on mówi i sądzi... Chcia-

ła znów tego powrotu dla Karola, dla kanonika—
lękała się, aby jój nie posądzono, że uległa im i
odpawiła go.

Tymczasem Robert, wstrzymywany przez ojca,
siedział w Żabliżkach. Pierwszy raz w życiu
Ada doświadczała niepokoju, który ją dręczył
bezustannie. Nawykła panować nad sobą, otoczo-
na posłusznymi, szczęśliwa w tém co się do niój
ściągało, dawniej miewała fantazyę, nudziła się,
nie doznając téj gorączki niepewności i oczekiwa-
nia, która ją niemal upokarzała, stawiając na równi
z resztą ludzi.

Dręczyło ją to. Kilkakroć namyślała się, czy
nie lepiejby było — nagle, tak jak to już nieraz
bywało — wybrać się na jakąś wycieczkę za gra-
nicę, wprzódby nawet niżby Robert powrócił — za-
bawić długo, przemódz się, zapomnieć...

Przychodziło do tego, że chwytala prawie za
dzwonek, aby do niój proszono pułkownika, które-
mu miała dać polecenie do wyboru w drogę; parę
razy już na ustach to miała i wymówić — nie
mogła.

Łzy jój stawały w oczach nad tą słabością wła-
sną, chociaż natury jój przyznać nie chciała...
Była to jeszcze fantazyja jak inne, żywsza tylko
trochę, bo ją dłuższe i silniejsze poprzedziły
nudy...

Tak się to ciągnęło bez zmiany, kanonik wyraźnie do dłuższego pobytu był przygotowany, pan Karol ani mówił o wyjeździe, choć łatwo było dostrzedz, że ręką na temblaku spoczywającą robił wszystko jak zdrową. Panna Hortensya egzaminowała twarz kuzynki, próbowała ją badać — dobyć z niej nic nie mogła, oprócz wielkiego chłodu i obojętności dla siebie.

Częste narady odbywały się z kanonikiem i panem Karolem, którego choć lekceważono — lecz przypuszczano go do nich... bo się umiał uczynić potulnym...

Jednego wieczoru, właśnie pod pozorem przechadzki wszyscy troje byli w parku — i panna Hortensya zagaiła zwykłą rozmowę.

— Radabym, rzekła — ażeby mi kto tę kobietę wytlómaczył — ja, wyznaję w pokorze — ja jej nie rozumiem. Dawnom się wyrzekła nawet nadziei, żebym kiedy dostąpiła tego szczęścia...

— Ja zaś pani dawno mówiłem — odezwał się kanonik poważnie, — że dla mnie jej postępowanie zupełnie jest zrozumiałe. Pan Bóg dał jej powołanie do klasztoru — co jawnie się okazuje z jej wstrętu do małżeństwa; — nie usłuchała głosu z góry — wszystko złe z tego pochodzi. W klasztorze nie potrzebowałaby własnej woli, której użyć nie umie. Gdyby była nawet przełożoną, reguła panowałaby nad nią... Na świecie ona

nigdy ani szczęśliwą nie będzie, ani w zgodzie sama z sobą.

Karol się uśmiechnął.

— Nie wytrzymałaby nawet.... zostawszy kanoniczką — odezwał się — nadto nawykła do pańskiego życia....

— A! ale ona gdy chce — zawołała Hortensya — obchodzi się najprostszymi rzeczami.

— W ten tylko jeden sposób możecie ją państwo zrozumieć — potwierdził kanonik.

— Mnie się zdaje, że zamąpójście równieby na to pomogło, jak klasztor — rzekł pan Karol. W niém także swojej wóliby nie potrzebowała.

— Zapominasz pan, rzekł ksiądz — że taki charakter mógłby uczynić ofiarę na ołtarzu, ale nie przed ołtarzem, dla Boga nie dla.... kogoś tam....

Hortensya zwróciła rozmowę na inny nieco przedmiot.

— Mnie się znów zdaje, że się wyczerpały zabawki. Jój potrzeba czegoś nowego.... Uczyć się rzeźby — bodajby nagle zająć gorąco fotografią.... albo chemicznemi doświadczeniami.... Tuby ją uleczyło.

— Tak, na chwilę — to są palliatywa — mówił kanonik. Bądź co bądź, to kobieta z umysłem niepospolitym i niepospolitą też ambicyą. Ona powinna założyć instytucję jakąś, stanąć na jój czele, kierować — tuby ją tylko mogło pochłonać

i dostarczyć pokarmu na całe życie dla téj duszy spragnionéj czynu, a obumierającéj w bezczynności.

Hortensya się nie śmiała sprzeciwiać.

— Ja tam w głębokie analizy się nie wdaję — odezwał się Karol z pół uśmiezkiem. Od niedawna mam szczęście znać bliżej pannę Adę — ale to dla mnie pewnikiem, że ona się nudzi, a my jéj zabawić nie umiemy.

— *Mais elle est inamusable!* przerwała panna Hortensya — to co ją wczoraj uszczęśliwiało, jutro w kął rzuca....

Kanonik szedł z głową podniesioną patrząc po drzewach, i nie chcąc się już więcej mieszać do tych rozpraw....

— Jabym miał prawo — mówił Karol — szczególniej się na szanowną kuzynkę uskarżać. Jest dla mnie grzeczna, ale nie miałem szczęścia nawet na kwadrans uwagi jéj zwrócić na siebie. Zaledwie mówić zaczęę, już myśli o czém inném i patrzy gdzieindziej.... Do rozpaczy mnie to przyprowadza. Traktuje mnie jakbym nie był go-dzien rozmowy....

— *Parti pris!* szepnęła Hortensya — udawanie — nic więcéj. Gdy chce, tak gra komedyę — jak wszystkie kobiety....

— I pani? podchwycił Karol.

— I ja — wszystkieśmy zmuszone na tym świecie, pod panowaniem waszém, przebiegłością brak siły wypełniać!

Kanonik nawet, słysząc to wyznanie uśmiechnął się nieznacznie. Zbliżali się tak z wolna ku palacowi, i przedmiot się wyczerpywał, gdy panna Hortensya, której oczy biegające, zawsze najpierwsze dostrzegły każde nowe zjawisko — zobaczyła na werandzie pannę Adę rozmawiającą z jakimś... mężczyzną.

Drgnęła cała, i ręce jój mimowolnie klasnęły... stanęła... Spojrzeli na nią.

— Jestem pewna, że Robert przyjechał! krzyknęła — nie kto inny — to on — poznaję go po figurze... Tak! on! on — niezawodnie! Patrzcie — patrzcie — jak się pochyła ku niemu, co za ruchy ozywione!... A! on!! Śmieją się... zapomnieli nawet, że na nich ludzie patrzeć mogą... Ale to... *mais cela n'a pas de nom!*

Ks. kanonik zaciąwszy usta patrzył z daleka. Karol chciwie wyciągał szyję i posługiwał się lornetką, aby przyjrzeć się lepiej, będąc pewien, że gdy się zbliżą, spłoszą tę czułą parę. W istocie Ada i tylko co przybyły Robert tak sobą byli zajęci — iż nie widzieli nic więcej nad siebie — a może i wśród tłumu, w téj chwili zazdrosne oczy nie wieleby dla nich ważyły... Hortensya, kanonik, Karol, zakryci byli gałęzmi starój lipy, przez

której liście mogli się przypatrywać, nie będąc widziani. Stali tam jak przykuci, ksiądz kanonik z wyrazem politowania, Karol szyderskiej ciekawości, Hortensya gniewu prawie. Ona pierwsza, widząc jak Robert poruszony, szczęśliwy opowiadał coś śmiejącej się i rozpromienionej Adzie, ruszyła się z miejsca.

— Ale chodźmyż! zawołała — czyż damy im tak tandressy sobie prawić!... Chodźmy....

Ruszyła się pierwsza, kanonik po pewnym namyśle, dobył z kieszeni małego brewiarzyka i uszedł w boczną ulicę. Karol zaciekawiony mocno szedł w ślad za niepiękną kuzynką, z którą samotny spacer ani Jój ani jego kompromitować nie mógł....

Zdawało się, że rzutem oka bystrym Ada spostrzegła nadchodzących z daleka — lecz ani się ruszyła z miejsca, ani zmieniła postawy — głośniej tylko nieco mówić i śmiać się poczęła, usiłując dobry humor, którego od dawna nie okazywała, uczynić jak najjawniejszym, niewątpliwym.

Można sobie wystawić — jak to gniewało pannę Hortensyę, która prawie do krwi zagryzała usta. Karol się śmiał, lecz kwaśno....

Zbliżyli się do werandy, i Ada dopiero teraz niby ich spostrzegła.... Zwróciła się do Hortensyi wesolo.

— Widzisz kochana kuzynko, odzyskaliśmy dezertera.... pan Robert z powrotem. Pomimo różnych przypuszczeń pułkownika, ja nigdy wierzyć nie chciałam, żeby nas p. Jazyga się wyrzekł....

To mówiąc, zaprezentowała nie Roberta panu Karolowi, lecz przeciwnie. Wprawdzie jako kuzyna domu należało go przedstawić — lecz.... kuzyn miał się za coś tak wyższego.... iż go to dotknęło. Zmierzył oczyma ciekawemi Roberta, który grzecznie i uprzejmie mu się uklonił. Stojąca z boku Ada pilnie to pierwsze spotkanie badała.... zdało się, że chciała wzajemne ich myśli odgadnąć.

Karol nasłuchiwał się był tyle i tak różnych rzeczy o tym parobczaku od panny Hortensyi — iż pod wpływem ich miał o nim wyobrażenie, którego pierwszy rzut oka wcale nie potwierdził.

Wystawiał go sobie niezgrabnym i ograniczonym, a znalazł naturalnym, — i same oczy, czoło, wyraz twarzy o pojętności świadczyły. Przy tém Karol nie mógł zaprzeczyć, że chłopak był bardzo piękny, świeży i miał w sobie wszystko co się kobiecie podobać mogło.... Znać było przy niesmiałości pewnej, która mu wdzięk dawała — wyraz siły i energii, nie popisującej się z sobą, ale siebie świadomej.

Pan major nie bardzo go napędzał do książek, ale to mężkie wychowanie, które na nabyciu

zręczności do jazdy, strzelby, pływania... zależy — doprowadził do najwyższego stopnia doskonałości. Na Robercie widać to było, że się niczego nie zleknie. Pan Karol zrozumiał to — i uczuł dlań — uszanowanie.

Doznał zupełnego zawodu — i to go w pierwszej chwili zmieszało.

Ada, jakby umyślnie, nietylko się nie tała z tém, że gość jój był miły i pożądany, ale ze szczególną troskliwością ciągle się ku niemu zwracała... Zaledwie przerwana rozmowę z nim, rozpoczęła znówu, — a co gorsza, nie dając się do niej wmieszać drugim, poczęła się z nim przechadzać po werandzie.

Oczy panny Hortensyi rzucały pioruny, Karol szydersko popatrzwszy na tę parę, siadł i zaczął jakieś album przeglądać, ale więcej patrzył na przechadzających się niż na nie.

— Mówiłam panu — odezwała się Ada, gdy w przechadzce zbliżyła się ku stolikowi, przy którym siadł pan Karol — mówiłam, zdaje mi się panu, że pan Jazyga jest moim najmilszym sąsiadem... Nie wątpię, że przy bliższém poznaniu, kuzyn podzielisz moje zdanie...

Karol się kłaniał uśmiechając — a choć nie mówił nic, patrząca nań Ada mogła szyderską odpowiedź wyczytać. Lecz brawowała widocznie —

wzrok jój się nie cofnął... stała śmiała... wyzywając cały świat do wojny...

Że panna Hortensya nie omdlała — stało się chyba cudem wielkiej potęgi jój nad sobą. Weszła panna Karolina, przywitał się z zarumienioną Robert, zaczęli się inni schodzić na herbatę i gospodyni miłego gościa musiała opuścić. Ścisnął go radując mu się pułkownik, cieszył się nim Oblęcki, witali wszyscy... nawet słudzy — serdecznie i przyjacielsko, Kanonik tylko wszedłszy, zatrzymał się z dala i skłonił, trzymając w tej odległości, z wyraźnym, odstręczającym chłodem... nie dając do siebie przystąpić bliżej.

Robert też nie miał do tego najmniejszej pretensyi... Przy herbacie zwykle po prawej stronie gospodyni siadał kanonik, po lewej panna Hortensya... zaraz za nią pan Karol. Gospodyni przeprosiwszy kuzyna, miejsce jego oddała gościowi. Wszystko to drażniło... Po twarzach przytomnych, widać było przelatujące płomienie i bladeść... spoglądali ku sobie sprzysiężeni, oczyma sobie dając znać co się to działy za okropności.

Najokropniejszém było podobno to, że gospodyni wcale się nie mieszała, nie troszczyła o nikogo, rozpytywała o majora, o Żabłiszki, o okolice, o zajęcia jakie tam miał, o to jak znalazł Zahaje, — słowem mówiła z nim, o nim i zajęta była nim tylko.

Oprócz pułkownika, który się ochoczo mieszał do téj rozmowy i pomagał do niej — reszta towarzystwa niema, pomieszana, przybita, nieśmiała ust otworzyć. Nigdy nie przypuszczano, aby po scenie z kanonikiem, w obec Karola, Ada się dopuściła takiego otwartego buntu...

Było to prawie przyznanie się do słabości — do stosunków, które — na sąsiedzkiej przyjaźni ograniczyć się nie mogły.... Jawne to było.

Przy herbacie panowała zawsze swoboda zupełna, siadał i wstawał kto kiedy chciał. Nie mogąc wytrzymać, pierwsza pierzchnęła panna Hortensya, a Ada znak dała Jazydze, ażeby zajął jéj miejsce, bliżej jéj krzesła!

Zobaczywszy to kanonik, z powagą wielką, z wolna, w okno się popatrzywszy, wstał także i wyszedł na werandę.

Pośpieszyła za nim panna Trocka.

— A co? a co? zawołała — ślicznie! Nie ma co mówić — przynajmniej *elle a le courage de son opinion!* Nie kryje się, nie tai.... Cóż tu dodać? Nie jestże to jawne, oczywiste? Miałam ja rację czy nie?

— W istocie — odezwał się kanonik cicho z wyrazem smutku — tego się nie spodziewał....

— Nie ma najmniejszej wątpliwości! myśli się wydać za niego! Ciągnie go sama! *Elle fait des avances!* Żadnego wstydu, najmniejszego pomiar-

kowania!! Przy księdzu kanoniku, o którego wie zdaniu, przy Karolu, który tu reprezentuje familię — w obec ludzi dworskich.... kompromituje się rozmyślnie.... chłodno....

— Przyznaje — odparł ks. de Bello — że i ja zaczynam wierzyć, iż to jest rzecz seryo!

— Tak seryo — że jeśli familia nie chce, aby się stało nieszczęście, upokorzenie, — powinna wczesnie starać się zapobiedz.... W tém usposobieniu jak ona jest, możemy jednego pięknego poranku posłyszeć, że się zaręczyli, albo dowiedzieć, że im kto dał ślub.... A cóż? Indult sobie wyrobiją....

Żywo, zakaszliwając się, krztusząc mówiła panna Hortensya. Ksiądz zadumany słuchał.

— Ale przecież mamy niby opiekuna? — dodała....

Ksiądz ramionami poruszył.

Panna Pretwiczówna miała rzeczywiście przydanego jęj prawem opiekuna, ale ten się nigdy do nięzego nie mieszał. Raz w rok przyjeżdżał do Ruszkowa, bawił dni kilka, polował z półkownikiem, rozmawiał z pupilką i do swęj rezydencyi powracał. Tym opiekunem był pan radca tajny, którego niekiedy z powodu rangi i generałem nazywano, choć nigdy w wojsku nie służył. Część znaczną życia spędził on w Petersburgu, teraz odpoczywał na wsi. Człowiek to był wielkiego światła, oglady wielkiej, w towarzystwie bardzo miły,

lubiący życie i umiejący je sobie urządzić, majątny bardzo. Krewny matki panny Ady, z prawa krwi na opiekuna był najwłaściwszym. Nie naprzykrzał się wcale wtrącaniem do interesów, lecz znano go z wielkiej dumy rodowej, której nie tail. Arystokrata był w całym znaczeniu wyrazu i wyznawcą téj zasady, że są uprzywilejowane rody, które stanowisko w społeczeństwie wyjątkowe zajmować muszą.

Wspomnienie o opiekunie, z razu przyjęte obojętnie przez kanonika, dało mu do myślenia — znał go niewiele.

— Czy pani sądzisz, że opiekun mógłby tu coś — znaczyć? że jego słowoby, ważyło?

— Jeżeli czyje to jego! odparła panna Hortensya... Ja tam nie wiem czy się on prawnie sprzeciwić może, ale Ada go szanuje... ma powagę.... Gdybyś kanonik napisał do niego!

— Ja? wstrząsając się zawołał ksiądz — ja! — ale proszę mi dać pokój! Ja się tu do niczego mieszać nie chcę. Pisz pani, niech pisze szambelanowa. Kto się podoba — ja! nigdy w świecie! Hortensya popatrzała nań z gniewem prawie.

— Naturalnie — odezwała się — na mnie spada wszystko, i gniew też na mnie spadnie. Nikt się nie chce mieszać, wszyscy umywają ręce....

Kanonik począł się przechadzać po werandzie, nie odpowiadając wcale.... Przez okna salonu wi-

dać było, jak wstając od herbaty weszli do niego, a na przedzie Ada wiodąca za sobą Roberta.

Szedł za nią z twarzą, na której szczęście się malowało — zapomniawszy o Bożym świecie.

Być może, iż na przyjęcie jego tak nadzwyczaj serdeczne wpłynęło to, że pani domu okazać chciała, iż się niczyich oczu nie lęka; — lecz i to pewna, że ujrzawszy go zapomniała się — nie była panią siebie. Gdy wszedł do salonu, była sama, zarumieniona postąpiła parę kroków, i bez myśli wyciągnęła mu ręce obie. Było to poruszenie serca. Robert chwycił je całując, tak — że mu je wyrwać musiała....

— Tak bawiłeś pan długo! — szepnęła — a ja — a my.... Ale cóż pana wstrzymywało?

— Ojciec — rzekł Robert — musiałem być posłuszny.

— I zmizerniałeś pan....

— Bom tęsknił...

Spójrzała mu w oczy.

— Tęskniłeś pan?

— A! pani — czyżbym mógł nie tęsknić do Ruszkowa....

— A — a Ruszków — wierz mi — dodała cicho — tęsknił także do pana....

Dopiero tych słów domówiwszy, powstrzymała się Ada — i zwróciła....

— Mam bardzo nudnego gościa, rzekła żywo. Jest-to kuzyn mój — miły bardzo człowiek, ale jak piórko lekki.... jak osa złośliwy.... z którym proszę pana być — grzecznym, ale ostróznym. Gdyby chciał być bardzo serdecznym, co być może — nie dawaj się chwycić za serce. W progu przestrzegam pana.... ale.... tak wypadło.... Radam, że to uczynić mogę.

— Jak się ma ojciec?

— Zdrów! dziękuję.

— Przecież nie myśli mi pana ztąd odebrać? przesadzić do Żabliszek?...

— Zdaje się, że projekt na teraz zaniechany....

Ada odetchnęła, i poważniej, jakby z obowiązku zaczęła ucznia słuchać egzaminu z książek, które mu dała na drogę, wywołując jego zdania.... badając myśli. Kilka razy widocznie się ucieszyła trafnością sądu — a była tak usposobiona, że wszystko widziała jasno i różowo.

Robert chciał po herbacie odjechać — zatrzymano go koniecznie na wieczerzę — musiał pozostać.... Nie zmienił się humor gospodyni, owszem zdawał się podbudzonym więcéj. Mówiła wiele z upodobaniem, jakby dopiero teraz zyskała słuchacza — godnego, by mu swe myśli zwierzyła. Pan Karol, który ją widział dotąd milczącą, pogardliwą, ze zdumieniem słuchał. Zmiana była dla wszystkich jawna....

Robert unikał objawiania się ze zdaniem,— obawiając się Karola, który siedział jak zaczajony. Parę razy tylko coś szyderskiego pół głosem wtrącił.

Dosyć późno rozeszli się wszyscy.... Półkownik zabrał jeszcze z sobą do dworu Roberta, chcąc z nim pomówić o majorze, gdy niespodzianie przyplątał się do nich pan Karol.... Chciał bliższą zrobić znajomość z Jazygą i szedł z wesołym humorem, udając dobrego koleżkę.

Robert był przestrzeżony,— grzecznie, ale ostrożnie się stawił.

Półkownik, który dosyć lubił gościa kuzyna, na próżno chciał ich zbliżyć do siebie. Na folwarku po kieliszku wina wypiwszy... rozeszli się, bo Robert, jak mówił— do gospodarstwa pośpieszał....

Gdy tego wieczoru Ada usiadła w swoim pokoju— z płonąca twarzą, z bijącemi u skroni pulsami, poruszona, niespokojna — oczy jój skierowały się na portret matki.... i oderwać się od niego nie mogły....

Wizerunek ten dotąd dla niej był przestrogą — tego wieczoru stał się groźbą.... Łzy zakreśliły się w oczach, które otarła co prędzej, otworzyła dziennik swój, wzięła pióro, chciała coś pisać — nie mogła. To co się z nią działo, było zbyt dla niej samej niezrozumiałém, aby sprawę ze stanu ducha zdać mogła.

Przychodził jój na myśl ten moment, gdy zobaczywszy go, wyciągnęła doń ręce obie, gdy mu się przyznała, że tęskniła do niego. Zarumieniła się ze wstydu przed sobą — zakryła oczy.

— Co on pomyśli o mnie? rzekła w duchu — pomyśli, że ja go kocham! Nie — nie! ja go nie kocham — nie mogę, nie będę kochała nikogo! O matko moja! jam ci to przyrzekła i dotrzymam, ale — nie mogęż mieć nawet ucznia — nawet przyjaciela! Nie! nikogo! Jestże w tém niebezpieczeństwo...?

Ja wie, że ma przyjaciółkę, siostrę we mnie — nie więcej. . . Nie!...

Wstała uspokoiwszy się trochę, zadzwoniła na służbę, która wchodząc rzuciła na nią wejrzenie, iakieś ciekawe, niedyskretne, rozebrała się prędko i książkę wzięła do ręki.

Na stoliku leżała jedna z pierwszych powieści p. Sand, w których ona tak gorącemi barwami maluje uczucia, że się namiętnościami wydają...

Zaledwie przeczytawszy kartkę, odrzuciła powieść ze strachem... W obrazie rodzącego się uczucia poznawała tak dobitnie swe własne, iż ją to przeraziło.

Z bolem głowy położyła się do łóżka, nie mogąc zasnąć. Gniewała się na siebie i płakała. Czuliła się nieszczęśliwą, sama nie wiedząc czemu.

Nareszcie sen zamknął powieki, ale marzenie na jawie przedłużało się we śnie.... Widziała się w swoim ogrodzie sama z nim. Robert ją prowadził pod rękę.... przypadkiem głowę złożyła na jego ramieniu, i było jój niewysłowienie błogo.... tak, że milcząc szła dalej, pragnąc z nim iść choćby na koniec świata....

Czuła jak ją objął w pól — pochylił się ku niej i szeptał coś co tak dźwięczało jak muzyka, a słodkię było jak śpiew rajski aniołów.

Drżała obawiając się obudzić, że to był sen — to znowu — jakby było na jawie — lękała się, aby ich nie podpatrzono idących razem....

Z za liści błyskały oczy Hortensyi; — w cieniu stał blady ksiądz i śmiał się okropném szyderstwem. Szczęście obracało się w męczarnię, pierś wzbierała....

Sen się przedłużał, zmieniał.... przechodził jakby przez jasne jakieś strefy i czarne otchłanie.... Robert znikł, była sama, szukała drogi; do koła otwierały się przepaście.... suche gałęzie łamały się pod jój stopami.... Nad brzegiem urwiska uczuła znowu jego przy sobie — i całą siłą chwyciła się ramion jego, zawisła na nich płacząc....

Usta jój przez sen wymówiły:

— Tyś mój!

Obudziła się — dzień był biały....

Siadła znękana na łóżku, z bijącym jeszcze sercem. Sen ten zdawało się uczynił go jój droższym... wypowiedział jój samój, czego ona na jawie wyrzec nie śmiała.

— Tak — ja go kocham! — zawołała ręce łamiąc kocham go. Broniłabym się napróżno, kłamałabym daremnie. Kochać muszę, choćbym cierpieć miała. Takie przeznaczenie nasze. Droga matko moja! i ty miałaś chwile szczęścia w życiu... i ty musiałaś kochać — bo człowiek umrzeć albo miłować powinien...

Ranek był jeszcze tak wczesny, że wszystko spało we dworze... ptaszki świergotały pod oknem. Ada już zasnąć nie mogła — wstała, ubrała się, otworzyła okno i na świeżem powietrzu chłodziła skronie.

Z tym snem wstąpiło w nią jakby życie nowe... Wszystkie dawne postanowienia złamane, zapomniane zostały... «Powinnam kochać — będę go kochała! niech się dzieje co chce! Niech ludzie mówią co się im podoba...»

Wśród tego rozgorączkowania — nagle wstyd opanowywał jakiś i trwoga... cofała się... Chciała pozostawić wszystko jak było... nie mówić nic, nie okazywać co czuła... Dosyć było jój sercu, że pozwoliło sobie kochać i przyznać do tego uczucia...

Oddychała swobodniej...

Sługa przechodząca pod oknem, przelekła się zobaczywszy je otwarte tak wcześnie, — i wbiegła spytać czy pani nie chora, lub czy jój czego nie trzeba?

Zawstydzona nieco, Ada powiedziała jój, że w istocie spać nie mogła... ale się chorą nie czuje — posłała po śniadanie i usiadła do dziennika... Wielkim pióra pociągiem oddzieliła jego poprzedzające karty od następnych, i poczęła od opisu tego snu, który ją do życia obudził...

We dworze, jak zwyczajnie, przez sługi wiadziano z rana, że pani całą noc nie spała... wstała o świcie, pisała coś, twarz miała niezwykajnie zarumienioną, oczy płonące... była czegoś niespokojna. Wiadomość ta doszła ledwie późno przebudzoną pannę Hortensyę, która z niej wnioski sobie właściwe wyciągnęła. Pilno jój było udzielić ich swoim sprzymierzeńcom...

Tymczasem, we wczorajszej rozmowie wpadłszy na myśl uwiadomienia radcy tajnego o tém co się tu zapowiadało — oprzeć się już nie mogła chętnie, intrygantom właściwej, spróbowania jeszcze tego kroku. Wiedziała dobrze, że opiekun jój nie zdradzi, a przyjazd też jego po roku niebytności niktogo nie zadziwi.

Co najprędzej więc siadła do stylizowania listu, który wymagał staranniejszej niż zwykle redakcyi...

O téjże godzinie przebudzony pan Karol, nie śpiesząc wstawać, bo nie miał po co, rozmyślał dosyć poważnie co mu dalej poczynać wypadało.

Z całą swą lekkomyślnością, nie był to zły człowiek — a miał to w charakterze, że ani w złém, ani w dobrém długo wytrwać nie umiał. Nudy, na jakie tu był narażony, które zaledwie osładzała nie tyle uboga rozmowa z Sensytywą, ile patrzanie na świeżą jój buzię — pobyt przeciągający się bez żadnego innego widoku prócz satysfakcyi, że dokucza — wprawiły go w usposobienie podobne do zgryzot sumienia.

Zaczynał sobie wymawiać całe postępowanie swoje — a bolało go to, że mógł się wydawać śmiesznym. Koniec końcem miał tego dosyć.... Hortensya poila go octem i żółcią — kanonik go męczył — Oblęckiego znał już na wylot.... jedna panna Karolina go tu trzymała....

Nie był to jednak węzeł, któryby go mógł przykuć na długo.

Gdy przyszło wstawać, służący pana Karola Paweł, postrzegł pierwszy, że pan był w złym humorze, a że z nim był otwarty, powiedział mu to....

— Coś pan dziś kwaśny?

— Tak jest, mój kochany — ale też nie na różach tu jesteśmy....

— A to czegoż siedzimy? mruknął sługa — słowo daję, żeby się pan kochał czy co — ale podobno

nie.... A tu na nas patrzą tak, jakby się jednę godzinę zbyć chcieli.

— Jak ci się zdaje? zapytał Karol — co? pakować się? he?

— A! jak Bóg miły — żwawo podchwycił sługa, któremu tęskno było do kawiarki w Warszawie, bo się w niej kochał mocno, a nie dowierzał, by nieobecnemu dotrzymała wiary. Co może być lepszego? pakować się i jechać!

Pocałował pana w rękę....

— Jedźmy panie! Tu człowiek uschnie z nudy i utrapienia.

— Jutro! rzekł pan Karol — sam nie wiedząc dla czego. Ale u niego to tak szło od fantazyi.

Lżej mu się zrobiło, gdy się zebrał na to postanowienie, czarną chustkę za temblak służącą odrzucił, uśmiechnął się do siebie w zwierciadle i szepnął:

— Jedziemy do Warszawy. Dość tego — to nie ma sensu.

Nic nie mówiąc pannie Hortensyi wprzód, Karol się zjawił przy śniadaniu z ręką zdrową i czołem jasnym.

— Nareszcie, rzekł witając Adę, która wyszła nieco blada, skarżąc się na głowę — ręka moja zupełnie zdrowa, pozwala mi kuzynkę od nieznośnej uwolnić załogi. Jutro jadę i proszę o rozkazy do Warszawy. Rozmyśliłem się, że do majątku nie

mam po co jechać — tam plenipotent sobie da rady lub nikt już jój nie znajdzie. Co się mam nudzić, wrócę do Warszawy.

Mówił to jakoś tak z prosta i bez złości, że Ada z podziwieniem nań spojrzała.

Rezygnacya, z jaką się odezwał o majątku — obudziła w niej współczucie. Była po śnie téj nocy skłonna do miłosierdzia. Karol też odjeżdżając czynił ją swobodniejszą, czuła się dlań do wdzięczności.

— Jakto? jutro chcesz pan jechać? spytała.

— Niezawodnie — potwierdził Karol — czuję, że był nieznośnie natrętnym, a zabawnym być nie potrafiłem....

Ada zbliżyła się ku niemu z wyrazem życzliwości.

— Powiedz mi prawdę — odezwała się po cichu.... Jakże stoją twoje interesa...? Jesteśmy krewni — możebym ci jaką pomocą być potrafiła...?

Zarumienił się mocno Karol.

— Jesteś doprawdy za nadto łaskawa dla takiego jak ja niegodziwca. Serdecznie wdzięczny jestem za tę myśl samą — ale — niestety! moje interesa to beczka Danaid.... Nic i nikt ich nie poratuje — bom ja wcześniej temu zapobiegł i starał się je tak pięknie urządzić! Zatem — nie mówmy o tém.

— Żal mi cię — rzekła Ada z serca, bo serce

dnia tego miała otwarte. Żal mi cię szczerze....
Tyś trochę lekkomyślny.

— A! trochę! Jesteś grzeczna bardzo — ja jestem okrutnie lekkomyślny — znam to do siebie — poprawić się za późno....

— Nigdy późno, panie Karolu....

— Bóg zapłać! całując ją w rękę odezwał się Karol. — Wierz mi — że mnie ratować nie warto.... Nadto długo się gubiłem.... Jestem otwarty.... to jedno co mi jeszcze zostało....

Wchodząca panna Hortensya przerwała rozmowę i Karol odezwał się do niej witając:

— Proszę o listy do Warszawy — jutro jadę.

— A toż co znowu?

— Okrutna tęsknota do billardu.... Śni mi się.... marzę o nim.... Stukot kul, chrzęst kijów.... zapach sali.... nie dają mi spoczynku! Zwycięzonym jestem.... powracam!

Skłonił się komicznie. Z kątką spojrzała nań panna Karolina i zbladła. Bładość tę dostrzegli wszyscy, choć pochyliła się zaraz do kłębuszków i zaczerwieniła jak wiśnia.

— Otoż — pomyślała oburzona Hortensya — cośmy zyskali.... Dziewczynę zbałamucił, nic nam tu nie poradził, i właśnie kiedy parobczak powraca, on się cofa, jakby mu z placu chciał ustąpić.

Gniewna zmierzyla go wzrokiem pogardliwym.

Karol już na to nie zważał; rad był, że poczciwy sługa poddał mu myśl tak szczęśliwą.

Kuzynka zaczęła się o zdrowie Ady dowiadywać dokuczliwie: znajdowała ją mizerną.... radziła wezwać doktora; ale gosposia, uśmiechnąwszy się smutnie i podziękowawszy jój — oświadczyła, że jest jój lepiej, i że o tak małej niedyspozycji mówić nawet nie warto....

Ze szczególną grzecnością i współczuciem była dnia tego dla Karola, który mimowolnie musiał to przypisywać temu, że ją uwalnia. Prosiła go nawet, ażeby pozostał, ale się na to nie chciał zgodzić. Dzień ten, osobliwszym sposobem, zbliżył ich po długim nieznośnym stosunku. Karol był wdzięczny. Ada miała nad nim politowanie. Pierwszy raz zawiązała z nim dłuższą rozmowę, a że Karol był w mniej złośliwem usposobieniu — więcej się jój podobał. W końcu — odezwała się do niego:

— Gdybyś potrzebował pomocy jakiej, a nie miał nikogo.... daj mi ten dowód zaufania, byś jój zażądał odemnie....

Mam na sumieniu, że cię może nie przyjęła tak, jak grzeczna i dobra gospodyni powinna.... Przypisz to nie złemu sercu, ale biednej fantazyi, humorom kobiecym.... bo choć ja się wydaję swobodna i niby szczęśliwa....

Nie dokończyła — Karol był poruszony.

— Nie ty, kochana kuzynko, mnie, ale ja ciębie powinienem przeprosić. Znalazłem się tu nie w porę natrętnym.... Ja całe życie robię niedorzeczności, za które żałuję i — poprawę obiecuję.

Podali sobie ręce przyjaźnie.... jak nigdy nie było, — i Karol odszedł poruszony, wyrzucając sobie, że się na nią poznać nie umiał.

Czekała na niego już Hortensya, niespokojna, gniewna, nierozumiejąca tego, jakim sposobem stać się tu coś mogło ważnego bez jęj porady. Karol, którego ona sprowadziła, wyjeżdżał nie jęj o tęp wprzódy nie powiedziawszy. Zaledwie mogąc pohamować się, panna Hortensya powołała go za sobą, a że na werandzie obawiała się być podsłuchaną, zeszła wiodąc za sobą delikwenta przed pałac do parku.

— Raczyszże mi pan wytłómaczyć, co to wszystko znaczy? Nagle objawiasz pan postanowienie wyjazdu. Zkąd? co? dla czego? właśnie w chwili gdy Robert przybywa? Uląkłeś się go pan czy co?

— Nie, szanowna kuzynko, rzekł żartobliwym tonem Karol: dałem dowody męztwa siedząc tu tak długo z wami, o tchórzowstwo nie godzi się mnie posądzać — a no — dłużej, dłużej mi już wytrwać niepodobna.... Nad siły!

— Cóż się stało?

— Nic nowego! Piłem te nudy dopóki mogłem, naostatek miara się przebrała....

— I rzucasz nas tak — nagle....

— Ale raczże mi powiedzieć, na co ja tu jestem potrzebny? pytał Karol.

— Na co? pan się pytasz o to? Gdyby nie więcéj toś mógł ją przytomnością swoją powstrzymać od skompromitowania się. Widziałeś jak go wczoraj przyjęła!

— Widziałem i właśnie to mnie przekonało że nie jestem hamulcem, bo panna Ada na mnie uwagi nie zwraca. Po cóż ją i siebie mam męczyć!

Hortensya rzuciła mu piorunujące wejrzenie.

— Otoż to jest nagroda — zawołała — gdy kto, jak ja, poświęca się dla dobra familii. Zostawiacie mnie samą, opuszczacie! Nikt nie chce robić nic. Nawet kanonik się uchyla! Zatém chcecie, ażeby Ada sobie ten kamień do szyi przywiązała?

— Szanowna kuzynko — to pewna, że ja wolałbym sam być tym kamieniem, niż inny widzieć u jej szyi. Coż na to poradzić, kiedy Ada ma swą wolę.... i — nikogo słuchać nie myśli!

Nie tyle mowa co ton szyderski i obojętny, w rozpacz wprawiły Hortensyę.

— Zatém pamiętajcie co ja wam mówię — pamiętajcie. Wszystkie nadzieje jakie rodzina pokładała na niej, są stracone. Pójdzie za męża! pójdzie. A wy, wy jedni temu winni będziecie. Piszę do szambelanowej, która mogła przyjechać tu sama i wpłynąć na nią; ta woli grać w wista spokojnie,

i nie raczy się ruszyć.... a wyprawia mi tu.... kogo?? — Nie dokończyła.

— Tak, masz kuzynko słuszną, przerwał Karol: najnieudolniejszego, najniezgrabniejszego z ludzi, który do téj roli wcale nie był stworzony!! — Mówimy otwarcie, bądźmyż całkiem szczerzy:— ja więcej mam sympatyi dla Ady, niż jéj mam za złe to co czyni.... Na jéj miejscu postąpiłbym sobie podobnie.

— A! a! pan! pogardliwie odparła Hortensya — pan!

— Ciekawość mnie tu ściagnęła — a wyczerpanie cierpliwości odpędza — mówił Karol. Widziałas kochana kuzynko, jak mnie tu przyjęto, *comme un chien dans un jeu des quilles*.... Uśmiechałem się, udając, że to mi wszystko jedno — w końcu....

— No, to jedź, jedź pan sobie — bośmy tu z niego wielkiej pociechy nie mieli. A możebyś i Karolinę z sobą zabrał, która ci się tak podobała! do dała ramionami ruszając....

Prawdziwie terażniejszego świata zrozumieć trudno! mówiła szydersko. Ada, osoba wykształcona, rozmiłowuje się w parobczaku.... a pan Karol, ozdoba salonów warszawskich, człowiek dowcipny, rozumny.... lubuje się w towarzystwie jednéj gąski jak Karusia!!

— Pani — zawołał śmiejąc się Karol — głębokie uczyniłaś postrzeżenie: *les extrêmes se touchent, les contraires s'attirent*.

— Zakochałeś się w Karolinie?

— Pokochałem ją — poprawił Karol — i gdy-
bym.... ale nie mówmy o tém.

Złośliwie rozśmiała się raz jeszcze panna Hor-
tensya, szarpnęła chusteczkę, którą w ręku trzy-
mała — ukłoniła mu się z powagą przesadzoną, i —
odeszła. — Karol śmiejąc się skierował w drugą
stronę. Tego dnia jakoś lekko i wesoło mu było.

Nazajutrz po śniadaniu, konie stały przed gan-
kiem do odjazdu gotowe, a pan Karol, dowcipny
jak nigdy, serdecznie zęgnął się ze wszystkimi.
Ada sama pamiętała o wyprawieniu go w drogę;
poleciała także pułkownikowi, aby pamiętał o jego
potrzebach, i wyprowadziła go wesoło na ganek,
polecając mu ukłony dla szambelanowej....

W Ruszkowie pozostał znowu dwór tylko po
dawnemu, domowi sami, i życie weszło w karby
zwyczajne.

Ada była wesoła, ożywiona i czynna.... Dawno
jój taką nie widziano. Ze wszystkiego nawet
była kontenta i chwaliła wszystkich, co się tra-
fiało rzadko. Pogoda jakaś i jasność patrzyły z jój
oczku i czułą młodością nową odżyła. Humor ten
budził w kuzynce najokropniejszy gniew i obu-
rzenie. Patrzyła ruszając ramionami i — z dala
tylko przycinając.

— Prawdziwie, żem cię dawno nie widziała tak
ożywioną — mówiła.... zazdroszczę ci.

Ada spojrzała z politowaniem na nią.

— Znajdujesz? rzekła.

— Znajduję, że od dwóch dni nadzwyczajnie jesteś zmieniona, i cieszyłabym się, gdybym wierzyła, że to trwać może....

— A dla czegożby nie miało trwać? spytała Ada.

— Dla tego, że u drogiej mojej pani nigdy żadne usposobienie długo nie trwa, a tém mniej tak szczęśliwe.

Gospodyni westchnęła z lekka, ale uśmiezek błędził po jej ustach, oczy miała pełne wyrazu czułości jakiejś niezwykłej, wachała urwaną gałązkę jaśminu i.... dumiała. Postać jej nawet dnia tego wdzięk miała szczególny.... Hortensya ścigała ją oczyma....

— Czemuż to przypisać tę zmianę tak szczęśliwą? szepnęła.

— Nie wiem — żartobliwie dodała Ada — pogodzie może....

— Odjazdowi Karola?

— Wątpię.

— Powrotowi pana Roberta? wtrąciła złośliwa....

— Dla czegoż nie? to mogło wpłynąć także.... Nawykłam do jego towarzystwa — miłe mi jest.... Czy pragnęłaś, bym to wyznała?? nie taję.

— Ale, gdybyś się zaparła nawet — dorzuciła śmiejąc się sucho Hortensya — cóżby to pomogło? Wszyscy to widzą... Nie umiesz się ukryć z niczém.

— Powiedz, że z niczém ukrywać się nie chcę — i nic nie mam do ukrywania — śmiało odezwała się Ada. Cóż komu do tego!...

— A! *pardon!* — gwałtownie zaprzeczyła Hortensya — nam, co ciebie kochamy... bardzo — do tego!!

— Kochacie mnie? powolnie, szydersko powtórzyła Ada... Kochacie!! A! bardzo wam wdzięczna za to; ale, proszę was, niech się ta miłość nie opiekuje mną! Dzieckiem nie jestem, wiem co czynię... no — i lubię być swobodną!

— A! któżby śmiał na twą swobodę się rzucać — i zaprzeczać ci jój? — ale kochające serca...

Ada skłoniła się, gałązkę jaśminu przyłożyła do twarzy, i nagle obejrzawszy się, uchylając zasłonę werandy, po niebiosach — odezwała:

— Pogoda — śliczna! mam wielką ochotę do samotnej przechadzki!! Gdybym się miała opóźnić na herbatę, nie czekajcie na mnie...

Hortensya nic nie odpowiedziała, Ada po cichu nóćąc piosenkę jakąś Mendelssohn'a — oddaliła się z wolna. Przyszło jój na myśl odwiedzić jeszcze raz Kasię. Chciała się przekonać, czy teraz to szczęście w chatce, z którego się śmiała, które-

mu się dziwiła — równie śmieszném i dziwném wydawać się będzie....

W dziedzińcu na psy swoje zawołała, które się zerwały wesoło jak pierwszym razem... Obłąki wyglądał oknem z oficyny.

— Pani sobie może komu każe towarzyszyć? spytał.

— Tak! żebym w ciągu przechadzki musiała go bawić rozmową, a on mnie! Ja właśnie chce myśleć, milczeć i być sama z sobą. Panie Mirosławie, jeśli się opóźnię — pijcie bezemnie herbatę.

To mówiąc ruszyła krokiem szybkim ku lasowi....

Wrażenia pierwszej przechadzki jeszcze były świeże.... a teraz — inaczéj się jéj przedstawiał krajobraz, natura.... inaczéj śpiewały ptaki, kwitły dzikie rośliny nad drogą.... Coś dziwnie wesołego, zachęcającego do życia, upajającego było w woni tego powietrza. Nigdy tak pięknych roślin nie widziała w polu, poczęła je zrywać z przyjemnością, bawiąc się niemi.... Koniki przelatujące, motyle, muszki miały barwy złociste, jakich u nich nigdy nie widziała.... niebo stroiło się w barwy włoskiego zachodu słońca.... Gdy weszła w las — stanęła zdumiona pięknością téj świątyni, której słupy wysmukłe trzymały w górze zielone sklepienia.... Szła żywo, psy przybiegały do niéj, lasiły się i uciekały wyprzedzając i kołując,

naszukując i sprzecząc się z sobą. Czasem z krzaku lub z pod kamienia zrywał się ptaszek, za którym goniły, póki im nie znikł z oczu....

Gdzieś daleko w lesie brzmiała przez echo powtarzana piosenka dziewczęcia, co grzyby zbierało.... Łagodziło dźwięki oddalenie, i rozchodziła się, rozpływała wdzięcznie, miękko, tęskno, tak, że Ada stanęła się jej przysłuchiwać, ażeby motyw jej pochwycić....

Tak doszła do domku leśnika.... ale przed dworkiem nie było nikogo.... Kilka kur chodziło szukając ziarna.... para gołębi dreptała także trzepocząc skrzydłami, to podlatując nieco, to spadając na ziemię....

Okno dworku stało otworem, wiatr powiewał białą jego firaneczką, a z głębi cicha wylatywała pieśń nad kołyską nucona tak, jakby matka razem z dziećciem usnąć miała.... Prosta to była melodia — ale dziś i ta, jak piosnka w lesie, robiła na niej wrażenie toż samo co dziko rosnące kwiatki nad drogą.... pełna była tego soku życia, co wprost z łona ziemi płynie.... sztuką nie wywoływany, nie podżywiany sztucznie. Słuchała stojąc, nim podeszła do okna....

W izbie siedziała z dziećciem na ręku Kasia, na pół drzemiąca, pół zamysłona.... Oczy miała spuszczone na swojego „robaczka;” cień w oknie spostrzegłszy, podniosła je.... Poznała panią swą

kochaną — ale dziecię usypiało, „robaczka” obudzić się nie godziło, palec położyła na ustach.... potem łagodnie, ostrożnie dziecię złożyła w prostej kołysce, obrzuciła je zasłonką od much, i dopiero wyszła rzucić się do nóg Adzie....

— A! paniuńcia moja droga! przepraszam stokrotnie — poczęła — musiałam chłopaka położyć, bo tak mi długo wrzeszczał.... Zębów dostaje.... proszę pani. Co to za bieda z temi zębami! Niedługo człowiek niemi gryzie chleb, a z taką to boleścią przychodzi....

Ada.... słuchała z zajęciem, patrzyła na Kasię, rada była wnijść w jej duszę, aby zrozumieć to życie, to szczęście.... Nie dziwiła się już tak Kasi jak wprzód — ale pragnęła wiedzieć, czy istotnie tak była szczęśliwa.

Tuż pod oknem w rogu dworku była bardzo prosta altanka, którą sam Stach dla Kasi wieczorami zbudował.... Lato ją obwinęło fasolami kwitnącemi ponsowo, powojem i sycyosem wziętym z Ruszkowa.... Siadły tam obie.... Kasia ją całowała po rękach.

— Jaka pani dobra! jaka łaskawa! że tak o swój staréj nie zapominasz słudze....

— Chciałam się dowiedzieć — może ci czego brak? mów? Zawsze twój Stach tak poczciwy i dobry — zawsze jesteś szczęśliwa??

Rozśmiała się Kasia, ocierając twarz i oczy...
poprawiając włosy...

— A! dzięki Najwyższemu — nic się u nas nie
zmieniło... Stach... poczciwy i przywiązany,
nie sędzę, aby się mógł nawet zmienić. Człek pro-
sty a serdeczny. Czegoż chcesz? A uchowaj Chry-
ste Jezu! bałamuctwa jakiego — o! droga pani
moja! czyż ja nie mam szczęścia w téj kołysce?

Odwróciła się ku domkowi...

Kasia nawet o tém dłużej mówić nie chciała, i
zagaiła o mleku, ofiarując się go przynieść. A że
osy i muchy pod altanką dokuczały, wprowadziła
Adę do domku... Siadła właśnie naprzeciw ko-
leбки, i matka nie mogła wytrzymać, ażeby pod-
niosłszy nieco zasłony, nie pokazała jój śmiejąc
się swojego pucółowatego chłopaka, który spał,
obie pięści trzymając przy twarzy, ze spokojem
pieszczonego jedynaka, wiedzącego, że nad snem
jego ktoś czuwa...

Zostawiając Adę przy kolebce, z prośbą, aby
na wypadek odezwania się dziecka, z lęka ją
nogą poruszyła (była to kołyska na biegunach),
Kasia pobiegła do obórki po mleko... Zadumana,
rozglądając się w tém szczęściu sprowadzonym do
najprostszego niemal wyrazu — pozostała Ada...
pojmując je teraz lepiej, czując mocniej... Jakaś
tęsknota i rozrzewnienie towarzyszyły jój myślom,
i miło jój było w téj ciszy, w chatce — u koleb-

ki — milój niż w salonie, gdzie ją ścigał złośliwy uśmiech Hortensyi i niespokojne wejrzenia jój dworu....

Dwa psy, które jój towarzyszyły, przez otwarte drzwi wśliznęły się do izby, pokładły głowy z obu stron przy jój kolanach i patrzyły jój w oczy....

Kasia nie nadeszła jakoś prędko z mlekiem: miała czas tak pozostać z ciszą, myślami i tym widokiem małego szczęścia w chatce, którego tajemnice rada była przeniknąć. Przyszła wreszcie gosposia.... zniżając głos, by dziecka nie przebudzić. Ada zaczęła z nią rozmowę o jój gospodarstwie.... rozpytywała o szczegóły; ani się spostrzegły, gdy zmierzchać zaczęło. Wtém przed dworkiem zatętniało, ktoś jechał konno.... stanął.

— Czy to twój mąż? spytała Ada.

— A! nie, mąż ze strzelbą poszedł pieszo.... zawołała Kasia do okna śpiesząc. Ale nim doszła do niego, głos bardzo znany, odezwał się:

— Panie Stanisławie! héj! panie Stachu!...

— To młody pan z Zahajów, zawołała Kasia, odwracając się, i postrzegła nagle, że Ada zbłądła i jakby przelekniona zadrżała....

— A! niech się pani nie lęka! ja go odprawię! To mówiąc gosposia wyszła z dworka na próg, ale za nią wysunęły się dwa psy ruszkowskie,

które Robert znał dobrze i wiedział, że one się bez pani swój nigdzie nie ruszały.

— Dobry wieczór panu — poczęła Kasia — mojego w domu nie ma — poszedł las obchodzić!

— A! a cóż tu psy robią z Ruszkowa? odezwał się zdziwiony Jazyga....

Psy właśnie łaszac się i podskakując ku dobrze znajomemu, zbliżyły się do niego.

Zapytanie to tak zmieszało Kasię, że zakrywając się końcem fartuszka, nie wiedziała co odpowiedzieć. Zarumieniła się mocno, skłopotana, oczy spuściła.... Szczęściem Ada, której męztwo wróciło, namyśliwszy się w tej chwili oknem wyjrzała....

Robert się uklonił i zsiadł z konia.

— A! pani tu! co za szczęście! odezwał się — zarumieniony.... Przyjechałem na polowanie prosić pana Rybackiego....

Ada patrzyła milcząca, wsparta na oknie. Kasia widząc, że Robert stoi w niepewności co począć z sobą, gościnną być zapragnęła.

— Niechże pan mnie da konia — zawołałam dziewczynki, to koń spokojny, ona go potrzyzyma.... a proszę wejść i choć mleka się napić....

Robert nie wiedział jeszcze czy mu wypadało przyjąć zaproszenie, gdy Ada się odezwała także:

— Nie odmawiajże pan Kasi!...

Przyszło jój wprawdzie na myśl, że z tego spotkania łatwo może urosnąć bajka o schadzkach umówionych, rumieniec przebiegł jój po licu — lecz, miała mocne postanowienie nic nie poświęcać dla świata....

Robert od tego snu — rzecz dziwna — czynił na niój inne zupełnie, daleko silniejsze wrażenie, jakby owo marzenie węzłem jakimś tajemniczym ją z nim połączyło....

Jazyga też nie wahając się oddał konia nadbiegającej dziewczynce, i — wszedł do izdebki.

— Cóż pani tu robi?

— Widzisz pan — przyszedłam moją starą przyjaciółkę odwiedzić.... I to — nie pierwszy już raz.... Robię studia nad jój szczęściem, nad którymbym czuwać chciała, aby trwało.... a ja się niém mogła napawać....

Położyła palec na ustach, wskazując na kolebkę....

— Tylko proszę mówić cicho — dziecko śpi, a gdy się przebudzi — nie da ani matce, ani nam spokoju.... Dzieci są despotyczne....

Robert usiadł trochę z dala — Ada zajęła swe miejsce u kolebki.... Cały on jeszcze był przejęty szczęściem tego spotkania, obawą jakąś.... nie śmiał się odezwać, patrzył, aby z jój oczu wyczytać rozkaz co ma robić z sobą.

— Pani tak sama.... rzekł w końcu — odbywa dość odległe przechadzki.... Kawałek drogi przez las!

— Ale nie sama! odparła Ada.... widziałeś pan moich wiernych towarzyszków — coby mię obronili w przypadku, gdybym potrzebowała obrony, co być wcale nie może.... A wieczór był tak piękny, żem się pokusie przechadzki oprzeć nie mogła. W towarzystwie musi się mówić, chciałam być sama, ażeby myśleć.

Zaczynało zmierzchać. Kasia przybyła z mlekiem, Ada wstała wybierając się już z powrotem. Robert też ruszył się.

— Nie śmiem być tak zuchwałym, aby się narzucać pani za obrońcę.... w dodatku do psów — przez las.... ale — moja droga właśnie tędy prowadzi....

Ada się uśmiechnęła....

— Wyobraź pan sobie, że panna Hortensya lub ksiądz kanonik spotykają nas w drodze, zaczęła mówić wesoło.... Byłbyś pan najokropniej skompromitowany....

— Ja! zawołał Robert....

— O! ja! nie — a potem cóż mnie to obchodzi!... Bądź zdrowa Kasiu.... Zatem rzekła odwracając się do Roberta — pan mi w przyzwoitem oddaleniu, towarzysz na koniu, jako moja gwardya.... Siadaj pan!

— Pani mi pozwoli, ażebym konia prowadził w rękę?

— I na to zgoda! Widzisz pan, jestem grzeczna....

Jeszcze raz uściskawszy Kasię, która trochę zdumiona patrzyła na tę parę oddalającą się — szepnęła jój Ada:

— Niechże z tego plotek nie będzie!

— A! proszę pani — odparła cicho Kasia — nawet mężowi nie powiem!!

Ale sama się zapłonęła mocno.... i Boże przepuść — pomyślała sobie:

— Kto ich wie — może to nie był przypadek!? Ale co mnie do tego!...

Ada z początku zmieszana była mocno, biło jój serce, gdy się wśród téj ciszy lasu i mroku wieczoru nadchodzącego znalazła sam na sam z Robertem. Położenie było ekscentryczne. Z dumą jakąś powiedziała sobie:

— Cóż mi tam! w duszy jestem wyższą nad to wszystko....

Bojaźliwie Jazyga szedł w pewnym oddaleniu, nie śmiejąc się odezwać, lub raczej nie wiedząc co mówić. Drżał upojony szczęściem i trwogą. Ada nań śmiało patrzyła.

— A! rzekła — bawi mnie to, żeśmy się tak spotkali, właśnie gdy chciałam go widzieć i mówić z nim. Mam dobrą nowinę do zwiastowania.

Nudny, ale biedny mój kuzynek Karol, nagle wyjechał. Ruszków jest znowu jak był... i czeka, żebyś pan po dawnemu często go, często odwiedzał....

— A! pani, drżącym nieco głosem począł Robert, mimowolnie się zbliżając ku niej — jabym nigdy nie wyjeżdżał z Ruszkowa, gdyby... gdyby się to godziło.... Wyjechawszy, czuję zawsze tyle rzeczy niewypowiedzianych....

— Wracaj pan! o! nie zważaj wcale na nic.... Jeśli się to komu niepodoba lub dziwić będzie, że bywasz często i masz dla mnie trochę przyjaźni.... cóż to nas ma obchodzić?...

Spójrzała nań podając mu rękę.

— Mówiłam panu: — bądźmy sobie siostrą i bratem.... Jam brata nie miała nigdy, nie miałam siostry.... matka mnie dawno osierociła. Serce moje potrzebowało przywiązać się do kogoś....

Robert okrywał rękę pocałunkami.

— Ale.... rzekła Ada.... pamiętaj pan, ma to być czyste, święte — przywiązanie siostry i brata.... Żadnej namiętności gwałtownej, żadnych burz i walk serdecznych — brat i siostra!!

Stała powtarzając te słowa, gdy Robert wzruszony przykląkł przed nią na jedno kolano.... Nie mógł mówić w pierwszej chwili.

— A! tak — zawołał nareszcie podnosząc się — na wszystko co pani nakazujesz, zgodzę się, —

lecz pozwól mi być swym sługą na życie całe — bratem....

— Bratem! powtórzyła Ada, wskazując mu aby wstał, na pół łzawym, pół żartobliwym głosem. Na zawsze siostrą i bratem. Zrozumiej mnie dobrze.... niczego nie żądaj więcej. Czyż nie dosyć takiego serdecznego dwojga istot związku...?

— Pani! przebąknął Robert....

— Do siostry nie mówi się już pani — dodała Ada — ani pan do brata. Przy tych ludziach co nas mają i mieć powinni za obcych sobie.... mówmy jak zwykle; gdyśmy sami.... nazywaj mnie Adą, ja cię bratem, Robertem nazywać będę....

Szczęście, którym był przejęty Robert — mówić mu nie dawało. Gwałtowne to wzruszenie przstraszyło nieco Adę.

— Uspokójże się — rzekła sama siląc się, aby nie okazać własnego wzruszenia.... Podaj mi rękę, chodźmy razem. Las się kończy wkrótce — tam rozstać się musimy....

Od dawna chciałam z wami zawrzeć to braterskie przymierze — cieszę się, że dziś miałam na to odwagę, i — że zrzuciliśmy okowy, jakie na nas ciążyły.... Jesteśmy od dziś siostrą i bratem....

— Ado! siostro! po raz pierwszy tych imion używając i upajając się nimi zawołał Robert — ty jesteś wyższą istotą — tyś aniołem. Tyś to rozumiała i uczyła, że taki człowiek jak ja, czcząc

cię i wielbiąc wieki, nigdy ci nie mógł się przyznać do czci.... Byłaś dobrą jak anioł rozbijając te więzy, które mi słowo w piersi zakuły.... Oddycham teraz.... ale szaleję ze szczęścia....

— Siostrą i bratem, Robercie! siostrą i bratem! Jak brat i siostra kochać się mamy, pamiętaj — zatém bez szału, upojenia — spokojnie — jak w Niebie....

W téj chwili ów sen przyszedł jój na myśl.... oczy mgłą zasły, pochyliła głowę na jego ramię.... i szła milcząca... zamknawszy powieki. Zapomniawszy o świecie całym. Ręka brata z lekka objęła ją ... stanęli....

Szczeknięcie psa wywołało krzyk z ich piersi, ale Ada nie opuściła go, otworzyła śmiało oczy.... Mrok padał, nie było nikogo prócz nich.... stali na wybrzeżu lasu.... w dali Ruszków widać było.... Pies z radości zapewne szczeknął, bo na drodze nikogo dostrzedz nie mogli.

Cichym głosem Ada pożegnała go....

— Jedź — rzekła — do zobaczenia — u mnie — albo w téj chatce.... gdzie chcesz, bracie.... bracie!!

Kilka razy powtórzyła ten wyraz....

Ale na czole czuła długo pocałunek braterski. Wyrwała się żywo śpiesząc... Robert skoczył na konia i pędził boczną drożyną ku Zahajom, szalony.... bezprzytomny....

Nie wiedział ani którędy koń go niósł, ani jak dobiegł do domu, stanął u wrót, i dopiero rzenie konia, dopominającego się aby mu otworzono, zbudziło go z tego stanu oczarowania.... który się snem wydawał.

Chłopak otwierający mu wrota, uderzony był dziwnym stanem młodego pana.... Nie odpowiadał na pytania — nie słyszał ich, wszedł do dworku, padł na sofkę i tak pozostał w jakimś odrętwieniu. Prawdą to było — czy złudzeniem — ona jego siostrą? on jój bratem? Czuł jeszcze na ramieniu dotknięcie jój skroni.... tą ręką ośmielił się ją do piersi przycisnąć. Siostra nie bronila mu braterskiego pocałunku.... Był szczęśliwy! Mógł umrzeć....

— Nic więcej nie chcę — będę jój bratem, posłusznym, pokornym, wiernym jój całe życie.... Dwie dusze nasze w jedną się zleją.... Niech ludzie.... potwarzają nas obrzucają, niech cierpię.... dla niej cierpieć będzie rozkoszą....

Przez cały wieczór, noc całą dumał, myślał, a gdy mu na myśl przyszedł ojciec — bladł i drżał....

Ten braterski związek nuż ojciec zechce zerwać? Co począć wówczas? Odpędził myśl natrętną. Było mu błogo.... choćby jutro umierać, życie nad tę czystą szczęścia chwilę więcej już nic mu dać nie mogło....

Służba naprzeciwno mówiła:

— Pan gdzieś musiał być na winie?

Ada śpiesznym krokiem z początku biedz zaczęła ku parkowi.... strach ją ogarniał jakiś. W pół drogi ochłoneła nieco, westchnęła.

— Stało się co było nieuniknioném, rzekła. Nie wiem jak wyszły mi z ust te wyrazy, z kąd się znalazło męztwo. O! sen, kusiciel przeklęty.... wrażenie tego snu rzuciło mnie na jego ramię.... kazało nazwać bratem.... Wstydzę się — a gdybym wróciła na tę ścieżkę i ujrzała go przy sobie — jutrobym mu powtórzyła to samo.... Siła jakaś władała mną, mówiła przezemnie.... Stało się. Ani się tego rumienie! Tak lepij....

Ada sama się starając wytłómaczyć i ukoić, weszła do parku najprzód, od którego furtki klucz miała, chodziła po nim długo, zdawała się lękać, aby jój z twarzy szczęścia nie przeczytano, którego doznała.... Palily skronie, gorzała twarz, drżały jeszcze usta, a serce na wspomnienie chwili téj biło jakby pęknąć miało.

Już ciemno było zupełnie, gdy po długim wahanu, zbliżyła się do werandy, po której Hortensya chodziła niespokojna. Dalój siedział kanonik, półkownik i Karolina w kątku.

Gdy weszła na wschodki, półkownik Brandys zerwał się z okrzykiem radosnym.

— A! dziękiż Bogu! myśmy już za panią rozesłali na wszystkie strony.... Takeśmy się lękali, czy się co nie stało.

— Ja od godziny jestem w parku! odpowiedziała Ada starając okazać się spokojną— odpoczywałam.... Wieczór tak śliczny....

— Ale godziź się tak trwożyć przyjaciół — odezwał się kanonik — temi samotnemi przechadzkami?

— Miałam dwa psy z sobą.... dodała Ada.... a cóż mi się stać mogło!

— Ja sama, wtrąciła Hortensya, przed godziną wyszłam na spotkanie kuzynki aż pod las.... ale nigdzie jój dojrzeć nie mogłam.

Ada drgnęła, lecz rozśmiała się zaraz....

— Przecież jedna jest droga ztąd do lasu i leśniczówki.... Ja nie lubię chodzić w towarzystwie, wolę być sama....

— To choć służący mógłby z daleka.... rzekł pułkownik.

— A! to niewola — przerwała Ada. Pułkownik wiesz, dla czego ja na organach grać nie mogę: bo czuję tego kogoś, co kalikując mi nudzi się — tak samo przechadzaćbym się nie mogła, w ślad idącego mając owego znudzonego stróża....

Hortensya słuchała nic nie mówiąc, lecz w oczach jój było coś straszego, jakby uciecha mściwój istoty, która nieprzyjaciela dostała w rękę.

Wzrok ten szatański, ile razy go spotkała, bolał Adę — powtarzała sobie mimowolnie, że Hortensya chodziła na jój spotkanie — i mogła okiem swém bazyliuszka sprofanować scenę.... dla niój niewy-

tłómaczoną, gorszącą... zbrodniczą. „Jeżeli tak było, mówiła sobie w duchu — naówczas... będę na łasce téj istoty. Któż uwierzy w brata i siostrę? Powiedzą, żeśmy dwojgiem kochanków... okryją mnie sromem, który tylko związek pobłogosławiony zmyć może...?

Ada nie przypuszczała jeszcze téj myśli, by matce dane słowo złamać miała! Chciała mieć tylko brata — nie męża....

Lecz — mogła być — zmuszona?? Opanowana myślami temi, zatopiona w sobie — gospodyni nie dobrze słyszała jakieś opowiadanie kanonika, jakieś pytania pułkownika — coś o co się jój chciał radzić Oblęcki.... Wszystkim im odpowiadała łagodnie, iż była zmęczona dzisiaj, że jutro pomyśli.... Pułkownik też pierwszy postrzegłszy tę zadumę, przestał ją męczyć.... Do wieczery poszła jeszcze niezbyt przytomna — lecz tu.... zawstydzona stanem tym bezsilności, otrzęsła się z niego nagle — i zaczęła rozmowę swobodną i żywą. Było w niej tylko nadto jakiejś gorączki — niepokoju.

Hortensya oczyma jak pijawka się w nią wpiła, na chwilę ich z niej nie spuszczając.... Zwykle rozmowna, tego wieczoru milczała osłupiała niemal. Inni za to zastępowali ją opowiadaniem, a Oblęcki szczególnie ożywiony był, bo nowy karton miał na myśli.

Było to coś nakształt Bitwy Hunnów Kaulbacha, scena w pół na ziemi, na pół w obłokach, ale z motywu, którego dostarczyły mu dzieje: owa bitwa z Tatory, co nieśli chorągiew z głową potworną, ziejącą dymem i płomieniem. Malarz całe wojsko piekielnych zjawisk chciał zawiesić nad pobojowiskiem krwawém, marzył o najdziwniejszych postaciach szatanów unoszących się z żagwiami i oszczepami nad bohaterskiemi szeregi obrońców krzyża.... Obłęcki, jak zawsze, dopóki marzył o obrazie, miał pomysły mistrzowskie, czuł w sobie siłę dać im ciało i barwę.... lecz przy płótnie ogień natchnienia, którego nie był panem, gorzał prędko.... i ręka opadała zdrętwiała.

Słuchając go opowiadającego, wszyscy czuli piękność obrazu, nikt nie wierzył już, ażeby się on mógł narodzić. Gdyby artysta tchem jednym był go w stanie stworzyć — niechybnie byłoby to arcydzieło — rozdzielić sił, oszczędzić ich, wytrwać z niemi nie umiał. Iluż jemu podobnych skazanych jest na wiekuistą walkę z własną naturą, co ich na widzenie tylko z dala ziemi obiecanéj skazała!!

Obłęcki już miał karton rozpięty.... zaledwie na chwilę mógł się oderwać od niego, nie pił, nie jadł, nie mówił, tylko o nim.... Ada słuchała go z politowaniem i zajęciem.

— Biedny marzycielu — rzekła w końcu — a! psuj płótna i kartony, — maluj i niszc.... może

nareszcie kiedy zlituje się nad tobą geniusz sztuki i cugle twój fantazyi narzuciwszy, pokieruje tobą? Ja nie rozpaczam.... Ostygnąć musisz jeszcze, abyś się stał tak dobrym rzemieślnikiem, jak jesteś genialnym artystą.... Niestety — w tobie poeta zabija rękodzielnika — a trzeba, by oni dwaj jak bracia szli razem ręka w rękę....

— Jak brat z siostrą? dodała złośliwie Hortensya.

Ada zbladła na chwilę, przez źrenicę jej przeleciało jakby płomie — była pewna, że kuzynka podpatrzyła ich i podsłuchiwała.... Była chwila milczenia, lecz po niej Ada z chłodną krwią zwracając się ku panie Hortensyi rzekła:

— Tak jest — jak brat z siostrą! wyraziłaś się lepiej odemnie....

Wstali od stołu, i wkrótce potem Ada wymknęła się do swojego pokoju. Nie było w tém nic nadzwyczajnego, gdyż często bardzo szła spocząć, pisać swój dziennik, lub czytać u siebie.

Nazajutrz przy śniadaniu, do którego późno dosyć przyszła panna Hortensya, wszystkich uderzyła jej postać sztywniejsza niż zwykle, usta zacisnięte, zmarszczone brwi, milczenie uparte i zadumienie. Ada zapytała jej grzecznie czy nie ma bólu głowy, który ją często napadał? — Zaprzeczyła temu sucho. Śniadanie zostało nietknięte, ser-

wety .nawet nie zdjęła z talerza. Przez cały czas z rękami złożonemi, patrzyła na ścianę przeciwną, gdzie wisiał portret stary jednego z Boguszków, w karmazynowej delii z wyrazem twarzy wyzywającym i niemiłym. Zdaje się, że i tego kasztelana, i nie nie widziała, tak była w sobie zatopiona. Kanonik także siedział poważniejszy niż zwykle, bledy, mało co się odzywając. Pułkownik jeden był w zwykłym swobodnym humorze, wesół, gadatliwy.... Oblęcki się nie pokazał, rysował Tatarów swych i duchy piekielne nad wojskiem się unoszące.

Ada była już zupełnie uspokojona, pani siebie, bledsza tylko nieco, twarz miała jakby zmęczoną, a oczy niemal łzawe.... Cierpienie jakieś i ubłogosławienie razem mieszało się na twarzy.

Gdy wszyscy wstali, ks. kanonik prędzej niż zwykle się wysunął. Pułkownika powoływały zajęcia do folwarku, panna Karolina wyszła na werandę, Hortensya została sama z gospodynią, która zabierała się także odejść do siebie, gdy ją kuzynka zatrzymała, dziwnie usta sznurując i mierząc ją wzrokiem, który niby łagodnym starała się uczynić.

— Pozwolisz mi słóweczko....

— Proszę bardzo.... odpowiedziała Ada wracając.... Co każesz?

— Prosiłabym cię o konie.... rzekła panna Hortensya — o konie!

— Są zawsze na twe rozkazy....

— Od niejakiego czasu czuję się jakoś nie dobrze, doktor Weller mi nie pomaga.... Mam myśl... nie wiem, zdaje mi się, że — dla zdrowia — osiade w Wilnie. Tam łatwiej jest o radę lekarską....

Ada zarumieniona, z razu nie umiała odpowiedzieć.

— A! Jeśli ci z tém ma być dogodniej — nie śmiałabym wstrzymywać — rzekła po namyśle....

Hortensya zdawała się czego innego czekać i spodziewać, jakiegoś pytania, któreby jój więcej powiedzieć dozwoliło. Gospodyni stała przed nią spokojnie czekając na dalsze żądania.

— Tak jest — mówiła Hortensya po pewnym namyśle. Zdrowie moje coraz jest gorsze. Sama nie wiem czemu to przypisać — ale są, w życiu, nieoddzielne od niego wrażenia, wzruszenia, a ja mam nieszczęśliwą taką naturę, że nie obojętnie znieść nie umiem.... Cudze nieszczęście dotyka mnie....

— Nie rozumiem coby w tych czasach szczególniej mogło cię tak dotknąć, przemówiła Ada powolnie. Nie chcę w to wchodzić....

Hortensya zdawała się wahać i walczyć z sobą.... Twarz jój przybrała wyraz, który chciał być pełnym litości i współczucia, ale ta maska przywdziana źle pokrywała złośliwość. Grymas był

niezrozumiały jakiś a wstrętliwy. Usta się ścigały, jakby płacz powstrzymywała, a oczy iskrzyły się gniewem i złością.

— Nie wszystko się daje wypowiedzieć — rzekła przerywanym głosem. Są rzeczy, o którychby się chciało zapomnieć... które przez usta nie przejdą nigdy....

— Nie rozumiem, droga Hortensyo — mówisz mi zagadki, których ja rozwiązywać nie mam prawa ani ochoty. Widzę tylko, że ci tu u mnie źle... i z prawdziwym bolem serca, muszę siebie o to obwinić — choć — pragnęłam z duszy, aby ci było jak we własnym domu....

— Umiem za to być wdzięczną — syknęła panna Hortensya — wiem, że mogłam być ciężarem....

— Nigdy.... przerwała Ada.

— Potrzebuję się oddalić — tak jest... choć z bolem serca... Nawykłam, przywijałam się do ciebie — kochałam cię....

— Wierz mi, zem się wzajemnością odplacała....

— Ale nigdy, nigdy mojej rady serdecznej... nie chciałaś usłuchać!

— Twojej rady? podchwyciła Ada spokojnie. Znasz mnie Hortensyo — jest to, nie wiem, wadą mojego charakteru czy jego zaletą, że ja się powoduję tylko wolą własną. Nie zwykłam słuchać

nikogo, oprócz mego rozumu i natchnienia. Błądę może.... ale....

— Tak — na to już nie ma ratunku! oczy sobie suche zasłaniając chustką, mówiła panna Hortensya — rozstańmy się więc....

Mówiła z coraz większym poruszeniem, sądząc, że niém oddziała na kuzynkę, która coraz tylko bardziej stygła....

— Jeżeli to wola twoja.... rzekła....

Panna Hortensya padła na fotel płacząc. Scena cała była widać umówiona, obrachowana, przygotowana, aby wywarła wrażenie.

Blada — kryjąc w sobie co czuła — stała patrząc na płaczącą Adę — lecz nie odzywała się wcale. Czekiła....

— To wzruszenie — dodała w końcu — może ci więcej zaszkodzić jeszcze.... Uspokój się proszę.... Cheesz, bym cię odprowadziła?

Hortensya usłyszawszy to, zerwała się nagle, gwałtownie, i chustkę na oczach trzymając, uciekła....

Gonić za nią nie myślała Adę, wróciła do siebie. Były to następstwa wczorajszej nieostrożności.... Hortensya musiała być świadkiem sceny, i w skutek jęj chciała zastraszyć Adę, aby ją opanować. Zdało się jęj, że będąc w posiadaniu tajemnicy schadzek w lesie i czułych zbliżeń, potrafi groźbą rozerwać te stosunki.

Omyliła się, gdyż Ada, choć cierpiała — nie myślała uleść nikomu, znieść choćby potwarz, walczyć choćby z całym światem. Uczucie, które nią władało, było czyste, nie czuła się winną, a gardziła tém, że mogła być obwiniona.

— Moje postępowanie całe przekona ludzi, że — nie jestem dlań tylko siostrą — ale nadto go Kocham, bym dla głupich ludzi, jego się wyrzec miała!

Wszedłszy do siebie, zadzwoniła natychmiast prosząc, aby do niej wezwano pułkownika. Chodziła po pokoju niespokojna, gdy Brandys, zawsze biegiem na zawołanie śpieszący, zjawił się.

— Co moja dobrodziejka rozkaże? zapytał.

— Nie wiem co się stało Hortensyi, nie wcho-dzę w to — musi jój być u mnie źle — na to już poradzić nie mogę — słowem — rzekła Ada — chce wyjeżdżać.

— Jak to? zupełnie?

— Zdaje się — rzekła Ada.

Pułkownik głową pokiwał, nie okazując nadzwyczajnego zmartwienia.

— Bądź łaskaw pułkowniku — dokończyła gospo-dyni — wyręcz mnie w tém, jak wyręczasz we wszystkim. Pójdź do niej, bądź bardzo grze-cznym — o to cię nawet prosić nie trzeba, bo nie umiesz być innym — rozpytaj jak chce się urzą-dzić z podróżą, i czémbyśmy ją mogli ułatwić....

— Czy mam perswadować, ażeby została? zapytał stłumionym głosem, jakby z obowiązku Brandys.

— Mnie się zdaje, że... toby było zbytecznym— rzekła pani;— możesz ubolewać, że ją tracimy— ale nie zadawajmy jój gwałtu....

— A! pewnie! Jeśli chce, niech z Bogiem jedzie— pośpieszył poprawiając się pułkownik. Jeżeli już u mojej dobrodziejki jest źle... no!....

— To osoba... chora... podrażniona swém położeniem... szanujmy niedolę....

— To się rozumie! stwierdził pułkownik... Zatem, mam się udać do niój, po rozkazy?

— Tak, kochany pułkowniku— i czegokolwiek wymagać będzie— proszę cię, spełnijmy....

— Naturalnie....

Brandys pocałował w rękę dobrodziejkę, zwrócił ku niój oczy pełne uwielbienia i wyszedł śpiesznie....

W chwilę potém pukał do drzwi.... Nie zastał jój samą, w fotelu siedział zasępiiony kanonik.... Żywa, krzykliwa nawet rozmowa została przerywana. Przytomność księdza hrabiego nieco utrudniała posłannictwo— choć Brandys umiał zawsze sobie dać rady. Nie darmo pół wieku żył na świecie....

Wszedł z uśmiechem grzecznym, ale smutnym. Hortensya była prawie pewna, że przychodzi z perswazyami.

— Z prawdziwą boleścią — co to ja się dowiaduję, że pani nas chce opuścić! osierocić! Możesz to być?...

— Musi być — niestety — sucho odparła panna Hortensya.

— A! to nam wszystkim przykro — westchnął pułkownik — ale — kiedy takie jest jój postanowienie... trudna rada...

Tu spoczął nieco...

— Pani nasza, dobrodziejka moja, przysyła mnie tu właśnie po rozkazy... Radzibyśmy przynajmniej w téj chwili rozstania, dowieść jak zawsze gotowiśmy byli — we wszystkim... tego...

Brandys połknął resztę. Błada twarz panny poczerwieniała — wzrok się zwrócił na księdza. Mówiła mu oczyma:

— Kontenci, że się mnie pozbędą — patrz!

Brandys stał na rozkazy oczekując.

— Ja jeszcze sama nie wiem — jak się zdecyduję — rzekła dumnie Hortensya. W każdym razie kuzynce jak starałam się tu nie być ciężarem, tak i odjeżdżając postaram się — jak najmniej wymagać. Może pan być pewnym.

— Ale my gotowiśmy, z duszy — serca — zawołał pułkownik — wszelkie ułatwienia — dogodności...

— Ma to minę, pułkowniku — rozśmiała się złośliwie panna, — jakbyście gotowi na największe ofiary, byle się mnie pozbyć.

— A! pani dobrodziejko! Godziż się to?

— Żartuję, panie Brandys — oczywiście żartuję, nie więcej... Jeszcze nie wiem sama. Zaledwie powiedziałam o tém kuzynce... nadto jest troskliwa... Widzi pan — dodała wskazując sprzęty do koła — niełatwo to z mojemi gratami się wywieźć...

Brandys głową potrząsał.

— Ja tylko czułem w obowiązku stawić się po rozkazy, rzekł — rozporządzenie wszelkie należy do pani... Sługą jój jestem...

To mówiąc skłonił się i wyszedł, nie pytając więcej.

Po jego wyjściu zerwała się impetycznie z krzesła Hortensya, załamując ręce.

— Słyszałeś, hrabio, widziałeś! — krzyknęła. Otoż to jest wdzięczność za moje poświęcenie się dla niéj, za serce, za miłość, za te rady i czuwanie, któremi lat tyle ją chroniłam od zguby... aż do téj nieszczęsnej godziny... Bez serca...

— Dowodzi, że go ma może nadto, rzekł kanonik cicho — choć niém źle rozporządza...

Hortensya przechadzała się, rzucała rączej po pokoju...

— Juściż mnie wypędzić tak nie może.... Chcę jechać — wyjadę! Pozostać tu, patrzeć na te skandale, na te amory nie mogę. Sumienie mi nie pozwala.... Lecz jednéj godziny wylecieć niepodobna.... Chciałabym doczekać radcy tajnego przynajmniej.

— Nie pisał, kiedy będzie? spytał kanonik.

— Czas nieoznaczony.... Trzeba koniecznie, abyś hrabia widział się z nim wprzódy, przygotował go.... objaśnił, naradził się z nim o wspólne działanie. Duszę jój ratować trzeba, cześć, sławę.... imię rodziny....

Załamala ręce nad głową.

— Z radcą się widzieć będę — rzekł uspakajając kanonik. W istocie.... to potrzebne.... Wierz mi pani wszakże, że z tą kobietą, znając jój charakter, trzeba umieć postępować....

Tu siłą i groźbą nic się nie zrobi, tylko się umocni w uporze....

— A więc?....

— Są inne środki — kończył kanonik.... Miłość własna.... miłość własna, niestety! — to zawsze sprężyna jedyna, za której poruszeniem zegar człowieka się nakierowuje i nastawia.... Do niej umiejętnie trzeba przemówić. I — kanonik chciał mówić więcej, lecz zmiarkował, że całego planu swojego nie powinien był odkrywać przed Hortensyą; więc zamilkł, kończąc poruszeniem ręki.

— Nadewszystko chłodno, rozważnie, powoli — rzekł po chwili; gdy się na drogę gorącą wprowadzi sprawę, wzmoże się gorączkę w naszej biednej choréj... bo jéj inaczej nazwać nie mogę... To-by było najszkodliwsze... I tak choroba jéj jest już gorączką.

— A zatém — cóż? proszę mną kierować! proszę mi powiedzieć co mam czynić? spytała Hortensya.

— Ponieważ pani oznajmiłaś swój wyjazd... należy trwać w postanowieniu, ale się nie śpieszyć... a nie okazywać gniewu i rozdrażnienia, smutek byłby właściwszy, byłby nawet skuteczniejszy.

To mówiąc ksiądz de Bello, jakby już miał odrazę do dalszej w tym przedmiocie rozmowy, wstał i wolnym krokiem wyszedł z pokoju...

Wieczorem tegoż dnia nadjechał Robert... Pilno mu było do Ruszkowa, a lękał się ją widzieć, znaleźć inną, zmienioną, nie tą, jaką ją pamiętał. Przy obcych musiała być zimną, jak była zawsze. Ada zarówno lękała się tego spotkania, aby się nie wydać ze zmianą, która w jéj sercu zaszła... Znalezienie się Hortensyi nakazywało ostrożność, a nie chciała dla niego być znowu odstręczającą i inną, niż serce kazało. Była to chwila dla obojga straszna do przebycia — pierwsze widzenie się po tém zbliżeniu serdeczném, kiedy wrócić musieli do dawnego stosunku. Robert daleko mniej znajdował

w sobie siły i mniej się obrachowywał — uczucie nim rządziło. U Ady rozum, do którego panowania nawykła brał górę...

Powiedziała sobie zawczasu: — Będę taką jaką byłam dawniej — a nagrodzę mu to, gdy się znajdziemy sami. Ludzie — niech mówią co chcą. — Przez okna wychodzące na ogród zobaczyła Roberta idącego z pułkownikiem, przywitała go mile i pośpieszyła na werandę, sądząc, że tam jeszcze nie znajdzie nikogo. W kątku siedziała nad robotą zamyślona panna Karolina, której może trochę tęskno było po odjeździe Karola.... Spotkali się na wschodkach, Ada mu podała rękę jak zwykle, ale oczy jój śmiejące się, jasne, kazały pamiętać na wieczór wczorajszy.

— Dobrześ pan zrobił, że przyjechałeś rzekła. — Ruszków coraz puściejszy się robi. Wiesz pan, że Hortensya nas chce opuścić?

— Właśnie słyszałem o tém od pułkownika — odezwał się Robert ...

— Zdaje się jój, że jest chorą — rzekła pani domu.... My wszystkie stare panny, mamy takie przywidzenia i fantazye!!

Zaledwie domówiła tych wyrazów, gdy kanonik razem z Hortensyą nadszedł. Był wielce tego dnia chmurny i poważny, a milczący. Z dala, z widoczném lekceważeniem zaledwie głową poruszył, odpowiadając na przywitanie Roberta, i siadł z daleka.

Panna Hortensya nawet się nie witając z przybyłym, poszła szukać roboty. Ada umyślnie przystąpiła do Jazygi i głośną z nim zaczęła rozmowę, podżartowując z jego niezmiernie gorliwego gospodarstwa i z robienia fortuny na Zahajach.

Ośmielony Robert także mówił wesoło, przyznając się, że miłość własna, więcej niż chciwość zarobku, dodawała mu zapału — aby pokazał, że przecie potrafi coś na pierwszém swém gospodarstwie....

Ani kanonik, który książkę jakąś wzięwszy ze stołu, przewracał ją od niechcenia, ani Hortensya zajęta robotą — nie mieszała się do głośnej rozmowy. Pomagał tylko pułkownik. Gospodyni dopypywała potém, co się z malarzem dzieje i czy już podarł swoją bitwę z Tatarami? Złośliwie nieco spytała Karoliny, czy ona o tém nie wie? Karusia oczy podniosła, nie umiała słowa powiedzieć, i spuściła je żywo na robotę swoją.

Właśnie dla tego, iż Hortensya tego dnia musiała na każdy krok jej pilniejszą zwracać uwagę, Ada, niepostrzeżenie dawszy znak oczyma Robertowi, powoli wyszła z nim rozmawiając do pustego salonu. Byli tu wprawdzie na oczach tym co zostali pod werandą, ale rozmowy ich nie mógł nikt posłyszeć....

— Zdaje mi się — odezwała się Ada po cichu — że naszego spotkania i rozmowy mieliśmy nieproszonego świadka....

Robert ręce załamał, ona się uśmiechnęła z odwagą i rezygnacją.

— Oprócz Boga, który był naszego ślubu braterskiego świadkiem — dodała — panna Hortensya.... chociaż to jeszcze trochę ciemne.... musiała tam być gdzieś ukryta.

— Ale — nie trwóźże się tak bardzo — wtrąciła, widząc, że Robert twarz zakrył rękami. Każdy ruch twój i mój jest widziany.... rejestrowany. Stało się — czyste mając sumienie — jak my — możemy znieść potwarze — i na nie uwagi nie zwracać. Podała mu rękę zręcznie tak, aby ruch ten nie mógł być postrzeżony....

— Trzeba mieć odwagę, choćby głośno wyznawać, to czém się żyje po cichu — rzekła. Ty bracie — ja, musimy być przygotowani na zniesienie wielu przykrości na walkę niejedną. Mnie mężstwa nie brak....

— I mnie go nie zabraknie — odezwał się Robert stłumionym głosem, spoglądając ku werandzie. — Gdybym tylko ja miał cierpieć.... a! byłbym wesół i szczęśliwy boleścią, ale dzielić ją z tobą i nią płacić za twą anielską dobroć....

— Dobroć! jaką? ale ja jestem egoistka! potrzebowałam duszy bratniej, zdobyłam ją.... Skarb ten warto czémś opłacić....

Mówiła z takim mężstwem i zapalem, że Robert też uczuł się silniejszym.

— Chciałbym każdy wyraz twój wyryć w méj pamięci.... o moja siostró droga!

— Cyt — rzekła Ada — pomnijmy, że tym co na nas patrzą, winniśmy się wydawać obojętnie rozmawiającymi o literaturze.... Lepiej będzie może nawet na dziś.... gdy wrócimy pod werandę. Tych kilka słów ci tylko byłam winna, aby między naszym wieczorem a dniem dzisiejszym nie było przerwy i milczenia....

Pochyliła się ku oknu gospodyni i wezwała pułkownika.

— Chodźże pan do nas! rzekła — nie zostawiaj nas tak samych....

Brandys pośpieszył. Od rana nie miała zręczności mówić z nim Ada, i spytała go cicho, przy Robercie:

— Cóż Hortensya?

— Podziękowała mi, mówiąc, że jeszcze wiele ma do przygotowania.... Dzień nie oznaczony....

— To zupełnie od niéj saméj zależeć będzie....

Znowu o obojętnych rzeczach mówili we troje. Hortensya choć miała oczy spuszczone na robotę, zręcznie strzelała niemi na młodą parę, na pułkownika, niekiedy na kanonika który książkę przerzucał zawsze, choć widać było, że ona go nie zajmowała wcale....

Po chwili Ada wróciła na werandę. Zostawiła Roberta z pułkownikiem i zbliżyła się do kanonika, zapytując go, jaką książką tak pilnie się zajął?

— Jedną z tych, z którymi się nie zwykłem spotykać, odparł kanonik. Tu u pani czasem się wcale niespodziane robi znajomości. Do jednej z tych należy ten Żywot przez Renan'a.... Jestem zdumiony, że pani kłaść go możesz na stole....

— A! mój ojciec! odpowiedziała Ada spokojnie— dzieci u mnie nie ma, dla których mógłby być niebezpieczny — starszym dla ugruntowania się w wierze nie ma pożyteczniejszego nad poznanie się z niedołązną krytyką, która drobnostki kruszy — aby wielki gmach jeszcze potężniej wystąpił!!

— To bardzo szczęśliwie, iż pani tak pojmujesz bezbożne i bezsilne porywy mędrków — odparł kanonik, — ale nie wszystkie umysły tak są zbrojne....

— Zatém Renan'a.... wrzucimy do pieca — odparła Ada — choć za pannę Hortensyę ręczę, że go nie ruszyła — a (ciszej dodała) za Karusię, że go nie zrozumie.

Kanonik słuchał z twarzą surową.

— Pani bywasz tak bardzo tolerującą, rzekł, że to czasem na indyferentyzm zakrawa.

— Nie, mój ojciec — odezwała się Ada — tylko w mém przekonaniu — swoboda myśli nie może wierze być szkodliwa.... I ja wyznaję tę zasadę — że fałszom nie trzeba ust zamykać, aby się im nie zdawało, że dla nas są groźne.

— Pamiętać jednak i na to należy, dodał surowo kanonik — że kościół szerzenia fałszywych doktryn zabrania.

— Tak, palono książki na stosach, to wiemy — rzekła Ada — ale myśli w nich zawarte spalić się nie dały z niemi!... Myśl tylko myślą, rozumowanie rozumowaniem zwalczyć się daje... nie ogniem i nie zakazem...

— Nowe teorye i nie przeto lepsze, odparł kanonik... Są ludzie, nie przeczę co jak Mitrydat nie lękają się trucizny, bo wzięli antydot zawczasu — ale iluż ich potruć się może!

Poważna ta rozmowa wstrzymała Adę przy kanoniku, który niechętnie ją prowadził, odpowiadając niemal pogardliwie.

— Mogę być w błędzie — zakończyła gospodyni... może mam w sobie trochę buntowniczego ducha matki Ewy, której zakazany owoc smakował... ale mi się zwyciężyć w tém trudno...

Westchnęła...

Służący, który oznajmił herbatę, powołał wszystkich do pokoju jadalnego, gdzie już był dwór zgromadzony, oprócz Oblęckiego.

— Pana Mirosława nie ma? zapytała pani.

— Pukałem do drzwi jego — ozwał się Robert — nimeśmy tu przyszli; odpowiedział mi, że ani wyjść, ani przyjąć nikogo nie może...

— Karton jeszcze nie podarty? spytała Ada....

— Zdaje się, że dotąd pracuje nad nim, dołożył pułkownik. Wziął sobie do serca niedawną rozmowę... chce zwyciężyć się i raz stworzyć coś takiego, coby dla niego samego było znośném.

— Przyznam się, że jestem niezmiernie ciekawa — odezwała się Ada... Karusia nam będzie przygotowywała herbatę, a my zrobmy wszysecy wyprawę pod drzwi artysty... Otworzyć mi musi... zobaczymy choć raz... mistrza przy tworzeniu! Biedny mistrz! biedna twórczość!... Idziemy? spytała oglądając się Ada...

Pułkownik i Robert zameldowali się do towarzyszenia gospodyni. Kanonik podziękował, Hortensya nawet nie podniosła głowy...

We troje więc skierowali się ku drzwiom pracowni Mirosława w oficynie. Ada szła przodem zamyślona, poważna, niekiedy spoglądając na Roberta i rzucając mu słowo... Gdy stanęli u progu, sama pani zapukała.

— Kto tam?

— Ja — w imię praw gospodyni i przyjaciółki, rozkazuję. Sezamie — otwórz się!

Wykrzyk słyhać było wewnątrz...

— Pani! litości...

— Nie mam jój — otwieraj drzwi — albo je wylamiemy... Pokory — artysto... rezygnacyi... Ja nie jestem surowym krytykiem... Po raz pierwszy, drugi, trzeci... Sezamie...

W tój chwili rygiel odsunął się. Oblęcki stał blady, z włosami straszliwie porozrzucanemi, z malsztokiem w ręku, z palcami węglem zamazanemi... Ogromne ramy, które już nieraz do podobnych niefortunnych prób używane były, zajmowały niemal izbę całą...

— A! pani istotnie litości nie masz! więcej ciekawości niż miłosierdzia...

— Łaj, ale słuchaj — odpowiedziała Ada... Oblęcki ze smutną twarzą patrzył na wkraczających za nią Brandysa i Jazygę. Był zmieszany, zdrętwiały — jak człowiek, któregooby po łaźni nagle zimną wodą oblano... Nie ruszał się z miejsca — oczy wlepiwszy w ziemię...

Ada stała już przed kartonem, na którym pierwszym rzutem oka, nie nad chaos linii, mozaikę światel i cieni widać nie było. Tylko oko artysty mogło się znaleźć w tych ciemnościach, półcieniach, błyskach dziwnych... i bezkształtnych kształtach... Tam gdzie Oblęcki widział postacie oczyma duszy, — wzrok śmiertelnika spotykał kłęby nieforemne... W tém wszystkiém jednak był szalony jakiś ogień i werwa... Gdzie nied gdzie twarz dzika patrzyła wykończona nieco więcej, ówdzie tors, ręce konwulsyjnie podniesione... ciała zgniecione na masę...

Ada rozczarowana patrzyła z razu...

— Tłómacz pan, rzekła do Oblęckiego.... jest to szkic, którego my bez objaśnienia nie ocenimy....

— A ja go sam jutro — może już dziś nie potrafię wytłómaczyć — smutnie rzekł Oblęcki.... Bitwa tak mi się we śnie gorączkowym przedstawiła przed oczyma duszy mojej.... Rysowałem w gorączce....

— Śniło się to panu? zapytała Ada, której własny sen na myśl przyszedł i zarumienił jój lice....

— Tak — pierwsza myśl obrazu przyszła mi — niestety — we śnie — rzekł artysta.... Chciałem ogólne jój najprzód wrażenie rzucić na karton — potem wyśnić na jawie szczegóły.... Ale między snem, w którym jakieś władze były spotężnione, a inne skrępowane, by im nie przeszkadzały — między marzeniem a człowiekiem przebudzonym — jakaż różnica!.... We śnie byłem może mistrzem — na jawie jestem niedołągą....

Sen i jawa! co za zagadki! westchnął Oblęcki...

Czuła to piękna pani i oczy spuściła ku ziemi.... I jój sen w części się tylko dał wcielić... Także ze wszystkimi marzeniami byćby miało?...

— Panie Mirosławie — rzekła — wytrwajże raz i z natchnieniem połącz pracę.

— Aby ona pierwsze zabiła! uśmiechnął się smutno Oblęcki. Są natury tak harmonijne, tak

zgodne w sobie, że u nich w parze idzie jedno i drugie... jak brat z siostrą...

Ada zarumieniła się, ale spojrziała na Roberta, który stał zmieszany...

— U mnie — kończył artysta — praca jest tą nieszczęśliwą matką, co dziecię tuląc, dusi je w swych objęciach...

— Niestety! dokończyła Ada... Zlituj się jednak — raz, choćby coś niepełnego, nieodpowiadającego myśli — stwórz i daj mu życie...

— Na co? odparł Oblęcki — do życia mają prawo tylko arcydzieła... Spartanie, czy nie wiem tam kto, kaleków topili — i mieli słuszność.

— Jak gdyby w kalece nie mógł mieszkać duch boży. — i on nie miał prawa do życia!...

Pan Mirosław stał ze smutnie spuszczoną głową. Pułkownik z tyłu za nim wpatrywał się w karton zdumiony dziwnie... Nie widział na nim nic, oprócz straszliwie poplątanych linii, — i z politowaniem rzucał czasem okiem na Oblęckiego...

Mirosław widząc zadumaną Adę przed obrazem, zaczynał się na nowo okazaniem mu zajęciem rozgrzewać...

— Pani nie widzi — zawołał — tu — ta plama... to wódz tatarskiej dziczy — i jego orszak... Nad nimi chorągiew piekielna, z której dym bucha i płomienie, jak olbrzymie rozplecione jęj warkocze... Tam dalej... dymy się mienią w cale

wojsko zjawisk szatańskich.... Tu stoi heroiczny hetman i falanga wiernych z pobożną pieśnią na ustach....

Wszystkiego tego dojrzeć było trudno — ale Obłęcki to widział, i za nim idąc oczyma, widziano, jak wyłaniały się z chaosu jakby kształty jakiegoś senne....

Mówiąc to przystąpił do kartonu.... mimowolnie drżącą ręką zaczął dodawać rysy — lice mu się paliło.... zapomniał o patrzących, o tłómaczeniu, o świecie, i zatopiony znów w kompozycji swój, już się od niej ani oderwał, ani odwrócił.

Milczeli wszyscy szanując to natchnienie. Ada odeszła na palcach, ciągnąc za sobą towarzyszków, przymknięto drzwi po cichu.... W pracowni słychać tylko było szorstkie tarcie węgla po papierze....

Jednego dnia, o godzinie, w której zwykle pocztę przynoszono pannie Pretwiczównie, znalazło się wśród zwykłych dzienników więcej listów niż ich była zwykła odbierać. Ada nie lubiła ich pisać i nie miała tych licznych po świecie rozproszonych znajomości, którychby potrzebowała, jak panna Hortensya, obsyłać listami.

Zdziwiona mocno, sądziła z początku, iż przez

omyłkę przyniesiono jój korespondencyę kuzynki, która, pomimo zapowiedzianego wyjazdu i czynionych doń przygotowań, zwlekała z opuszczeniem Ruszkowa. Rozpatrzenie się w kopertach przekonało ją jednak, że pisma te wszystkie do niój adresowane były.... Sama ich liczba musiała zadziwić — bo się dziwnie zeszyły w dniu jednym, jak gdyby to było umówione. Zmarszczyła brwi i drgnęła niespokojna....

Po piśmie łatwo jój było poznać, od kogo pochodziły. Na jednéj z kopert adres był znana ręką pana rady tajnego, na drugim panna Dyakowska wyręczyła szambelanową, w trzecim domyśliła się pana Karola, czwarty był od hrabiego Hernasza, który należał też do rodziny....

Hrabia od bardzo dawna zaniedbał był wszelkie z Ruszkowem stosunki. Po śmierci matki, gdy się do niego udała Ada w początku o pomoc i opiekę, kuzyn bardzo grzecznie wymówił się własnymi interesami od udziału w opiece; później gdy zwycięzko wyszła Ada z zawikłań majątkowych, hrabia z żoną przybył do Ruszkowa, wioząc z sobą syna, z widocznym zamiarem przedstawienia go jako pretendenta do ręki i majątku kuzynki. Ada przyjęła ich tak chłodno, z tak wyszukaną a niedopuszczającą najmniejszego zbliżenia się grzecznością — iż po téj próbie hrabiowstwo już jój nie ponawiali.

Cztery listy!! mówiła do siebie, nie wiedząc który ma rozpieczętować pierwszy ... Przyszła jej myśl familijnego spisku... którego sprężyny mogła się domyślać w kochanej pannie Hortensyi. Było to jasnowidzenie.... Z rezygnacją złożyła przed sobą korespondencyę: — zbliżała się chwila walki przewidywanéj — czuła rodzina miała ją ratować od zguby na brzegu przepaści.

Ze czterech listów wybrała ten, w którym domyślała się ręki pana Karola.

Najmniej się go obawiała. W istocie pismo było od niego... Dowcipny w rozmowie pan Karol, któremu nigdy na żywéj odpowiedzi nie zbywało — wzięwszy pióro do ręki męczył się z niem i — pisać nie umiał. Mówcom zwykle brak tego talentu, tak jak tym co piszą, rzadko bywa dany dar żywego słowa.... List Karola był okrutnym wysiłkiem. Zaczynał się najprzód od wyznania nieudolności do pisania, długim wstępem, z nieskończonemi frazesami, pełnemi nawiasów i niepotrzebnych dodatków....

— «Gdy wyjeżdżał z Ruszkowa, mówił dalej — byłaś dla mnie tak łaskawa, tak dobra, żeś mi pozwoliła się uciec do siebie w potrzebie.... To mnie upoważnia do kroku śmiałego — do ucieczenia się ku tobie w sprawie twéj własnéj.... Są dusze gorliwe o cudze dobro i zbawienie, które lubią krzyczeć i hałasować, nawet gdy najmniejszego

nie ma niebezpieczeństwa.... Jedna z tych nieproszonych opiekunek upatrzyła, że ty, szanowna pani, znajdujesz się w takim strasliwym razie, potrzebując ratunku....

Cała rodzina wezwana jest podobno, aby ci go niosła.... Czuję się do obowiązku oznajmienia o tém, abys się najazdem nie przestraszyła, ratunkiem nie była oburzona, aby cię nie napadnięto niespodzianie....

Między innemi wezwana jest i szambelanowa, jak gdyby szło o renons w partyi wista.... jedyny wypadek, w którym ona powagą być może.... Szambelanowa, oprócz panny Dyakowskiej, może mnie wezwać, abym jęj towarzyszył w podróży. W takim razie i ja się muszę stawić, lecz chcę uprzedzić, że przyjadę jako sprzymierzeniec nie wróg.... na tve rozkazy.»

List ten już prawie zbytecznym czynił rozpierzchętwoywanie pozostałych. Szambelanowa w wyrazach najczulszych, oznajmowała, że była stęskniona do drogięj Ady i — mimo wieku a odwyknęcia od podróży, odwiedzić ją postanowiła.... Prosiła, aby jęj tam kąciczek jaki przygotowano.... Panna Dyakowska i Karol towarzyszyć jęj mieli....

Hrabia Hernasz mówił w liście, iż miał sobie srodze do wyrzucenia, że mu domowe jego sprawy nie dozwoliły dotąd złożyć uszanowania w Ruszkowie.... Bolało go to tak, iż nareszcie postanowił

wszystko opuścić i stawić się z żoną, aby się łaskawej pamięci i sercu kuzynki przypomnieć.

List pana radcy tajnego, w urzędowym stylu, oznajmował po prostu, iż tego a tego dnia będzie miał honor służyć w Ruszkowie....

Przebiegłszy oczyma pisma te — Ada odsunęła je i zadumała się mocno. Kuratela rozciągnięta nad nią oburzała ją tak mocno, że w początku pomysłała o wyjeździe za granicę.... Krótkie zastanowienie się zmieniło wprędce myśl natchnioną gniewem. Byłaby to ucieczka, odroczenie, ale nie rozwiązanie trudności — niegodne jój.... niemal przyznanie się do winy i słabości. Woląła mężnie stawić czoło.... a wyzwana nie odpychać walki.

Od owego pamiętnego wieczoru stosunki jój z Robertem pozostały na tym stopniu, na jakim je chwila uniesienia, nierozważnego może, ale serdecznego postawiła. Ada była czułą siostrą, Robert bratem rozkochanym, lecz zawsze jeszcze o niczym więcej mowy nie było — prócz wiekulstego braterstwa.... Czy ono starczyło obojgu? czy wierzyli w to co mówili? czy to był tylko sposób, którym osładzali oczekiwanie?...

Robert nie śmiał przejść zakreślonej mu granicy. Ada, którą przerażało czasem wspomnienie tego wieczoru i rumieniec wstydu na twarz wywoływało — przysięgała sobie, iż nie da się opanować uczuciu!...

Jak dawniej będąc z sobą w salonie, czasem na krótką chwilę, mogli poufale mówić bez świadków— Ale Ada nie chodziła już Kasi odwiedzać.... Robert bywał u pólkownika, spotykali się przypadkiem w parku. Były to kradzione chwile, bo panna Hortensya szpiegowała....

Listy oznajmujące o najeździe familijnym, po chwili namysłu, znalazły ją przygotowaną na przyjęcie tych odwiedzin tak, jakby ich znaczenia nie rozumiała.... Drżącą nieco ręką zadzwoniła, aby poproszono pólkownika, bez którego rady nie czynić nie chciała — ale zwierzyc mu się nie myślała....

Brandys już ubrany jak do obiadu, stawił się z miną wesołą i podkreconym swym siwym wąsikiem. Ada przybrała wyraz obojętny, niemal wesoły....

— Półkowniku— spotkała go w progu— ciesz się! będziemy mieli miłych gości, Ruszków się ożywi. Wyrzucasz mi zawsze moje upodobanie w samotności. Tym razem kłopotu ci aż narobię.

— A! żadnego w świecie? Któż przyjeżdża? Chyba radca....

— Ale nie on jeden.... Zjeżdża się niemal cała rodzina.... Złożyło się to dziwnie, lecz wolę, że razem będą, łatwiej mi ich będzie przyjąć i zabawić.

Brandys się nieco zafrasował.

— A dużoż to będzie osób?— spytał.

— Radca najprzód, szambelanowa z panna Dyakowską i zapewne panem Karolem, naostatek — nie wiem już czy ich sobie przypominasz — hrabiostwo Hernaszowie.

— Trochę — wybąknął pólkownik, pocierając łysinę....

Gospodyni spójrzała na twarz jego, która zdradzała, że niezbyt był ucieszony liczbą gości.

— Nie frasuj się, pólkowniku — rzekła: Szambelanowa stanie koło mnie, w dwóch pokojach gościnnych; radca na górze, jak zwykle; Hernaszowie w dworku ogrodowym, a pan Karol — a! gdziekolwiek! Z nim nie ma ceremonii.

— I kiedyż to się mamy ich spodziewać?— zapytał pólkownik....

— Czuwajmy, bo nie wiemy ani dnia ani godziny — wesoło dokończyła Ada.... Przepraszam cię za kłopot.... ale cóż robić!

— A! kłopot podchwycił Brandys, gdyby on był tylko dla mnie — ale mi moją dobrodziejkę znudzą!

— Wszystkiego w świecie probować potrzeba, nawet nudów.... westchnęła Ada.... ja heroicznie je zniosę....

Po krótkim jeszcze rozpytaniu się o szczegóły, wyszedł Brandys, lecz za progiem nie mógł się wstrzymać od:— A! niechże ich wszyscy.... Zatu-

lił sobie usta i pociągnął z głową zwieszoną — dysponować służbie przygotowania...

Panna Hortensya od zapowiedzianego wyjazdu, ciągle się z dala od Ady trzymała, mówiła mało, siedziała zadumana, patrzyła po ścianach, pokazywała jawnie, iż ją smutek pożerał. Wszystko to obojętnie przyjmowała gospodyni.... Przygotowania do wyjazdu szły tak powolnie, jakby czekano, żeby je ktoś siłą zahamował i przeciw nim zaprotestował. Rolę tę podobno przeznaczono szambelanowej, która nie miała dozwolnić, aby Hortensya opuściła osierociałą Adę.

Tego dnia wyszedłszy do salonu, gospodyni zwróciła się ku kuzynce....

— Będziemy mieli gości licznych i pożądaných, rzekła. — Nie wiesz o tém? czy ci nie donoszono?

— Mnie! mnie! a któż mi miał donosić, i dla czego? — Ja tu przecie nic nie znaczę i jestem rezydentką na łasce.... Cóż to do mnie należy! — zawołała opryskliwie Hortensya, cała wzburzona; bo zrozumiała dobrze cel i znaczenie tych wyrazów....

— No, więc ja pierwsza ci zwiastuję szambelanową z Dyakowską i panem Karolem, radcą, a nawet hrabiowstwo Hernaszów....

Ze spuszczonej oczyma wysłuchiwała panna Hortensya, nie odpowiadając nic. Ada udawała wesołość i obojętność.

— Niezmiernie rada temu zjazdowi familijnemu — rzekła — za rzadko się widzujemy i w ważniejszych sprawach życia zwierzyć się nie mam nikomu.... Radzić się nie lubię — ale podzielić myślą — zwłaszcza gdy się coś stanowczego zamierza.....

Wyrazy te ogólne, miały na celu nastraszyć Hortensyę, i dopięły tego. Zbladła, będąc pewna już, że Ada przeciw wszystkim gotowa podnieść buntu chorągiew.

Na tém się skończyło. Jak tylko się wymknąć mogła, poszła z kanonikiem podzielić się tą wiadomością kuzynki. Hrabia de Bello spytał chłodno, jak wiadomość przyjęła Ada?

— A! z zupełną obojętnością — wcale nie zmieszana.... Nie ma już ani wstydu, ani pomiarkowania....

Sądu tego nie potwierdził kanonik. W ciągu dnia gospodyni zajmowała się żywo urządzeniem mieszkań dla gości. Cały dom był już o ich przybyciu blizkiem uwiadomiony.... Robert, który czasem dzień po dniu, lub co najdalej przez dzień przyjeżdżał do Ruszkowa, co panna Hortensya nazywała «febrą» — przybył wieczorem. Przechadzka po sali przed werandą dozwoliła się rozmówić poufnie.

— Spisek na mnie uknuto — odezwała się Ada do niego. Ludzie, którzy czystego przywiązania,

związku serce zrozumieć nie chcą, i po swojemu każdy stosunek tłómaczą trywialnie, muszą mi przypisywać, że zamierzam wydać się za mąż za ciebie... Zbuntowano całą moją rodzinę, ażeby przeciw kryminalowi temu protestowała, wstrzymała mnie na brzegu przepaści! Dziś — jutro, po jutrze, nie wiem kiedy, zjeżdża się tu co żyje... aby mnie uczyć rozumu... Mówiłam ci o moim opiekunie nominalnym, panu radcy, wiesz o szambelanowej, znasz pana Karola... Do nich dodać trzeba hrabiowstwo Hernaszów...

Robert pobladł słuchając...

— Zaklinam cię na nasze przywiązanie braterskie — dodała, — abyś w trybie życia, w stosunkach ze mną, z powodu przybycia rodziny, nie — na włos nie odmieniał! Nakazuję ci powagą siostry, proszę — ażebyś przyjeżdżał jak zawsze... nie rzadziej. Inaczéj myśleliby, że ja się ich lekam, i że ty się ich obawiasz. Skompromitowałbyś mnie i — pogniewał...

— Ale... siostró kochana...

— Żadnego, żadnego ale... to wola moja, a wiesz, że masz siostrę samowolną, despotyczną... i że — musisz jéj słuchać, boby cię nie kochała... Wyciągnęła ręce ku niemu.

— Myślisz, że mnie to nie zrobi przykrości — bolu? Cierp ze mną. Wiem, że nie jedno spójrze-

nie, wyraz cię nie jeden zadraśnie.... Uczynić ofiarę dla mnie.

— Nie ma którejbyś odmówił, zawołał Robert— będę posłuszny.

— Zdaje mi się, że ta próba zaopiekowania się moją małoletnością będzie ostatnia— dodała Ada.... należy ją przetrwać mężnie, nie zmrużywszy oka.

A widząc, że Robert stał smutny i niemy, śmiejąc się wprowadziła go do drugiego pokoju, głowę złożyła na jego ramieniu, podniosła czoło ku jego ustom.... chłopak nie był już panem siebie, i chwyciwszy ją w pól — nie w czoło — pocałował ją gorączkowo w usta.... Ada odepchnęła go silnie.... i drżąca, na pól omdlała, natychmiast znów ręką go przyciągnęła ku sobie....

— To nie braterski pocałunek — rzekła głosem słabym.... Robercie — ja się gniewam....

Ale w głosie jój gniewu nie było, czuć było omdlenie, i uśmiechając się przeprowadziła go do salonu.... kończąc dawną rozmowę.

Robert zaklinał, aby mu przebaczyła zuchwalstwo; potrząsała głową groźnie ciągle.... lecz o gniewie mowy nie było, tylko o tém, ażeby Jazyga nie zapomniał co mu przepisano....

Epizodu tego w bocznym pokoju, który nie trwał nad oka mgnienie, nikt nie widział z ludzi — lecz oko panny Hortensyi mogło się niemal domyślać jakiegoś namiętniejszego zbliżenia, tak Ada dziwnie

była poruszoną, złagodniałą, podrażnioną przez wieczór cały.... Robert też miał fizyognomię winowajcy zawstydzonego, upokorzonego — nieszczęśliwego szczęściem skradzioném. Kanonika, co czytał w ludzkich twarzach spokojném okiem wyźszego nad namiętności człowieka, nie było tego wieczoru. Wyjechał pod jakimś pozorem dla spotkania się w umówionój mieścinie z radcą i dla ustnej z nim narady....

Dwa dni minęły.... drugiego Robert był znowu.... o gościach nie było słyhu. Ada unikała teraz oddalenia się z Robertem od towarzystwa.

— Nie zasługujesz na zaufanie, rzekła mu na wół żartobliwie. To nie po bratersku.... Boję się ciebie....

Jazyga brał to ściśle jak było powiedziano, wyrzucał sobie swą zbrodnię, martwił się tém i zaręczał, że na przyszłość będzie panem siebie....

Ada miała mu wprawdzie za złe ten poryw namiętny — gniewała się niby — lecz — dla czego teraz stał się jój jeszcze droższym, miłszym jeszcze...? nie wiedziała. Był to może skutek litości nad słabością jego....

Łudziła sama siebie tém braterstwem, które ją uspakajało na dziś....

Jutro? nie patrzała w przepaści jutra! Każda miłość dniem dzisiejszym żyje, a któraż ma jutro??

Z rana dnia trzeciego, gdy wszyscy byli w kaplicy, bo przejeżdżający Bernardyn wstąpił ze mszą świętą, zajechała stara karetka szambelanowej i koczyk, w którym siedział pan Karol. Służba stojąca w ganku, wiedząc już o mieszkaniu, wskazała je natychmiast, oznajmując, że pani jest na mszy.

Zmęczona drogą staruszka poszła spocząć w swoich pokojach, a pan Karol skierował się ku kaplicy. Gdy po nabożeństwie wstała od klęcznika swojego Ada, pierwszą twarzą, którą zobaczyła we drzwiach, była Karola. Woląta na ten raz, że od niego się zaczynało, i powitała wesoło....

— Jest szambelanowa?

— Przywiozłem ją czy ona mnie— rzekł Karol,— bo to pytanie nie rozstrzygnięte.... Musiałem jechać, bo na noclegach, ja i panna Dyakowska, mogliśmy sformować wista z dziadkiem, inaczej nie dojechałaby pewnie i umarła z tęsknoty do niego!

Ada poszła natychmiast do szambelanowej, a tuż w ślad za nią biegła Hortensya, która tylko bolała, że pierwszą tam być nie mogła.

Im przybycie groźniejszém się obiecywało, tém Ada musiała być weselsza i szczęśliwsza.... Szambelanowa też nienawidząca kwasów, rada była, że na nie nie trafiła. Ścisłała — śmiała się i z góry już sobie zapowiedziała, że dopóki inni nie zagają sprawy, ona jój pewno nie rozpocznie. Gospodyni

wyszła, zostawiając Hortensyę... która za ledwie się drzwi za nią zamknęły, rzuciła się w objęcia szambelanowej.

— A! złota moja! wołała — dobrze, prawdziwie po chrześcijańsku postąpiliście przybywając ją ratować! Włosy na głowie powstają co się tu dzieje. Wy nie macie o tém wyobrażenia. Jest to bezwstyd — roznamiętnienie, zapomnienie się, brawowanie!... Na to wyrazu nie ma....

— Ale, zmiłuj się — przerwała Dyakowska.

— Za mało mówię — dodała Hortensya — za mało.... nie chcę powiedzieć więcej, aby ust sobie nie walać. To kobieta zgubiona....

— Ja bo zawsze mówiłam, przebaknęła szambelanową: nie ma nic niebezpieczniejszego nad takie zakonserwowane stare panieństwo.

Zapomniała staruszka, że mówiła to w obec dwóch panien dobrze niemłodych. Hortensya za protestowała. Dyakowska się obruszyła. Szambelanowa ramionami rzuciła.

— A! nie bierzcie tego do siebie, moja Hortensyo.... hm! (schyliła się jej do ucha, a panna odskoczyła zmieszana)... Spójrzała na Dyakowską zarumienioną — i dodała: To wcale co innego!

— E, o was to się ja już nie boję! — szepnęła szambelanowa, i zmieniając rozmowę, zwróciła się do swój towarzyszki.

— Dyakosiu, serce moje, aniele opiekuńczy, zrób, żebym ja dziś śliczna była! Ty to umiesz! Ubierz mnie do twarzy.... moja droga.... Jak ty zechcesz, będę piękna.

Rozśmiała się... i na tém przerwano, choć Hortensya miała ochotę na ucho opowiadać o tych okropnościach, jakie się tu działy, za które ona się rumienić musiała....

— To potem, moje serce — potem... zakończyła staruszka.... teraz toaleta.... Dyakosiu! zaklinam cię. Jak ty zechcesz — będę ładna....

Uśmiechnięta, pomarszczona twarzyczka pani szambelanowej, choć już, niestety! piękną nie była, ale miała właściwy wdzięk owój starości która życie trzyma i ślady rysów jak w mumii zachowuje. Szambelanowa winna to była temu, że się zestarzeć — nie chciała.

Pan Karol siedział u Oblęckiego i dopytywał o Karolinę, potem powędrował do pólkownika....

Ada przeczuwała, że przybycie staruszki będzie zapowiedzią innych. Zaturkotało w istocie — ale to był kanonik, przybywający niby z dekanatu swojego, a poprzedzający tajnego radcę. Ten, dla niepoznaki, zatrzymał się był jeszcze w sąsiedniem miasteczku.... Hrabiowstwo także się opóźnili.

Rodzina niby się dopiero teraz dowiadywała o sobie... Szambelanową cieszyło, że wist był za-
pewniony, bo i radca grał chętnie — i Brandys nie
był od tego — i Karol się dawał zaciągnąć — cho-
ciaż robił omyłki i miewał dystrakcyę nie do prze-
baczenia.

Ada, odstępując nieco od zwyczaju, dnia tego
wyszła do salonu, ubrana w ciężką suknię koron-
kami obszytą, piękna, świeża, odmłodzona, z wyra-
zem takiej pańskości na twarzy, iż postrzegłszy
ją szambelanowa, która lubiła piękność we wszy-
stkich jój objawach, zawołała zachwycona :

— A! Królowa!

W istocie — znać w niej było panią swój woli,
nawykłą słuchać tylko natchnień własnych.

W pierwszej rozmowie ze staruszką o swém
życiu, zajęciach, sąsiedztwie, Ada się odezwała.

— Sąsiedztwo nieliczne.... U mnie mało kto
bywa, oprócz jednego młodego człowieka, który,
choć młody — ma powagę i takt dojrzałości.

Lubię go bardzo, to mój partner, niemal codzien-
ny do rozmowy.... Zobaczycie go tu państwo....

Hortensya zbladła jak ściana. Szambelanowa
spójrzała na Adę i nie umiała dobrać słowa na
odповідź. Karol tylko dodał:

— Ja go tu poznałem. Wszak mowa o panu Ro-
bercie? Bardzo miły młodzieniec....

W ten sposób odważnie, zuchwale prawie rzucawszy sama to słowo — zamknęła niemi usta drugim. Hortensyi z gniewu łzy stanęły w oczach.... Wejrzenie Dyakowskiej ze współczuciem spoczęło na mężnej niewieście.... Szambelanowa odwróciła wnet mowę do Warszawy i powszednich plotek.... była zakłopotana. Mówiła sobie w duchu:— Sekretu z tego nie robi. Po cóż myśmy tu przyjechali? Nie już nie poradzimy.

Spojrzała na Karola, ten dał jej znak, że ją rozumie. Gospodyni była w najświetniejszym humorze....

Dzień przeszedł niepostrzeżony. Na wieczór starszka sobie zawczasu zamówiła do wista pułkownika, Karola i — gdyby nikt inny nie chciał, zapraszała Dyakowską, która w ostateczności tylko grywała.

Lecz przed wieczerzą jeszcze zjawił się we fraku, w białym krawacie, z gwiazdą u boku, wyswieżony radca — który pomimo wieku ruchy miał młodzieńcze, żywość nadzwyczajną, a formy aż do przesady ceremonialne, etykietalne, pełne słodyczy i grzeczności wyszukanej. Chłód jednak wiał z pod tych błyszczących osłonek.

Ada powitała go z radością wielką, z temi samymi formami etykietalnemi, jakie on zachowywał.... Czułe było przywitanie, potem przypomnienie się szambelanowej, poznanie się z panem Ka-

rolem, protekeyonalnie dobrotliwe spotkanie z pułkownikiem... Reszta dworu zaprezentowana na nowo, z dała skłonieniem głowy była przyjęta. Radca miał postawę wielce znaczącą, pierś wypukłą, już dla saméj gwiazdy, — głowę trzymał do góry, chodził wyprostowany, jednej rękawiczki nigdy prawie nie zdejmował.

Z dała woń paczuli, lekka, delikatna, stłumiona zalatywała od niego. Nie było nic piękniejszego nad jego ręce — nic gładszego nad jego świecąca wygoloną brodę.

Była to postać, którą mógł los postawić gdzieby chciał, a nigdzieby nie raziła niczém — aleby się też niczém nie oznaczała. Twarz gładka, przyzwoicie narysowana, nie miała rysów klassycznych (nos był nawet nieco kartoflowaty), lecz nie była karykaturą, a nadewszystko nie miała wyrazu. Była to maska posłuszna, gotowa nasrożyć się, uśmiechnąć, być groźną i dobrotliwą, oburzoną i łaśkawą, pod wrażeniem wiatru jakiby powiał na nią — maska z gummy elastycznej, giętka, wygodna — a w stanie przejścia będąca nieokreślonym typem ludzkiej nicości... Tak samo rozmowa radcy nie mówiła nic — śmiech się nie śmiał, smutku jego nie można było brać na seryo, nie był zażliwy. Z tém wszystkiém mógł uchodzić za wzór najprzyzwoitszego z ludzi — lub automatów.

Radcy w życiu wiodło się, dzięki charakterowi

temu giętkiemu, nadzwyczaj szczęśliwie... płynął z prądem w wygodnej łódce, otulony, nie będąc zmuszony robić wiosłem własnoręcznie — wody go niosły, wiatry mu dęły w żagle... Opatrzność nie mogła tak zaenym człowiekiem nie zajmować się z troskliwością szczególną.

We wszystkich innych życia zadaniach, radca, jak jego twarz, był nadzyczaj — podatny; nie sprzeczał się nigdy, nie upierał przy niczym, w ostatecznym razie uśmiechał się dwuznacznie i milczał. Jedno tylko mogło mu na twarz rumieniec wywołać i oburzenie z piersi. Każdy człowiek ma swą Achillesową piętę. Uradcy były nią zasady zachowawcze i arystokratyczne. Wierzył w ród i krew, nie tłómacząc sobie tego ani systemem Darwina, ani żadnym politycznym — tak — z nawyknięcia... Na ludzi małego pochodzenia patrzył z góry, wahał się jak hrabia Henryk R... czy z niemi mu się godziło sięść do stołu, nie podawał im ręki... a o połączeniu się — mowy dlań być nie mogło.

W towarzystwie równych sobie był to człowiek miły, bo mówił z łatwością o niczym, nicości przyzwoite, nigdy słowem ostrym i jaskrawym uszu nieczyich nie obraził — i nie brakło mu na wspomnieniach zajmujących... Sięgał niemi naturalnie szczególniejsz tych chwil swojego życia, w których dotknąć się mu trafiło znakomitości; — a z temi był w szczególnie dobrych stosunkach. Kochali go ksią-

żęta udzielni, czcili dygnitarze, ze łąą woku rozstawali się z nim ludzie wielcy i sławni, wysoko położeni. O skromnie pomieszczonych na drabinie społecznej wiedzieć nie chciał... Z radcą wszedł do salonu żywiół ceremonialny, który się odbił zaraz we wszystkiém. Spoważniała szambelanowa. Karol się odprostował, wszyscy mieli na siebie baczenie, aby téj gwiazdy promienie nie padały na niegodnych jój światłości.

Mówiono żywo bardzo — a gdyby się kto był spytał o czém — w kwadrans niktby tego nie umiał powtórzyć. To było wielką zaletą téj konwersacyi salonowój, podobnej do czystej wody krynicznej, która nikogo nie upoi, nikomu nie zaszkodzi. Kanonik miał wprawę do wtórowania z tego tonu. Karol milczał, gospodyni jedna z nieco wyższego się odzywała, i niemal za każdym jój słowem radca się oglądał nieco nastraszony. Koloryt ten żywy, pół tonami starano się zharmonizować z ogólnym.

Wist szambelanowój przyszedł do skutku, i uszczęśliwił ją — była zgłodniała. Siedli doń: radca, pan Karol i pułkownik... Radca nieco się od stołu odsunawszy, wsparty na łokciu, majestatyczny, widać było, że grał — przez grzeczność. Choć Brandys szlachcicem był i miał tytuł pułkownika, stanowisko jego dwuznaczne w hierarchii społecznej, jako rządcy — raziło radcę... Czasem się trzeba dla familii poświęcić.

Wieczór ten zszedł bez najmniejszego fałszywego dźwięku. Ada swe obowiązki gospodyni pełniła ochotczo, zręcznie i z powagą, która kazała zapominać, że była panną tylko....

Nazajutrz rano, przede mszą jeszcze, powóz czterokonny stanął u ganku, a z kozła zeskoczył najprzód kamerdyner, po którym bardzo żywo z powozu samego dobył się niespokojnie oglądając, mężczyzna małego wzrostu, twarzy gąbkowatej, nieznaczącej, z oczyma niespokojnymi.... Z pod kapelusza miękkiego podróżnego widać było peruczkę ryżawą. Począł się zaraz gorączkowo informować o mieszkanie, gdy nadchodzący kamerdyner zaoharował się prowadzić państwa do dworku w parku.... dokąd powóz boczną ulicą pociągnął.

Byli to hrabiowstwo Hernaszowie. W chwili gdy on sam wyskoczył pośpiesznie z powozu, za nim wychyliła się instrukcye mu jeszcze dając kobiety nie młodej twarzy.... czerwona, niemal sina, ostra i niemila. Mąż ciągle się ku niej zwracał, biorąc rozkazy; ona gderala ciągle, okazując srogie nieukontentowanie, którego wyraz mąż oddawał zaraz służącemu... Tak marszcząc się i kwasząc wszyscy znikli w alei wiodącej do dworku....

Stał on niedaleko, ukryty w drzewach, i stanowią sam piękny apartament gościnny. Niegdyś mieszkał w nim ojciec Ady, którego obyczaje i nawyknięcia w pałacu mu wytrwać nie dawały. On to

sobie pobudował to cacko, które stało teraz puste, zaludnione bardzo niemilemi wspomnieniami. Ada pomijała ten dworek, w ostateczności tylko mieszczono w nim kogoś — co o przeszłości nie wiedział. Utrzymywany był mimo to opuszczenie w porządku, i z niego powziąć było można wyobrażenie o sybarytyzmie nieboszczyka.

Dworek ten wygodniejszy był od pałacu, miał salon prześliczny, wybity skórami złoconemi, billardowy pokój, jadalny, łazienkę, sypialnię w kształcie namiotu wytworną, i co tylko dla wygody wymyślić się dało. Nieboszczyk Pretwicz nie zapominał o sobie....

Ada, pomimo wstrętu do tego dworku, poszła, przemogłszy się, odwiedzić pierwsza hrabiostwo. Zastała już ich w jednej z tych wiecznych kłótni, które stanowiły chroniczną formę ich pożycia.... Mały pękaty hrabia stał i słuchał, żona mu wyrzucała wszystkie jego przestępstwa w podróży, zapomnienia, omyłki, co cierpiała z jego powodu i t. p. Z obowiązku musiał to przyjmować małżonek, bo opuszczenie stanowiska liczyło mu się za zbrodnię.

Hrabina była zawsze kwaśną, całe życie chorą — a po podróży wszystkie te symptomata jeszcze wybitniej występowały. Nad zdrowiem jój małżonek czuwać był zmuszony ciągle — czuwał. Żona jego Madame la Comtesse Euphemie — przyniosła mu

do tytułu — szkatułę, — cała świetność domu z niéj płynęła; mąż czuł się do obowiązków wyplacania za dobrodziejstwo. Hrabia też nie miał ani własnego zdania, ani myśli, ani woli.... Nie ważył się czynić nic, nie wzięwszy rozkazów, i nigdy żonie samowolnością nie uchybił. Posuwała się ona czasem, jakby próbując swéj potęgi, tak daleko — że u stołu zabraniała mu jeść, zakazywała pić.... słowem wchodziła w najmniejsze drobnostki. Mogło to ująć za dowód troskliwości o zdrowie hrabiego, ale go czyniło śmiesznym.

Hrabina, której pochodzenie orientalne jakieś, nieoznaczonej narodowości, nie dawało praw do arystokracji — tém silniéj stała przy jéj poszanowaniu. Na jéj biletach stało: *née Comtesse de Henrici-Commoduro da Trento*.... Wyglądało to tak zamaszycie że nikt już głębiéj nie zaglądał.

Hrabia miał lat ze sześćdziesiąt — od dziesięciu nosił, za pozwoleniem żony, perukę; hrabina musiała mieć lat pięćdziesiąt, choć twarz jéj należała do tych, co nigdy młodemi nie były i nigdy bardzo staremi się nie wydają. Skutkiem choroby jakiegóś — barwa jéj lica była czerwona, a niekiedy przechodziła w siną. Koloryt najsilniejszy skupiał się na nosie dużym i w dwóch podłużnych plamach na policzkach. Usiłowano go złagodzić, gdy *poudre de riz* został wynaleziony — lecz puder ten, dla zbytnej gładkości skóry, nie trzy-

mał się i opadał. O piękność swą zresztą hrabina mało dbała — o strój niewiele. Oboje byli skąpi i cheiwi, a pyszni... Ada powitała ich przyszedłszy twarzą jak mogła najweselszą, przeprosiła, że ich umieszcza we dworku dla tego, aby im było jak najwygodniej, dodała służącego, aby czekał na ich rozkazy, i dowiedziawszy się, że hrabina miała ból głowy, ból prawego boku, kolkę w piersiach, palenie dłoni, rwanie w stawach.... nie licząc tego o czém nie mówiła — odeszła....

Dzwoniono na mszę. Kaplica tego ranka wyglądała wspaniale... Ołtarz otaczali goście dostojni. Kanonik celebrował. Na przedzie face à face z wielkim ołtarzem, wsparty na lasce stał w całym majestacie swym radca. Z rana jednak gwiazdy nie włożył, pęczek różnych wstążeczek w dziurce od guzika skromnie ją zastępował... Stał, jak dlań przystało, najbliżej Pana Boga... bo nikt nadeń nie miał tu większego prawa zbliżać się ku ołtarzowi. Radca był przekonany, że w ciągu życia Panu Bogu oddał znakomite usługi — bez których... a ba! kto wie jakby boże interesa na ziemi się obróciły. Modlił się po cichu i skromnie.

Szambelanowa modliła się z książki, a że okularów jako godła starości nie lubiła, przez lornetkę. Hrabiiwstwo Hernaszowie nie mogli przybyć na nabożeństwo.

Na śniadanie urzędowe, które wkrótce potem podano, zebrali się już wszyscy.... Hrabina trochę pobielona w pomiętej sukni, hrabia w surducie trochę ciasnym.... Mówiono wiele i głośno...

Nie mogło dla Ady, nawykłej do cichego życia, rozmyślań, marzeń, studyów nie w świecie być przykrzejszém może nad ten tłum różnorodny, co ją otaczał. Musiała się jednak uśmiechać mu twarzą wdzięcznej gospodyni.... Rzucano na nią oczyma badającemi, upatrując trwogi lub pomieszania — tego jednak nikt nie dopatrzył. Dziwiło to i niepokoiło zgromadzonych, którzy w zbiorową siłę areopagu ufali....

Radca szczególnież zamysłony był.... Jeszcze znaczniejsza część gości u stołu siedziała, gdy on skinąwszy na prałata, cicho się z nim wyniósł na werandę. Tu obejrzawszy się i nie widząc nikogo, szepnął mu do ucha:

— Cher Comte! Jakiż jest plan działania? Kiedy i jak mamy wystąpić.... Uroczyście? Zbiorowo? Pojedynczo?... Ja, nie mam zbyt wiele czasu.

— Panie generale, odparł kanonik, wiedząc, że tytuł ten brzmiał miléj jeszcze w uszach radcy, niż zwykły — najprzód należy dać — nieprzyjacielowi — *puisque, malheureusement, c'en est un,* — ubezpieczyć się. Dziś — ani słowa. Obserwujcie.... Sławmy głośno swobodę i szczęście pani domu, która nie nakładając na się jarzma małżeńskie-

go, umiała tak mile sobie urządzić życie.... *et caetera!!*

Zobaczymy.... Hasłem jest: jój szczęście obecne.

— A! a! dajcież hrabio to hasło wszystkim, proszę.... ja będę się do niego stosował.... Państwu Hernaszom trzeba to też powiedzieć.

Skłonił się kanonik. Radca stał czekając czy się czego więcej nie dowie — potem jakby sobie przypomniał coś, przystąpił do księdza....

— Szlachcic to jest? spytał.

— Kto?

— A.... ów wybrany mojej pupilli....

— *C'est douteux!* odparł ksiądz — Jazyga! nieznanne nazwisko.... Szlachetka może, choć równie może być.... nie wiem kim. W wojsku się dorabiano stopni od gemejna.... Co do mnie, nie znam szlachty polskiej ani litewskiej tego nazwiska.. .

— W to bić! podchwycił radca. To punkt kapitalny! voilà!

— Żadnego wychowania.... dodał kanonik — surowy, nieotarty, gburowaty....

Mówili jeszcze, gdy nadszedł Hernasz odkomenderowany przez żonę.

— A — cóż? cóż? rzekł wciskając się — co? jak to będzie?...

Kanonik go wziął na bok i dobitnie mu znowu program postępowania wyłożył. Hernasz nawykły do biernego posłuszeństwa, przejmował się niém

pilno słuchając, niekiedy tylko dorzucając: — A! rozumiem! a!...

Hasło musiało być z pomocą panny Hortensyi rzucone we wszystkie uszy, gdyby nikt przeciw niemu nie wykroczył. Od śniadania zaraz rozpoczęły się głosy uwielbienia i zazdrości.

— Kochaneczko! mówiła szambelanowa, słowo ci daję — tyś rozumniejsza od nas wszystkich bab... ty jedna pojęłaś jak się urządzać niezależnie, swobodnie — wedle swych upodobań... Jesteś najszcześliwsza między niewiastami! Słowo ci daję! Ptasięgo mleka chyba u ciebie brak... I — pani w domu! i nudnego męża, którego pilnować trzeba... nie ma...

Hrabina Hernaszowa nie wahała się kilku dobitnymi słowy potwierdzić zdania szambelanowej. Ada miała wielką ochotę na przekorę im się sprzeciwić — lecz wstrzymała się... Uśmiech dwuznaczny przebiegł po jej ustach, westchnęła tęskno...

Radea, który właśnie z werandy powracał, z łatwością sobie właściwą temat podany do rozwodnienia pochwylił.

— Tak jest, szanowna pupilla moja — rzekł — fenomenalną może się nazwać istotą! Lecz jakże mało na świecie kobiet, któreby ją naśladować potrafiły! Nie uleż chwilowej słabostce, zawsze być panią siebie, miłować tylko sztukę i naukę.

stać wyżej po nad zmysłowe fantazyje.... i wszystko poświęcić dla swobody, dla niezależności!

Karol, który słuchał uśmiechając się — zwrócił się do Ady.

— Mamże słaby mój głos przyłączyć do tego uwielbień chóru?— rzekł na pół szydersko.... Lękam się! Nie umiałbym mu wtórować — bo ja — sceptyk, zepsuty.... Nie wierzę, aby w tej swobodzie — bez towarzysza, w osamotnieniu — bez drugiego serca.... wielkie szczęście mieszkało. Co najwięcej, to szczęście bierne tylko.... Pół światła — pół cienia, jak mówił poeta.... i — pół zbawienia.

Oczyma czarnemi, wdzięcznemi spojrziała nań Ada....

— Masz może słuszność — to co we mnie zowią męztwem, mogłoby być tchórzowstwem i słabością.— Któż wie?

Wszyscy umilkli i oczy krzywe zwróciły się ku Karolowi, który jak nożem uciał naciągnięte pasma do rozmowy. Radca nie mógł się wdawać w polemikę. Kanonik nie raczył, szambelanowa nie chciała, Hernasz nie umiał. Ostatni spojrział na sine lica żony, oczekiwał znaku, — dano mu sygnał, aby się wstrzymywał, założył ręce w tył i pozostał w niewielkiej odległości od swojego dowódcy.

Dopiero po upływie kwadransa i nowém preludjum radcy, niekoniecznie zręczném — wzięto się znowu do sławienia rezydencyi, żywota i spraw panny Ady....

— Gdybyś kuzynka miała nie wiem jakiego męża — no — ideał, a tych ideałów na świecie nie ma — słowo daję — z żadnymbyś tak nie była szczęśliwą, swobodną — królową, jak oto dziś, rzekła pani Hernaszowa. Tak samo i z dziećmi! choćby najlepsze były.... A nie ma jak być panią w domu.... i nikomu sprawy nie zdawać.... i na nikogo się nie oglądać! Słowo daję!

Hernasz patrzył na żonę spokojnie, bynajmniej tego nie biorąc do siebie. Wykałał zęby ze stoicyzmem męża, który już nie do stracenia nie ma....

Wspomnieliśmy o tém, iż Ada w swym domu wiodła życie, które się nigdy dla gości nie stroiło i nie zmieniało. Tym razem jednak pewny wyjątek nakazywało jakieś uczucie dumy — jakaś chętką pokazania swojego dostatku. Chciała może nieco upokorzyć tych, co ją przyjechali bardzo udrzeć, pod pozorem ratunku....

Obiad w tym dniu uroczystym był wykwintniejszy niż zwykle, a radca będący smakoszem, nie mógł się go odchwalić.

— Pani jesteś doskonałością we wszystkim — mówił — nawet kuchnia i piwnica, niezrównane....

Oboje państwo Hernaszowie oczyma zazdrosnymi pożerali wspaniałe srebra, starą porcellanę, złote sztuce do desseru, wszystek ten przyrząd pański, który Ada ocaliła lub dopełniła sama, mając pewne upodobanie w pięknych przyborach do życia. Czego nikt pewnie ocenić nie umiał, te drobne rzeczy miały wszystkie artystyczną wartość i były istotnie piękne...

Ada nigdy nie kupowała nic takiego, coby się wszędzie spotykało, było pospolite i spowszedniałe — dobijała się wzorów nowych i umiała je wskazywać.

Szambelanowa łakoma, jadła z zapamiętałością, wdzięczna będąc téj pocziwój Adzie za przysmakki. Miała ten chciwy apetyt starych ludzi, nie-nasycony, który zwiastuje naturę osłabłą — ratującą się od zagłady.... tém co zabija nawet.... Podawano jój po dwa razy z półmisków, a troskliwa Dyakowska próżno ją reflektowała. Odpowiadała jój gniewna prawie: A! dajże mi pokój, to mi smakuje!

Radca lubował się też, ale z ostrożnością człowieka, który wie jak niestrawność niebezpieczną być może; pani Hernaszowa kaprysiła z jadem, a mąż jój nie wiedział co połykał. Karol pił i wesół był, a dowcipny tak, że wszystkich do śmiechu

pobudzał. Panna Hortensya siedziała rzucając oczyma, niespokojna. Nic nie szło po jój myśli, zdaniem jój zbyt zwlekano, zbyt łagodnie brali się wszyscy do dzieła.

Kanonik grał rolę bierną — mówił o rzeczach obojętnych — był miłym, i chciał pokazać, że się do niczego nie miesza.... Mówił nawet o potrzebie wyjazdu....

Obiad ten, jak się można było spodziewać, wprawił towarzystwo w usposobienie pojednawcze, łagodne.... Nikomu się nie chciało zatruwać sobie chwili miłej wystąpieniem jakimś niewczesnym.... Radca nieco zarumieniony, błogością okryte miał oblicze wstając.... Karol był w nadto różowym humorze. Szambelanowa czuła skłonność do drzemki, którą czarna kawa, oczekiwana rozproszyć miała. Spodziewała się potem małego wiszcza, jeden tur przed herbatą — któryby ją orzeźwił. Zamówiła też sobie wodę sodową....

Wśród tego towarzystwa, gospodyni męczeństwo swe znosiła z heroizmem prawdziwym; odkryć nie było można na jój licu, że cierpiała. Gniewało to Hortensyę.... która śledziła wrażeń i złapać nie mogła.

Dla Ady zbliżał się moment, w którym całych swych sił miała wezwać, aby podolać położeniu, w jakim się znajdowała. Sama ona nakazała Robertowi, ażeby przybył do Ruszkowa; wiedziała,

czuła, że dnia tego przyjedzie nieochybnie. Co chwila można się go było spodziewać.

Panna Hortensya nietylko tego zuchwalstwa nie przewidywała, lecz przypuszczała, iż sekretnie zawiadomiony będzie, ażeby się nie pokazywał.... Zdania tego był i ksiądz kanonik.... Nikt zresztą z gości nie wpadł na tę myśl, że ów — ów pan.... o którego chodziło, może nadjechać....

W miarę jak godzina przyjazdu się zbliżała, gospodyni stawała się coraz niespokojniejsza, ale szafowała tę gorączkę w przyjęciu gości, tak, że natury jój nikt rozeznac nie mógł, a ukradkowe wejżenia na drzwi rzucane nie były dla nikogo zrozumiałe. Serce jój biło....

„Męztwa!” mówiła sobie.... Gdyby nie duma, zapłakałaby może....

Gorsze jeszcze było położenie nieszczęśliwego Roberta. Posłusznym jój być musiał, wiedząc co go tam czekało, co miał do zniesienia. Nie zbywało mu na odwadze — lecz może na umiejętném władaniu nią i sobą. Lękał się być śmiesznym, nie miał wprawy — nie znał tego towarzystwa, w które wejść musiał, aby je brawować.

Miłość tylko młodzieńcza, gorąca, mogła osłodzić utrapioną chwilę, jaka dlań była zgotowana w Ruszkowie....

Właśnie szambelanowój udało się jakoś złożyć pożądaną tur wiszcza.... W salce bawialnej po-

stawiono stolik — przy którym zajęła miejsce wystrojona staruszka, radca rumiany, pułkownik grzeczny... Na czwartego przewidziany był Hernasz — lecz składał się roztargnieniem, kazano więc się Karolowi... Na kanapie w tym samym salonie hrabinę chorą bawiła Ada, do czego jej pomagała Dyakowska. Hortensya z kanonikiem prowadziła rozmowę na werandzie. Panna Karolina dała się pochwyć Oblęckiemu na coś — nakształt rozmowy, w której ona pół słówkami tylko udział brała nieśmiały.

Muzyk i sekretarz wnet po obiedzie się absentowali...

Cisza panowała w salonie, a że od południa chmury gęste przechodziły po niebie i na burzę się zbierało... w pokojach też nie było bardzo jasno. Stolik wista dla tego ustawiono bliżej okna...

Ada pierwsza posłyszała i poznała kroki Roberta w przedpokoju, ale nie przerwała rozmowy z hrabiną Hernaszową...

Drzwi się otwały od niechcienia, powoli, i Robert, ubrany jak na codzień, wcale nie wykwintnie, wszedł skierowując się ku kanapie i gospodyni.

Oczy wszystkich z wyrazem przerażenia skierowały się na niego i na nią. Ada zwróciła się te-

raz dopiero z uśmiechem ku niemu, podała mu rękę i zaprezentowała go hrabinie:

— Miły i dobry mój sąsiad, pan Robert Jazyga....

Co się stało z fizyognomiami przytomnych, opisać trudno. Hrabina, której go zaprezentowano, zmieszana, pobladła, spuściła oczy, zaledwie skinęła głową. Twarz jej rumiano sina, stała się jakby marmurową, wystąpiły na niej plamy białe.

Gdy się to działo, radca siedzący przy stoliku wista zdrętwiał, — ręka, w której trzymał rozdane karty, konwulsyjnie mu drżeć zaczęła, usta się ścięły — postawa cała zeszywniała, jakby jeszcze w kancelaryi ministerjum, stawiał się przed nim obżałowany registrator kollegialny.... Szambelanową taka opanowała ciekawość, że zapomniawszy o gniewie, co prędej porwała lornetkę i zaczęła się wpatrywać.... Hrabia Hernasz asystujący grającym, zobaczywszy znaki niebezpieczne na twarzy żony, był w drodze ku niej, gdy jemu zaprezentowała Ada sąsiada. Nie zważając nań, biegł na ratunek hrabiny Eufemii.

Gdy siedzącym u kart, Ada głosem spokojnym, dźwięcznym zaprezentowała z kolei sąsiada — nie podniósł się nikt — osłupieli i siedzieli wszyscy, milczenie złowrogie panowało, tak, że wiatr w parku szumiący i grzmot oddalony słyhać było....

Na werandzie zerwała się z siedzenia Hortensya, z załamanemi rękami, i padła wnet na krzesło.... Oczyma szukała ktoby tu był na wysokości zadania stanowczej chwili. Kanonik siedział wsparty na łokciu i poglądał na chmury....

Tém przyjęciem więcej niż zimném gością swojego wcale nie zmieszana Ada, podwoiła dlań grzeczności, uśmiechnęła się, poczęła rozmowę poufałą i cichą, z której wnet przeszła w głośniejszą, i zwracając się ku kanapie i hrabinie, miejsce Robertowi wskazała przy sobie....

Milczenie panowało ciągle; troskliwy tylko mąż, hrabia Hernasz, na ucho coś szepecząc żonie, zapytywał coby mogło ulżyć jój cierpieniom?

Nikt się nie odzywał słowa. Wist został przerywany na chwilkę. Szambelanowa ze swobodą, jaką daje starość, przypatrywała się przez lornetkę—temu jegomości.

— Ładny chłopiec — nie ma co mówić! szeptała w duchu — gust ma dobry.... bardzo przy stojny....

Nieśmiało kierowały się też nań oczy panny Dyakowskiej, której usta uśmiech politowania nieco poruszał, choć się chciała utrzymać obojętną. Pierwszy pan Karol od stolika odezwał się do Roberta....

— Przepraszam pana, rzekł — jestem mu dłużny.... Tak jest — dodał widząc podziwienie. Prze-

szłym razem tu będąc, miałem stałe postanowienie go odwiedzić. Zmuszony byłem potem tak nagle wyjechać, że chyba to teraz nagrodzę.

Radca spojrział z wysokości na Karola, zżymnął się i uroczyście rzekł — przyprowadzając go do opamiętania:

— Pan zadaje — panie Karolu....

Ada z dala wzrokiem serdecznym podziękowała kuzynowi, który zamiast zadać, odezwał się do staruszki:

— Pani szambelanowa oczy sobie psuje? nie trzeba się tak młodym jasnym twarzom przypatrywać.

Radca tak na to głową pokręcił, jakby rzec chciał, że się niepotrzebnie wdał w towarzystwo — niewłaściwe.

Robert przeszedłszy przez pierwszy ogień, podtrzymywany rozmową, którą z nim prowadziła Ada — był już panem siebie. Przestały go boleć wejrzenia, jakie nań rzucano — uspokoił się. Położenie z tragicznego w przedpokoj, w salonie stawało się niemal komiczném.

Hrabina Hernaszowa nie znalazła sposobu innego wyjścia z przykrój konjunktury — niż ucieczka z pokoju — mąż ją przeprowadzał... Była to migrena z tykiem nerwowym. Ada się nie sprzeciwiała, nie wstrzymywała, poradziła tylko wyjść wprost przez werandę do parku, dopóki by nie na-

deszła burza i ulewa, która się grozić zdawała.... Hrabina zaś nadzwyczajnie obawiając się grzmotów i piorunów, gdy spostrzegła, że nadciągnąć mogą, zawahała się z wyjściem.... bo — pewnie na dworku nie było konduktora. Wybierając jednak z dwojga złego, — Jazygi lub piorunów.... oparta na ręku najczulszego z mężów wyszła.

Była to już wyraźna manifestacya — lecz Ada przedsięwziąwszy z góry nie tłómaczyć sobie objawów podobnych, i nie zważać na nie — nie okazała, ażeby ją to obeszło. Zywiéj tylko rozmawiała, śmiejąc się z Robertem.

Śmiały postępek hrabiny nappełnił radością serce panny Hortensyi.

— Otoż to mi kobieta! szepnęła kanonikowi. Karol jest niegodziwy zdrajca....

— Pan Karol, rzekł kanonik — jest po prostu przekora....

— O! ja mu powiem słowa prawdy! zamruczała stara panna; należą mu się one!!

Wist szedł bardzo źle — w żadnym robrze tyle nie było omyłek, pozabijanych renonsów, potraczonych lew, baków niedarowanych. Radca grał niegodziwie, Karol okropnie, pułkownik miał dystrakcye, miała je i szambelanowa, ale ona najwięcej łajała i hałasowała — choć i sama była winna.

Radca okrył się dumnym milczeniem, wsparł na rękę, nieco tyłem zwracając do Roberta, i dumiał. W istocie było nad czém...

Ada przyjmowała tego młodzieńca, przeciw któremu krucyatę ogłoszono, z niewypowiedzianą, nie kryjącą się sympatją i uprzejmością. Nie można było wątpić, iż przybycie jego miało znaczenie odpowiedzi familii na jój gromadne wystąpienie.

Było to wypowiedzenie wojny, otwarte, niepojęte wyzwanie.

Radca przemyślał: co teraz czynić mu należało? wist mu nie był w głowie. Czuł na swych barkach całe brzemię sytuacji, szukał środków, aby z niej wyjść bez sromu. Panna była pełnoletnią... mogła wysmienicie rozporządzać sobą; mogła im odpowiedzieć: — Co wam do tego! Dziękuję za troskliwość i dowody przywiązania — ale postąpię jak mi wskaże serce.

Miał za złe, że go tu wezwano — za późno!!

Szambelanowa w obec téj śmiałości Ady, straciła odwagę — trochę jój nawet żal było. Chłopak ładny, juźci ona wie co robi i lepiej od nas go znać musi! mówiła cicho.

Na kanoniku to wystąpienie nie uczyniło wielkiego wrażenia na pozór — czoło miał trochę zmarszczone. Panna Hortensya konwulsyjnie się rzucała... świerzbiały jój wargi, a mówić nie mo-

gła... oczyma tylko okazywała oburzenie i wściekłość.

Przez cały ten czas aż do ukończenia wista, Ada umyślnie trzymała przy sobie Roberta, szeptała z nim po cichu, śmiała się głośno, okazywała mu względy szczególne...

Tur się skończył, zmierzchno, i choć chmury się rozeszły, a burza bokiem na lasy się posunęła — bez świec grać było trudno — nikt też nie miał ochoty. Radca nie czekając rozrachunku, wyniósł się na naradę do kanonika. Szambelanowa poszła na kanapę, Ada zbliżyła się ku niej, a pan Karol wprost udał się do Roberta.

— Chodź pan ze mną na cygaro do ogrodu — rzekł — wist mnie ten zmęczył... parno jak w łaźni. Nim dadzą herbatę, przejdziemy się.

— Bardzo chętnie...

Robertowi też pilno było wyjść z téj dusznej atmosfery salonu... Karol przechodząc z nim przez werandę, popatrzył szydersko na zbitych w kupkę kanonika, radcę i Hortensyę, i posunął się ku wschodkom...

— Trafieś pan szczęśliwie na zjazd familijny — odezwał się. Bardzo przyjemne towarzystwo — ale — wolał byś Adę zastać samą? przyznaj się?

Robert zarumieniony, przeczyć nie śmiał.

— Hrabstwo Hernaszowie — są to ci państwo co z placu boju dezertowali, mówił Karol...

Pani zawsze chora, dla tego jój wiele, nawet tego męża nudnego, którego sobie wzięła, przebaczyć potrzeba. Ten wspaniały egzemplarz człowieka *Homo curialis*, wedle Linneusza, który już stoi o dwadzieścia kilka wieków od jego *Homo troglodytes*, jest radca tajny i kawaler. Wyśmienity człowiek do reprezentowania nicości w mundurze.... Pani szambelanowa, najczcigodniejsza matrona, której wiekuistego wista trzeba darować dla tego, że była niegdyś bardzo piękna i — ludzie mówią, że piękność tę łączyła z nader miłym charakterem.... Ma ten defekt tylko, że wista gra całe życie.... i pana do niego wciągnie....

Ta blada panna z lokami długimi, JMPanna Dyakowska, najlepsza z istot na ziemi, serce brylantowe — ale — nieładna! Zdaje mi się, że panu zaprezentował wszystkich — dodał Karol — a wątpię, żeby moja kuzynka, dopełniając obowiązku gospodyni, z równą szczerością to jak ja.... wykonała....

Robert słuchał pół uśmiechnięty — Karol mu woczy patrzył.... Gotówby był wywołać zwierzenie.... i miał ochotę przyjść w pomoc prześladowanej parze — lecz Jazyga był milczący.

— Mam od pana przyrzeczenie, że mnie odwiedzić raczysz — rzekł — jesteś pan myśliwy?

— Ja w potrzebie — odezwał się Karol — staję się wszystkiem co potrzeba! Chcesz mi sprawić

polowanie?? A! daj pokój! przyjadę pośmiać się i pogawędzić — to lepiej. Zrobiłem się leniwym....

— Ale mnie pan odwiedzisz? powtórzył Robert.

— Niechybnie — jeżeli znowu burza jaka i katakizm familijny, nie wygna mnie ztąd nagle. Tego się nie spodziewam....

Zapalono cygara pod drzewami; po chwilce przyłączył się do nich pułkownik. Nie był on w tak dobrym humorze jak zwykle, skłopotany nieco, zmęczony, węża kręcił niespokojnie.

— Pułkowniku — z dala zaczepił go Karol — załeliśmy ci za skórę. Przyznaj się.

— A to czém?...

— Jakże? najazd taki!

— Nader miły! kłaniając się odezwał Brandys....

— Żartuj zdrów.... I jeszcze w wista ci z szambelanową i radcą grać każą.

Pułkownik zwyciężony śmiał się.

— Facetus z pana!...

— Tém życie słodzę — odparł Karol. Wiesz pułkowniku póki byłem w dobrych interesach, chodziłem jak mruk.... Gdym się zrujnował — dostałem humoru, jakiegom nigdy nie miał. Kompensata Opatrzności. Nic bezpieczniejszego niż być gołym, obawa wszelkiej straty znika — pozycya się wyjaśnia, spokój i apetyt powracają.

Brandys śmiał się. Robert pomagał trochę, lecz oczyma rzucał ku werandzie, przez którą cień Ady

się przesuwiał. Zdawało mu się, że oczy jój go szukały.... Była ożywiona i jakby tryumfująca....

Radca, kanonik i panna Hortensya, gdy się zaczęło wyjaśniać, zeszli także z ganku w ulicę boczną ogrodu.... Opiekun zwłaszcza potrzebował na nowo pomówić o planie postępowania....

— Księżę prałacie — odezwał się — widziałeś co się stało.... to zmienia nasze położenie. Tolerancya, ignorowanie staje się nadal niepodobieństwem....

— Tak jest! tak jest! wybuchnęła Hortensya. Radca ma zupełną słuszość.... Doszło zuchwałstwo, cynizm do ostatecznego kresu.... Familia się zjechała, ona wie dobrze w jakim celu, i — prezentuje go familii....

To ma znaczyć, dobrą polszczyznę: Protestujecie przeciw niemu — a ja wam powiadam, że go wybrała.... Jestem panią mojej woli.

— Tak i ja to rozumiem, ozwał się poważny mąż, prostując się i piersi nadstawiając, jakby ciosy niemi chciał odierać — i ja.... Cóż nam czynić pozostaje...?

Wyrazy te zwrócone były do zamyślonego kanonika — ale panna Hortensya nie dała się wyprzedzić i podchwyciła:

— Co pozostaje? jedno tylko. Wystąpiła ona śmiało.... niech familia wystąpi uroczyście, cała, razem, jako jedno spójne ciało.... Niech objawi jój stanowczo swe — veto! Nie pozwalam! Tak!

nie damy ci niedorzeczności dokonać, którąbyś
później łzami oblewać musiała... Prosimy cię...
żądamy, domagamy się — rozkazujemy.

— A! zawołał radca. A!!

— Jakiem prawem? wtrącił kanonik.

— Jakto? jakiem prawem? poczęła ujadać pan-
na Hortensya — familia zastępuje rodziców — a kto
rozumu nie ma, tym kieruje.... To jój obowiązek...
to prawo!

Radca był ujęty elokwencją i zapalem kuzynki,
twarz mu się wypogadzała.

— Zbyt gorąco to pani bierzesz....

— Bo jój dobra pragnę! bo ją widzę nad prze-
paścią! Proszę panów, panna milionowa, piękna,
stara nie jest, imię starożytne, kolligacye świe-
tne.... i ma iść za takiego przybłędę.... za jakie-
goś majorowicza.... za pana Jazygę! Zostać panią
Jazygową czy Jazyżyną! A! toby było skończenie
świata! Cóż on przynosi? Nic — goły, jedna wio-
szczyzna, zadłużona pewnie! bez wychowania pro-
stak.... przystojny parobczak! nic więcej.

— Nie bierz pani tak gorąco! powtórzył uroczy-
ście radca.

— Państwo to bierzecie na zimno — i to jest
nieszczęście! Należy brać upokorzenie rodziny,
zmarnowanie się kobiety — gorąco.... Zapobiedz
wszelkimi środkami.

W czasie tych peror konwulsyjnych, radca i kanonik spoglądali na siebie, jakby się pozbyć chcieli panny Hortensyi.

Nikt jój nie odpowiedział. Radca obrócił się do prałata :

— Cóż ksiądz hrabia na to?

— Panie generale — odparł kanonik — w istocie położenie krytyczne. Familia zgromadzona tu musi wystąpić zbiorowo.... jutro czy kiedy się to ułoży.... uroczyste, bez świadków — otwarcie.... Ale trzeba to uczynić spokojnie, poważnie, łagodnie. Prosić, demonstrować, reflektować.... więcej nic....

— I ja jestem tego zdania — rzekł radca — zupełnie! To była myśl moja....

— Hortensya chciała coś wtrącić, radca się skłonił.

— Przepraszam, daj mi pani skończyć. To była myśl moja. Lecz, księżę kanoniku, hrabio — dodał radca — bądź ty naszym tłumaczem, przemów w imieniu naszym.... my cię wybieramy.... Jako duchowny, jako dyrektor sumienia masz prawo.... a nie powiesz ani za nadto, ani za mało, gdy każdy z nas.... może.... unieść się.... lub uledez.... albo....

Hortensya ramionami ruszyła.

— Nie — panie generale — odparł ksiądz, dziękuję za zaufanie — ale się tego podjąć nie mogę.

— Dla czego?

— Dla tego, że raz już wystąpiłem z uwagami, które nie były przyjęte.... Jako duchowny dotrwam na stanowisku do końca, niezrażony — ale muszę stać osobno.... W imieniu rodziny, komuż właściwiej mówić, niż powadze waszój.... wam, panie generale.

Hortensya zrażona milczała długo — chociaż nie-pohamowaną miała chęć wtrącenia się.

— Proszę mi pozwolić — słówko....

— Proszę.... odparł radca.

— Niechże to wystąpienie przybierze istotnie uroczyste formy — rzekła. To podziiała na nią. Tak — wszyscy razem, ile nas jest, przyjdziemy do niej, z prośbą i refleksją.... Jabym była za tém, ażebyśmy się ubrały czarno....

Kanonik się rzucił.

— Po cóż te komedye?

— Ażeby wywołać wrażenie....

Zmilszał radca....

— Kiedyż to ma się odbyć? pytała Hortensya.

— Nie wiem — o to się trzeba naradzić — przemówił opiekun, — nie wiem.... wybór chwili, nie jest rzeczą obojętną. — Stali tak rozmawiając i radząc, gdy się niepostrzeżony zbliżył Karol i słu-chał. Porzucił on był Roberta, oddawszy go pułkownikowi, nie mogąc się oprzeć chętności podpatrzenia, nad czém się tak gorąco naradzano. Domyślał się, że tu idzie zapewne o wystąpienie zbiorowe....

Z ostatnich wyrazów, które doszły uszu jego, przekonał się, iż go nie myliły domysły, i przystąpił z przybraną powagą. Zobaczywszy go panna Hortensya, nie mogła się wstrzymać od wybuchu.

— Ja pana nie rozumiem!— zawołała zwracając się ku niemu... Cóż za czułość jakaś dla pana Roberta? Zkąd nad nim ta troskliwa opieka? Nawczas kiedy cała familia chce mu okazać pogardę i wstręt, jako człowiekowi co spekuluje na majątek — pan ...

— Właśnie, usłużyłem familii — rzekł na pół żartobliwie Karol, — odciągnąłem go, dając jój czas naradzić się jak ma począć sobie... Widziałem zdumienie i niepewność, jakie państwa ogarnęły!

Panna nie miała mu czasu odpowiedzieć, gdy Karol ciągnął dalej:

— Wie pani — idea zbiorowego wystąpienia jest genialną!! Ksiądz kanonik na czele *in pontificalibus*...

Ksiądz rzucił nań piorunujące wejrzenie. Radca się zmarszczył.

— Myśl jest dobra, i ja przy niój obstaję — dodał radca chłodno — pan się do niój przyłączysz czy nie, to zależeć będzie od jego woli, ale my — postąpimy jak nam dyktuje sumienie.

— Ja się bynajmniej nie myślę sprzeciwić — rzekł Karol zawsze z udaném poszanowaniem a

zartobliwie — znam respekt dla starszych.... Co do mnie, przybyłem tu z szambelanową, dla zastąpienia dziadka w wiście, reszta mnie się nie tycze....

— Ale mógłbyś się pan powstrzymać od okazywania szczególnego affektu temu jegomości — dodała Hortensya.

— Przyznaję się, że radbym mu los jego osłodzić.... odparł Karol. Gdyby nie uprzejmość Ady — położenie jego byłoby nieznośne.

Ani radca, ani kanonik nie mogli dłużej się naradzać przy tym szydercy, który ich podsłuchał, i mógł dla splątania figla, zdradzić. Karol postrzegłszy to, zapalił drugie cygaro i z wolna się oddalił.

— Ja idę do dworku do Hernaszów, odezwał się radca, ażeby ich zawiadomić. Ksiądz kanonik pomów z szambelanową. Zdaje mi się, że najwłaściwiejby było jutro po śniadaniu, gdy się obcy oddała — wystąpić jakeśmy uradzili.

— Niech ksiądz kanonik idzie ze mną, dodała żywo Hortensya — ja ułatwię mu rozmowę z szambelanową. Chodźmy....

Radca lekko się skłoniwszy z tą uroczystą miną wyższego urzędnika, która go nigdy nie opuszczała, wyprostowany, sztywny — z wolna się skierował ku dworkowi.

W przedpokoju drzemał służący na straży, z salonu dochodziły przerywane, jęklive głosy, w których można było poznać, żałobliwe skargi hrabiny.... nad dolegliwościami, które jój nie dawały pokoju.

Radca uważał za uwłaczające godności swój, by się meldować; zakaszlał i wszedł. Hrabina Hernaszowa leżała na kanapie, i ujrzawszy go, z wolna się podniosła. Mąż jój stał przed nią w pewnej odległości, służąc za *receptaculum* skarg i ubolewań. To był jego obowiązek. Gdy radca się ukazał, spójrzał najprzód na żonę, aby wiedzieć jak go przyjąć, potem dopiero się posunął ku niemu z wyszukany gestem ręki ukazując mu krzesło przy kanapie.

— Nieskończenie przepraszam za natrętność moją — począł radca — ale przychodzę w ważnej okoliczności, nie cierpiącej zwłoki.

Westchnął mocno.

— Widzieliście państwo do czego to doszło. Nie-szczęśliwa moja pupilka, wiedząc i domyślając się po co my tu jesteśmy, umyślnie nam, brawując, prezentuje tego jegomości....

— Ja — przerwała ręką czoło cisnąc pani HERNASZOWA — ledwie mogłam stłumić wyraz oburzenia. Widzieliście państwo.... uczyniłam demonstracyę — niech się gniewa, nie gniewa — okazałam, że nam się takich paniczów nie prezentuje.

— Wszyscyśmy admirowali takt i znalezienie się hrabiny — odparł radca — to pierwszy krok! Logicznie trzeba postępować, idziemy dalej za przykładem szanownej pani....

Uradziliśmy jutro....

Tu zaciekawiony mocno Hernasz po cichu się na palcach przybliżać zaczął nasłuchując, hrabina uroczyście patrzyła na podłogę.

— Uradziliśmy jutro wystąpić wszyscy.... Po śniadaniu, gdy obcy odejdą — uczynimy otwarte przedstawienie Adzie, jak się kompromituje.... a w ostatku w imieniu rodziny zaprotestujemy przeciw projektowanemu małżeństwu.

— Czyż już wiadomo, że jest pewny projekt małżeństwa?— spytała hrabina.

— Wynika to samo z siebie, gdy nam go prezentuje.... Gdyby to była jakaś fantazya.... schowanoby go raczej.

— Jest racya! słowo honoru!— przerwał hrabia, zażywając prędko tabakę, której żona nie lubiła. Korzystał zawsze z gości, z silnego jój zajęcia innym przedmiotem, by sięgnąć do zakazanej mu tabakierki.

Epizod ten przerwał na chwilę naradę, bo hrabina właśnie oczy podniosła i chwyciła męża prawie na gorącym uczynku.... z tabakierką w ręku.... Pogroziła mu. Hrabia się oburzył.

— Nie zażywałem nawet! Tylko tak! tylko tak!! Wzięłem przez dystrakcyę w rękę.

— Proszę!! bardzo proszę — odezwała się hrabina.

— Kiedy mówię, żem nie zażył! — odezwał się mąż....

— Przepraszam, ciągnęła hrabina zwracając się do radcy — mój mąż mnie nie słucha.... Cóż tedy?

— Jutro więc po śniadaniu wystąpimy uroczyście.... Łagodnie ma się rozumieć — ale stanowczo.... Nie wiem kto zabierze głos.... państwo poprzecie.

— A! a! pan radca! głos! pan radca! — pośpieszył Hernasz — to się rozumie.

— Tak — dodała hrabina....

— Z obowiązku opiekuna będę musiał zapewne przemówić.... potwierdził wydymając pierś pan radca....

— Poprzemy.... odezwała się hrabina.

— A! poprzemy! powtórzył za nią hrabia....

Na tém się skończyło.

— Uważał pan radca jak ordynaryjnie wygląda! westchnęła hrabina.

— Extra-ordynaryjnie — rzekł hrabia.

— Minę ma leśniczego lub prowentowego pisarza — odezwał się radca. Że mógł się podobać garderobianie panny Ady, to pojmuję; ale po niej wytworniejszego się spodziewałem gustu.... Pamięta-

my, że się o nią starał książę Włodzimierz.... hrabia Teodozy.... odmówiła im.... nawet księciu Heliodorowi....

— Niepojęta rzecz!

Unisono, chórem, wyrwało się westchnienie z piersi wszystkich.

W tym samym czasie panna Hortensya torowała drogę kanonikowi do rozmowy z szambelanową. Szczęśliwie się to udało, i wsparta na rękę panny wyszła staruszka na ganek, gdzie na nią prałat oczekiwał. Prawdą a Bogiem w sercu jój budziło się politowanie dla Ady, sympatya dla Roberta. Szambelanowa zawsze dla czułych serc bywała po-
błażająca....

Prałat się zbliżył do niój, i razem odeszli nieco dalej w koniec werandy.

— Macie hrabio coś do rozkazania mi, jak mówi Hortensya?— spytała staruszka.

— Radca mi polecił, bo ja nie mogę i nie życzę sobie mieszać się do spraw familijnych. Powszechne zdumienie i oburzenie wywołało przybycie, przyjęcie, zaprezentowanie się tego pana — pani dobrodziejka wie.

— Tak, tak, chłopak bardzo przystojny — szepnęła staruszka....

— Familia postanowiła wystąpić cała, aby uczynić refleksye.... Radca poszedł z tém do Her-

naszów — ja jestem wysłany do pani szambelanowej....

— A kiedyż to? — kiedy? niespokojnie dopytywała stara.

— Zapewne jutro — rzekł prałat; panna Hortensya o tém panią zawiadomi. Pani naturalnie nie odmówi.... poparcia.

Ze spuszczonei oczyma słuchała staruszka....

— Naturalnie — muszę.... rzekła cicho.... a czy to pomoże?

— Prawdopodobnie — odparł kanonik. Głos rodziny ma swe znaczenie.... Może to być chwilo-we.... upodobanie, zapomnienie się....

— Tak! tak.... mówiła cicho staruszka.... Ja pójdę gdzie mi każecie.... prosić ją będę.... Szkoda by jój było.... takie piękne imię, majątek.... mogłaby się wydać bardzo świetnie!.... kiedy zmieniła postanowienie i za mąż iść myśli...

— Lecz po cóż ma tak piękne, święte zmieniać postanowienie! — mówił kanonik. Był czas, gdy zarzana prawdziwą gorliwością religijną, miała zamiar cały majątek, lub część jego znaczniejszą, obrócić na wiekopomną fundacyę.... To był cel godny takiój jak ona osoby.... Chciała się mu poświęcić! Niech państwo przypomną jój — jakiój poświęty dusznej doznawała, gdy była myślą tą ożywiona....

Szambelanowa, której огоłocenie familii nie zdawało się najpożądańszym celem, nie na to nie odpowiedziała. Ks. hrabia de Bello, dalej ciągnął z zapalem:

— Jest-to tak piękna, czysta, zdolna do pojęcia i uczucia najszlachetniejszych idei dusza — iż nie wątpię, że łatwoby znowu weszła na dawną drogę, gdyby do niej silnie przemówić umiano....

— Ale któż lepiej nad księdza kanonika to potrafi?

Ks. de Bello ręce szeroko rozpostarł.

— Jam swoje spełnił, kolój na państwa! Głos krwi, pani dobrodziejko....

Zbyt chłodném znajdowała panna Hortensya znalezienie się szambelanowój.

— Pani też przemówi — dodała — ona panią szanuje i kocha.... trzeba koniecznie.

— Dobrze, dobrze, ale niech radca lub Hernaszowa zaczynają — ja nie mogę! Ale poprę — poprę....

— I niech pani będzie łaskawa — śpiesznie szepnęła stara panna — zreflektować też pana Karola.... Postępuje sobie jakby na przekorę, przyjaźni się z tym jegomością, żartów sobie pozwala — słowem, znajduje się najniewłaściwiój.

— A gdzież on jest? — zapytała staruszka, rada wyrwać się z objęć Hortensyi i księdza.

Karol właśnie przechodził przez werandę, powołano go przed sąd szambelanowej. Ta, że długo stać nie mogła siadła na ławeczce, kazała mu usiąść przy sobie.... a kanonik odszedł z nieodstępną towarzyszką.

— Co ty tam dokazujesz? poczęła się rozmowa.

— Ja? naprzykład?

— Skarżą się na ciebie, że wszystkim szyki mieszasz. Cóż za nagła przyjaźń dla tego jegomości?? he?

Karol wiedział jak z babunią mówić, pochylił się jej do ucha.

— Babciu najukochańsza — co bo ty słuchasz tej beczułki octu.... Hortensyi! Sama widziałaś — ładny chłopiec? no — i do rzeczy.... Co nam do tego, żebyśmy my dla wspomnienia pradziadków mieli pra-prawnuczce szczęście zatruwać??

Szambelanowa poczęła się uśmiechać.

— Przystojny chłopiec, rzekła cicho — nie ma słowa — ale kto go wie nawet czy szlachcic...

— Karmazyn! zawołał wesoło Karol, szkarłat najczystszy! Jazyga! wie babcia co to znaczy?... Jazygowie był to naród bitny, tak bitny, że go w pień wycięto.... a książęta ich par excellen-ce zwali się Jazygami. Są to potomkowie książąt udzielnych.

— Pleciesz.

— Słowo daję! rzekł Karol: chłopak zdrów, młody, ładny, do rzeczy, książęcego rodu... nie ze wszystkiém ubogi — czegoż my chcemy od niej i od niego?

— Ale — oni to inaczej widzą... rzekła stara...

— Niechże oni, babciu kochana, widzą jak chcą i robią co się im podoba — a babci nie przystało się w to mieszać. Zostańmy neutralnymi... Babcia — miała zawsze serce złote, dla młodych i czułych istot pełne miłosierdzia... sama podobno nie była bez litości dla tych co się w nią kochali...

Staruszka niby gniewna, chustką go uderzyła po twarzy.

— Będziesz ty mi plótl... paskudniku!

Śmiejąc się Karol ją pocałował w rękę.

— Babciu, dodał schylając się do jej ucha: uczyniłaś dla familii ofiarę, żeś tu przyjechała... staniesz w szeregach zapaśników, ale bić się! babciu, tobie... gdy przeciwna strona tylko sympatye obudzać powinna... bić się przeciw zakochanym! Czy się godzi?...

— No, już daj pokój — dosyć — dosyć — a nie wygaduj się z tém, że mnie nawracałeś... Oni na ciebie i tak niedobrze patrzą. Hortensya...

— Babciu... Hortensya — to wcielona pokrzywa... czyż masz iść za nią, ty — co masz serce anielskie? mnie... com zawsze swobodę w mi-

łości wyznawał i raz kochałem się w kawiarence tak....

— No — nie pleć!

Szambelanowa śmiała się, była rozbrojona, Karol umiał ją zawsze ubawić, pochlebić i przekonać.... Bądź co bądź, był pewien, że ostro przeciwko Adzie występować nie będzie.

Szło mu teraz tylko o to — pocziwcowi, ażeby gospodynię o uknutym spisku mógł uwiadomić. Oddawszy szambelanową zbliżającej się pannie Dyakowskiej, której szepnął słów kilka — a która nań spojrziała z politowaniem i współczuciem — poszedł na podsłuchy.

Radca właśnie wracał z Hernaszami na herbatę, gdy ich na ścieżce spotkał Karol. Minę przybrał seryo.

— Mówiłem z panią szambelanową — odezwał się — kazała mi się zapytać, na kiedy oznaczone wystąpienie nasze?

Radca zapomniawszy, że Karol na zaufanie nie zasługiwał, schylił mu się do ucha i szepnął:

— Jutro — po śniadaniu!

O tém tylko potrzebował wiedzieć pan Karol — skłonił się, i idąc obok Hernasza, który osłabiej żonie rękę podawał, postępował z wolna i bardzo poważnie razem z nimi ku pałacowi.

Ze zgrozą ujrzano naówczas, że Ada znowu rozmawiała z bannitą, że raz mu rękę podała tak,

Iż wszyscy to widzieli, śmiała się — słowem postępowwała z nim, jakby już było po przyrzeczeniu i po zaręczynach.

Radca ujrzawszy to, miał wstręt iść dalej, aby nie spotkać — tego jegomości. Hernaszowie wstrzymali się też za jego przykładem, udając, że się kwiatkom na grządkach przyglądają — a żadne z nich nie znało z roślin więcej pono — nad kapustę, pietruszkę... sałatę i tytuń może. Dopóki Robert stał z Adą, nie ruszył się nikt naprzód, aby nie sankcyonować przytomnością swą — téj, jak mówiła Hortensya — impudencyi.

Wreszcie pułkownik wziął Roberta. Ada sama wyszła naprzeciw hrabiowstwu, i — wszystko zostało do czasu — w zawieszeniu....

Karol czatował na kuzynkę.

— Prosiłbym o posłuchanie — rzekł do niéj, w chwili gdy weszli do salonu, aby przejść na herbatę.

— Pilne? spytała Ada wesoło.

— Dosyć.

— Odstąpimy parę kroków. Rozmowy się toczą żywo i głośno.... Mów pan....

— Bez przedmowy czy z introdukcyą...?

— Nie wiem czy na nią czas mamy.

— Niewiele — rzekł Karol — motywowanie więc odkładam na potém.... Oznajmuję tylko fakt. Ju-

tro familia ma wystąpić zbiorowo, uroczyście, z radcą na czele.... aby....

— Rozumiem — przerwała nieco zarumieniona gospodyni.

— Ja — będę towarzyszył wojsku sprzymierzonemu jak ciura, bić się nie będę... Bądź więc kuzynka zbrojna, gotowa do odparcia napaści!!

Spojrzawszy na Karola, nieznacznie mu rękę podała Ada.

— Dziękuję, rzekła chłodno — bądź spokojny — moja zbroja czyste sumienie, wola niezłomna.... Zobaczysz mnie jutro. Trwogi nie mam najmniejszej. Jeszcze raz dziękuję. A teraz — na herbatę.

Spojrzała w przelocie na Roberta, wzrokiem mu dodając odwagi — i poszła rozsadzać swych gości.... Karolowi Jazyga dostał się za sąsiada, — wesolo zaczęli rozmowę. Naprzeciw nich siedziała piękna Sensytywa, a kuzynek lubił się w nią wpatrywać. Dalej — nieco chmurny — miejsce zajmował Oblęcki.

— A cóż — Tatarowie? spytał Robert.

— Jużem ich pokonał — westchnął malarz.... Karton spalony — a słowo panu daję, były tam niegorsze rzeczy.... Cóż z tego! Jabym obrazu tego nie mógł tu wykonać. Wzorów mi brakło.... imaginacya na zastąpienie ich nie starczy...

Ręką machnął: — Bogom podziemnym na ofiarę! rzekł z rezygnacją.

U stołu nastrój panował uroczysty — jedna Ada i Karol okazywali twarze weselsze.... Mówiono tak, aby się obcy i niepowołani nie mogli wmieścić do rozmowy.... Radca opowiadał o stolicach i dyplomatach. Szambelanowa ogadywała dawno umarłych — panna Hortensya egzaminowała kanonika z życiorysu Fenelona, pomówionego o zbytnią tolerancję, przeciw czemu świadczył duchowny, powołując się na to, iż był z innymi za odwołaniem edyktu nantejskiego....

Karol rzucał słowami jak raketami, które pekały, strasząc ciągle ludzi....

Nadszedł dzień ten uroczysty. Po wczorajszych groźbach burzy, niebo się wypogodziło, wietrzyk powiewał chłodzący, prześlicznie zwiastował się poranek letni. Pogoda na niebiosach zawsze się odbija w duszy człowieka, raźniej się żyje — lżej oddycha.... humor jak niebo się wyjaśnia. Pomimo tak szczęśliwych warunków atmosferycznych, całe towarzystwo w Ruszkowie zebrane, dziwnie tego dnia twarze miało zafrasowane, wejrzenia niespokojne. Ciężyc się zdawało na wszystkich jakby wspomnienie wczorajszej niedoszłej burzy.

Szambelanowa ubierając się, odezwała do swój Dyakosi:

— Dałabym... kilka czerwonych złotych, żeby już ten dzień mieć za sobą... Co to będzie! co to będzie!

Radca, choć człowiek wielkiego męstwa, co nie raz z raportem stawał przed ministrami, co czoło stawiał burzy — czuł się podrażnionym i niemal żalował, że... przyszło do téj ostateczności. Państwo Hernaszowie nie domagali. Ona czuła, że będzie skwar, który jój zawsze sprawiał migrenę, on przez sympatyę bolał i ramionami ruszał... Sięgał czasem do kieszeni po tabakierkę i nie mógł jój dobyć ani razu... To go wprawiało w zły humor.

Panna Hortensya nie spała prawie noc całą, wstała do dnia, nie mogła usiedzieć na miejscu, co chwila patrzyła na kameryzowany zegarek, i nie pojmowała, dla czego czas się włókł tak nieznośnie. Nie miała nawet z kim rozmową go zabić — bo wszyscy byli zajęci.

Pan Karol, często zaniedbujący się w ubraniu, na ten dzień wystąpił świetnie. Krawat włożył jasny, tużurek nowy... Śmiała mu się twarz na wspomnienie dramatu, do którego i on choć jako kompars miał należeć. Ciekawy był niesłychanie znalezienia się Ady... którą spotkał przechodzącą i tak, na pozór przynajmniej, spokojną i obojętną, jakby nie wiedziała o burzy gromadzącej się nad jój głową...

Na wszystkich, nawet na najwytrawniejszym, nawykłym do panowania nad sobą kanoniku — zapowiedziana demonstracya familijna czyniła wrażenie. Każdy się pytał w duchu — jak się to skończy? co z tego będzie?

Pessymiści mówili sobie: A nuż oświadczy wbrew wszystkim, że bierze za męża nieszczęśliwego młodzieńca — i to co było niepewnością, stanie się nieodwołalnym faktem??

Panna Hortensya, która całego tego piwa nawarzyła, uspakajała się uczuciem obowiązku i tém, że przecież głos krwi, perswazye i prośby rodziny poskutkować, opamiętać muszą....

Zadzwoniono na mszę do kaplicy, i nawet hrabiostwo Hernaszowie dnia tego znaleźli się u ołtarza.... Radca zajął zwykle swe stanowisko naprzeciw cymboryum, w téj postawie jaką wiecie....

Po mszy następowało wkrótce śniadanie, a po niém — jakby się tylko obcy oddalili, miała wystąpić familia cała....

— Jak najłagodniej — ale stanowczo — mówił radca.... Zachować miarę potrafię.

Wcześniej był sobie ułożył wstęp do przemówienia swego, i główne punkta jego. A mimo to dosyć był niespokojny. Z panną Adą, wiedział to dobrze, w najprostszej rozmowie trzeba się było mieć na baczności, — takie się trafiały w niej niespodzianki — cóż dopiero w tak ważnej sprawie!

Hernasz z rana mówił żonie:

— Panu Bogu dziękuję — że tu zesłał pana radcę — nużby na mnie był spadł ciężar.... przemawiania.... Toby dopiero było!!

Hrabina głową pokręciła tylko.

— Co mówisz duszko?

— Nic nie mówię. Ty nie do tego....

— Słowo daję nie do tego.... o! pewnie!

Podano śniadanie, zeszli się wszyscy domownicy, zjawił się wesoly marszałkujący pułkownik. Kucharz wystąpił co się zowie, a nikt nie mógł jeść, oprócz szambelanowej, która skosztowała pasztetu z kuropatw, i już się od niego, mimo uwag Dyakowskiej, oderwać nie mogła. Radca wypił parę kieliszków wina — czuł potrzebę — dodania sobie — tonu.... Ada zapraszała, gospodarowała, humor jej nie dawał poznać, że była do katastrofy przygotowana.

Radca spoglądał niekiedy na nią i myślał:

— Gdyby wiedziała co ją czeka!!

Nie wiedzieć jak i dla czego, nadzwyczaj się przeciągnęło śniadanie, zdawało się jakby umyślnie każdy się starał chwilę stanowczą oddalić. W ostatku ruszyła się gospodyni — nie było sposobu, podała rękę radcy, Karol poprowadził przodem szambelanową, wszyscy się potoczyli do bawialni.... Jak zwykle weszli tu i domowi, pułkownik, muzyk, malarz, nawet sekretarz. Odraczało to nieco mo-

ment, którego się obawiali wszyscy... i radzi byli, że... mogli oddychać swobodnie. Szambelanowa w duchu prosiła Boga, aby zesłał czy jakiego gościa, czy przeszkodę...

Nie pomogło to... Wymknął się najpierwszy kanonik, który wymówił się od współdziałania... wyszedł pułkownik... Musiatowski i muzyk wysunęli się niepostrzeżeni. Oblęcki siedział najdłużej wpatrzony w pannę Karolinę, ale gdy z nią Karol rozpoczął rozmowę — z rozpaczy — uciekł...

Radca, który się gorączkowo przechadzał po pokoju — pierwszy zobaczył, że już obcego nie było nikogo, że — pozostali sami... Oczyma począł ścigać wszystkich, aby nieznacznie ustawili się jakoś w sposób odpowiadający uroczystości tego kroku...

Na kanapie siedziały hrabina i szambelanowa, Hortensya nie odstępowała ich... Chociaż licząca się do rodziny, Karolina, której coś szepnęła Dyakowska, jak mogła najprędzej opuściła salon, idąc się zamknąć w swoim pokoju...

Radca zmierzył raz i drugi oczyma wszystkich, i w chwili gdy Ada opowiadała coś o podróży swój do Włoch, z żywością wielką — przystąpił do niej, ujmując ją za rękę...

Nie było chwili czasu do stracenia — nużby kto nadszedł!

— Kochana pupilka moja pozwoli — odezwał się kłaniając....

Ada z uśmiechem jakby nic nie rozumiejąc, dygnęła mu....

— Co kochany opiekun każe?

— Pozwolisz — odchrząknął radca — że zabiorę tu głos w imieniu naszej całej rodziny....

Tu ręką, ruchem nader pięknym, zatoczył, ukazał rozpiętych po salonie.

— A! a! coś tak strasznie uroczystego! rozśmiała się gosposia. Cóż tedy? co? Jestem na rozkazy!

Ton, jakim to wymówiła, tak nieprzystający do tego, jaki chciał przybrać radca, zmieszał go i zamknął mu usta....

— Proszę cię, droga pupilko — rzecz jest seryo... racz mnie posłuchać! dodał trochę się jękając i płacząc.

— Aż tak bardzo seryo! o mój Boże! cóż to być może? ciągle wesoło ciągnęła.... Seryo?

Zmieszany orator znowu się zaciął....

Karol stojący w kącie, widząc jak mu pot kroplisty występuje na czoło, ledwie się mógł wstrzymać od śmiechu. Inni świadkowie podzielali zakłopotanie radcy, patrzali po sobie — nie wiedzieli wistocie teraz już nie jak się to skończy, ale jak się to zacznie. Radca zbił się widocznie z tonu, z drogi, trzymał rękę Ady, patrzył na jej uśmiech, cze-

kał ażby się poważniejszą stała — i — sam nie wiedział co począć.

— Pozwolisz mi — rzekł wyczekawszy znowu, że zabiorę tu głos w imieniu naszej całej rodziny...

Ada, która już raz słyszała to słowo w słowo, uśmiechnęła się mile....

— Mówcie proszę, rzekła — wiem, że od mojej kochanej i miłej rodziny nic niemiłego usłyszeć nie mogę....

Spojrzeni po sobie. Radca rękę jęj puścił z lekka....

— Kochana Ado, rzekł siłąc się, aby wyjść z przykrego położenia — nawykliśmy w tobie widzieć wzór i ideał niewiasty....

— O! kochany radco — przerwała — prawdziwie, że na to nie zasłużyłam.... abyście mnie upokarzali tak pochlebnyimi słowy, których przyjąć nie mogę, chyba za dowód pobłażliwości waszjej.

— Nawykliśmy — chciał ciągnąć radca — wielbić cię i czeić.... prawdziwie.... (tu się splątał i powtórzył) — czeić.... prawdziwie....

Tu musiał uczynić pauzę.... głosu mu nie stawało, w ustach zaschło. Ada się jeszcze uśmiechała wesoło....

— Rodzina troskliwa — rzekł po długim przestanku mówca, już nie patrząc na Adę, aby nie mieć dystrakcyi, ale na ścianę — rodzina troskliwa — i kochająca.... i kochająca (powtórzył) — zatrwo-

żona została wieścią — która... przyznajemy ci się, zgromadziła nas tu wkoło ciebie...

— A! a! przerwała Ada — cóżby to takiego być mogło... Doprawdy? zaostrzacie ciekawość moją.

— Pozwól mi być otwartym, rzekł, pot z czoła ocierając, radca.

— I obowiązek i prawo do tego macie — zawołała Ada patrząc mu w oczy — bądź radca jak najszczerszym. O cóż to idzie?...

— Wiedzieliśmy — począł na nowo opiekun — o stałym postanowieniu twem, iż za mąż wychodzić nie życzyłaś sobie. Poszanowaliśmy w tém wolę twoją, zamilowanie niezależności... uczucie godności...

— I spodziewam się, wtrąciła Ada, że mnie od tego stałego postanowienia nie zechcecie odwozić??

Radca zamilkł — już nie wiedział co miał dalej i jak wyluszczać... Odchrząknął. Ada stała w oczekiwaniu, mierząc go oczyma, — a patrzący na nich nie poznałby w radcy groźnego opiekuna, ale upokorzonego delikwenta, którego surowy sędzia trzymał wzrokiem na uwięzi...

— Doszły nas wieści — kochana Ado... smutne...

— Jakież? zapytała spokojnie.

— Że ty sama zmieniasz to postanowienie — i to na korzyść człowieka — chcę mówić osoby czyli — kogoś, który ze wszech miar nie jest ciebie godzien...

Nastąpiło milczenie, wśród którego zamiast odpowiedzi, rozległ się uśmiech Ady, taki swobodny, tak jasny, niewymuszony, wesoly... że radca od niego struchlał... Hortensya blizka była omdlenia....

— Ale któż wam mógł spleść niedorzeczność taką! radco kochany! — zawołała Ada — a wy, jakżeście mogli czemu podobnemu uwierzyć? Za kogoż mnie wydają? Za pułkownika Brandysa, za Oblęckiego, którego bardzo kocham, za Musiatowskiego, czy może za młodego Jazygę, który tu tak często bywa u mnie, czy za Rubaszka, nad którego grą czasem się rozplywam!!

Mój radco — dodała biorąc go za rękę — i wy dobrzy, kochani krewni moi, coście mi dali dowód takiej troskliwości — uspokojcie się, proszę... nie idę jeszcze za mąż... nie myślę wychodzić — ale, jak byłam swobodną panią moich czynności, chcę nią pozostać.

Zbliżyła się do zmieszanego radcy, całując go w ramię.

— Dzieciństwo! rzekła — nie mówmy o tém...

Opiekun stał jeszcze jakby chciał ciągnąć dalej, lecz — jakże jój miał zadać kłamstwo, po tak wyraźnym zaprzeczeniu?...

Panna Hortensya, którą niedołężność radcy do ostatniej doprowadziła niecierpliwości, zdecydowana już na opuszczenie Ruskowa, nie mogła się od

wystąpienia powstrzymać. Głos jednak osłodziła, zniżyła i poczęła, cicho....

— *Mais, chère cousine* — chociaż to może być potwarz — wyznaj, że częstokroć mogłaś dać powód do niéj.

— Ale bardzo być może — odparła Ada śmiejąc się ciągle — ja tak mało ważę potwarz, iż dla uniknięcia jéj, żadnej méj fantazyi nie poświęcę! Masz słuszość, kochana Hortensyo! Chodziłam na spacer, mogłam się z kimś spotkać.... długo samotne wiodłam rozmowy.... To prawda. Wszystkie garderobiane nasze, wyjąwszy moją poczciwą Kasię — wyciągają z tego najokropniejsze wnioski, bo czują biedaczki.... że dla nich byłoby w tém niebezpieczeństwo.... co dla nas.... jest obojętném.

— To przyjmowanie pana Roberta.... szepnęła Hortensya.

— Myślisz, że to o niego chodzi? rozśmiała się Ada.... Być może — ja go bardzo lubię — ale mogli mnie równie posądzić o Oblęckiego.... bo i do niego do oficyny, sama jedna wieczorami....

Zaczęła się śmiać klaszcząc w ręce.

Hortensya spuściła głowę. Radca zupełnie zwątpił, ażeby dalej mógł już przeciągnąć akt oskarżenia.

— Mój opiekunie kochany, podbiegając do niego i ręce mu kładnąc na ramionach, zawołała Ada:— niepotrzebnie was strwożono i rodzinę.... Nie ma

nie, bądźcie spokojni, prócz fantazyi starój panny, która z tego co o niej mówią, nic a nic sobie nie robi....

Ale — kochany opiekunie.... Zbliżam się do trzydziestki! Straszny wiek krytyczny.... Jeżeli, po tylu innych, przyjdzie mi fantazyja wydać się za mąż — przypuśmę naprzykład za wójta z Ruszkowa, albo za parobczaka ze Zgorzewa.... lub za chłopaka z Morawiec — czyż myślicie, że familia cała, ty mój opiekunie kochany, wy moi najdrożsi — potraficie mnie wstrzymać gdy postanowię?

Wesoło pokręciła główką.

— O! nigdy w świecie!

— Przecież mezaliansem nie uczyniłabyś rodzinie wstydu — rzekł radca.... Wiesz coś winna przodkom swoim....

— Mój radco, a rozpatrywałeś się w naszej genealogii? Pewno nie! odezwała się Ada. Pradziadek żonaty był z panną Natanowiczówną, wnuczką Natana, arendarza w Błotkowie. Stryj się ożenił z garderobianą swój pierwszej żony po jej śmierci, a była to poczciwa dziewczyna ze wsi wzięta. Czekaj — dziadek stryjeczny wziął kamienicę w Brześciu po Bałabanowiczównie mieszcance, córce kupca....

Oniemieli wszyscy.... radca był oburzony.

— Uspokój się, kochany opiekunie — dodała — ja też jestem arystokratka okrutna.... piękną

krwę wysoko szacuję, piękną duszę i wychowanie.... Widzicie więc, że niebezpieczeństwa nie ma.... Gdybym za mąż wyjść miała, daję wam słowo, nie będziecie się wstydzili mojego małżonka.... Tymczasem mowy o tém nie ma. Ulubieńcem moim kunszt — kochanką moją swoboda!

Podniosła rękę w górę i pobięła rzucić się na szyję szambelanowej, która w uniesieniu ręce ku niej wyciągała.... Zaczęła ją całować śmiejąc się.... żartując i wypieczone tylko rumieńce świadczyły o wzruszeniu. Reszta towarzystwa zaniebiała, pomieszana, strwożona, kwaśna — nie wiedziała co zrobić z sobą. Ada nie dała nikomu, nawet Hortensyi, uczuć urazy, ani złego humoru...

— Skończmyż tę niemiłą rozmowę, rzekła.... i chodźmy na werandę — świeżego użyć powietrza.

Mówiąc to podała rękę radcy i spytała go:

— Nie prawdaż, że park mój niezmiernie z każdym rokiem zyskuje? Co to za drzewa! co za urcze kształty tych gałęzi! Proszę, patrzcie jak się tam czarny młody buk na tle zielonych akacyj wydaje! Co za rysunek téj wierzby babilońskiej, ale jaka z nią bieda w ziemi! Dęby piramidalne powoli mi bardzo rosną.... a pragnęłam ich dla kontrastu z temi okrągło pozataczanemi krzewami.... Na przyszły rok przetnę tu cokolwiek, — i wzrok będzie się mógł wysliznąć daleko.... przez siny otwór, który w te massy gęste wpuści powietrze!

Mówiąc z wielkim zapalem, ściągnęła za sobą radcę, aż ku parkowi, a reszta rodziny długo się się nie mogła poruszyć z miejsca, przybita jęj przytomnością umysłu, swobodą i odwagą.

— Babciu! zawołał Karol w uniesieniu, podbiegając do szambelanowej, tyś ją potrzebowała uściśnąć, a mnie się chciało paść jęj do nóg, taka była piękna i... wielka. My przy nięj wydawaliśmy się robakami.

— O! o! przerwała panna Hortensya — dla pana to cudowne — ale dla nas okropne — ohydne... Cynizm ubrany w róże...

To mówiąc zerwała się z miejsca i uciekła, trzaskając drzwiami. Hernaszowie nie ruszali się, on sam nie śmiał się poddać żadnemu wrażeniu, nie spytawszy żony, a na jęj kwaśnej twarzy nie nie widać było oprócz podrażnienia...

Zwróciła się wreszcie do męża, popatrzała na niego — i najprzód groźnie zawołała:

— Znowu zażywałeś tabakę?

— Ja? tabakę! ale gdzie? gdzie?

— Jutro rano wyjeżdżamy — dodała hrabina — podaj mi rękę. Od tych scen głowa mi pęka. Radca bez taktu.

— Najmniejszego taktu...

— Familia wychodzi... pięknie... Było nas po co sprowadzać... koszta...

— Ja mówiłem — szepnął hrabia...

Z tém wyszli... W salonie została szambelanowa. Dyakowska i Karol rozmawiali jeszcze o tém co zaszło, gdy wszedł kanonik blady, z twarzą, na której się malowała ciekawość niespokojna.

— Czy mi też państwo z łaski swój nie objaśnią, co i jak tu zaszło?... Od panny Hortensyi, która dostała płaczu i śmiechu konwulsyjnego, nie się dowiedzieć nie mogę...

Karol się przybliżył.

— Panna Ada wyszła z tryumfem, rzekl. Oświadczyła nam, że za mąż iść nie myśli, a razem, że gdyby co podobnego przyszło jój kiedy do głowy, naówczas cała rodzina, ani nikt w świecie nie mógłby jój od spełnienia swój woli odciągnąć.

— *Ah! c'est bien clair!* rzekl kanonik z pewnym przekąsem.

— Tymczasem zaś — za mąż iść nie myśli.

— *Cela n'est pas bien clair!* ciszej odezwał się kanonik....

— Ale cudowna była, powiadam hrabiemu — odezwała się szambelanowa — cudowna, gdy nam to mówiła! Z takim umysłem spokojnym, z taką werwą... taka była śliczna, żem ją uściskać musiała!

— A inny przed nią chciał uklęknąć — dodał Karol.

Kanonik zwrócił się ku panie Dyakowskiej szynersko nieco :

— A pani ?

— Ja wysoki dla jój charakteru powzięłam szacunek — odpowiedziała spytana cicho....

— Wszystko więc jak najszcześliwiej się składa na tym najlepszym ze światów — zakończył hrabia — a hrabiowstwo Hernaszowie ?

— Poszli spocząć....

— A nasza gospodyni ?

— Oprowadza go po swym parku, pana radcę....

— Ale — możebym ja mogła być w czém pomocą panie Hortensyi? — rzekła ruszając się i prosząc o pozwolenie szambelanowej Dyakowska.... Zastębia.... nie ma może nikogo przy sobie.

— Owszem, rzekł kanonik.... panna Karolina jest przy niej ... i służąca....

Prałat siedział długo niemy, nie pytając już więcej.

Zbliżała się godzina obiadu — i salon powoli się znowu napełniał. Przybył pułkownik naprzód, potem Obłęcki, za nimi reszta....

Przykrój sceny nie pozostało innego śladu, tylko na twarzach tych co jój byli uczestnikami. Wkrótce też Ada z radcą powróciła z parku, i opiekun uwolniony, po odejściu jój do salonu, mógł otrzeć

pot z uznojonego czoła, zebrać myśli, zrobić obrachunek sumienia.

Był najpewniejszy, że całe jego wystąpienie najtrafniejsze było, że nie popełnił najmniejszej omyłki, rozwinął energię, dowiódł taktu i spełnił swą misję znakomicie. Czekał tylko, aby mu kto z rodziny uczynił zarzut, gotów się bronić i dowodzić, iż bezskuteczności zabiegów, oni nie on byli winni. Usiłował być rad z siebie i wmówić to sobie — chociaż w duszy czuł, że postąpił niezgrabnie i nieudolnie....

Zbliżył się do niego kanonik z wyrazem twarzy politowania pełnym.

— Słyszeliście? zapytał radca — wystąpiłem energicznie co się zowie — i mogę sobie oddać tę sprawiedliwość, z takim taktem, że nawet chmurki na jej czoło nie wywołałem. Wszystko bajki, jako żywo, plotki, przywidzenia Hortensyi, kobieta ani myśli o niczym! Śmieje się z tej suppozycji.

— Tak? spytał kanonik.

— Najniezawodniej. Najszczerzą, najotwartzą była ze mną. Kobieta z charakterem i — uwielbienia godna.

Spojrzawszy na kanonika i widząc uśmiech na jego twarzy niedowierzający, radca dodał:

— Cóż? nie?

— Charakter istotnie godzien podziwu — energia wielka.... Co się tycze jej myśli, zamiarów i przy-

szłości.... za nicbym nie ręczył! Polećmy ją opte-
ce bożej....

— E! za mąż nie pójdzie! rzekł radca — nie —
ceni swą niepodległość. Nie może to być.... Spoko-
jny jestem....

Kanonik się znowu uśmiechnął.

— Zresztą — zakończył opiekun, familia! fa-
milia spełniła swój obowiązek.... uczyniliśmy co
mogli i byli powinni. Trudno.... Gwałtu jój zadać
nie możemy. Co będzie, to będzie — a ja wierzę
w nią i ufam, że nedorzeczności nie popełni.

— Co, daj Boże — Amen! westchnął kanonik....

— Proszę panów do stołu! odezwał się głos
Ady.... do stołu! Gdzież panna Hortensya?...

— Zdaje mi się, że nie przyjdzie, bo się czuje
niedobrze — rzekła panna Dyakowska wracająca
od niój....

— Poszlemy jój obiad do pokoju — odparła Ada—
ale, przecież doktora nie potrzebuje?

— O! nie — jest już lepiej.... Karusia siedzi
przy niój.

Dwa więc miejsca zostały opróżnione.... Hra-
bówstwo, na których poczekać musiano, zjawili
się wkrótce. Sama była mileżąca bardzo. W cza-
sie obiadu wpatrywała się w familijne portrety,
i mało co jadła. W rozmowie od niechcenia na-
pomknęła, że interesa męża zmuszają ich naza-

jutrz Ruszków opuścić, przeciw czemu opozycyi nie było... Ubolewała Ada, że bawili tak krótko — ale interesa są tyraniczne...

Szambelanowa, której ciężar spadł z bark, odzyskała apetyt przy obiedzie i wesołość. Mniej obojga miał radca, który czuł się zmęczony po niezmiernym wysiłku porannym... I on także dawał do zrozumienia, że się obiecał wkrótce z powrotem na pewny zjazd obywatelski, tyczący się dróg, które należało ulepszyć...

Wpadł na tę kwestyę komunikacyi, i mówił o niej rzeczy wielce zajmujące, których nikt nie słuchał... Pułkownik niekiedy dawał mu potwierdzające znaki głową i po słówku dorzucał. Karol zajęty podróżowaniem po twarzach, szyderskim wyrazem ust niemych niepokoił... Dzień to był dla niego wielkiej uciechy... *Bona causa triumphat!* powtarzał... i ręce zacierał. Każdy dobry figiel, nazywał się u niego *bona causa*. Pospuszczane na kwintę nosy familijne, kwaśne humory, które starano się połatać na pozór wesołemi fizyognomiami — choroba nawet panny Hortensyi, o której głośno mówił z wielką powagą, że się lęka, aby żółtaczka nie była — bawiły go i rozochoçały tak, że i sam pił więcej niż zwykle, i radcę, i sąsiadów w imieniu gospodyni poił — za każdym razem pytał jój o pozwolenie działania

w jój imieniu i marszałkowania, na co mu nieograniczone dano pełnomocnictwo.

Pił zdrowie radcy, który bladł z gniewu, zdrowie gospodyni, zdrowie swoje, kanonika, i w miarę jak inni dąsali się coraz bardziej, on stawał się coraz więcej roztrzepany. Szambelanowa, choć głową kiwając, dawała mu znaki aby nie szalał—śmiała się z conceptów i nie gniewała za nie.

Ada utrzymała się w zwykłym swym tonie, ze swobodą umysłu, która się żadnego przejścia domyślać nawet nie dawała. Chciała okazać, że na nią to nie uczyniło najmniejszego wrażenia....

Poobiedni czas zszedł zwykłym trybem, gdyż goście mieli zawsze swobodę rozporządzania nim, jak się im podobało. Radca, rzuciwszy okiem gniewnóm na pana Karola, ale zaczepiać go nie śmiejąc zniknął, wynieśli się hrabiowstwo dla przygotowań do podróży, kanonik poszedł do siebie, a Karol babuni zaproponował wiszczka (aby czasu nie tracić), wciągnąwszy doń pułkownika i pannę Dyakowską, która mu się oprzeć nie umiała.... Ada przechadzała się, gospodarowała, zajmowała domem i gośćmi—będąc ciągle czynną.

Nie zaszło już tego dnia nic takiego, coby uwagi było godne. U panny Hortensyi tylko odegrywała się ostatnia scena tego małego dramatu....

prawie bez świadków.... Wróciwszy z salonu, zaczęła płakać, dostała serdecznego śmiechu, mdłości, musiano jej rękę związywać, dawać krople uspakajające, rozebrano i położono do łóżka. Po krótkim spoczynku wstała, osłabiona, lecz z gniewem większym może niż przed spazmami. Nie chciała sprawy tej dać za przegraną.... W jej przekonaniu kanonik, który od wszystkiego ręce umył, radca, nie mający ani energii, ani taktu, Hernaszowie milczący gdy wystąpić należało, szambelanowa bezsilna i dająca się powodować Karolowi, наконец zdrajca niecny — Karol, byli winni upokarzającej tej przegranej.... Ada tryumfowała.... Dla panny Hortensyi, której nienawiść ku niej tém się więcej wzmagała, że była bezsilną — zwycięztwo znienawidzonej największą stawało się klęską!! Nie mogła dozwolić.... zawsze z przywiązania wrzekomego — w interesie moralności, aby ten romans ciągnął się tak dalej bezkarnie i skończył u ołtarza....

Bądź co bądź — musiała coś przedsiębrać. Szukała tylko środka, którymby działać mogła...

Zwlokłszy się z łóżka, odprawiła służącą, siadła w fotelu przy stoliczku, u którego pisywała korespondencye — i zadumana spędziła tak całe poobiedzie, przemyślając coby mogła zrobić, aby szykły pomieszać i rozerwać ten gorszący związek.. .

Mrok już padał — gdy nagle panna Hortensya, jakby uderzona szczęśliwym pomysłem, rzuciła się, uderzając w chude ręce.

Było to archimedesowe — *Eureka!* Twarz się jej wyjaśniła, palce zadrgały, fotel zwróciła ku stolikowi, chwyciła papier i pióro... siadła pisać....

Nim jednak rozpoczęła... poszła wprzód za-ryglować drzwi, aby jej nie przeszkadzano... Po gwałtownym paroksyzmie, zamknięte podwoje mogły znaczyć, że znużona potrzebowała spoczynku... W téjże chwili siadła do roboty. Oczy jej znowu się zaiskrzyły, usta uśmiechnęły... Wypracowanie dwa razy przepisywane, przekreślane, poprawiane, a po raz wtóry charakterem zmienionym skopionwane, tak aby ręki poznać nie było można — następującej było treści:

„Chodzą tu wieści u nas, że pewny młodzieniec z Grodzieńskiego, któremu imie Robert, mocno zabiega i stara się o pozyskanie rączki dojrzałej panny milionowej. Nie kosztuje go nic ani upodlenie, ani pochlebstwo, ani płaszczenie się, byle się udało fortunę zagarnąć. Pannę potrafił pono omamić na chwilę — lecz czy to potrwa aż do kobierca? wątpliwa rzecz. To pewna, że młodzieniec postępowaniem swém familii własnej zaszczytu nie robi. Nie chce mu się pracować na chleb

uczciwie, woli gotową chwycić własność cudzą, zapisując się w niewolę....

„Praktycznego tego rozumu syna, czujemy się w obowiązku ojcu powinszować!! Zawsze to piękna rzecz i dowodzi sprytu, przyjść tak do gotowego i przy spódniczce pokorne zajmąwszy miejsce.... wygodne sobie życie prowadzić. Choćby się nie udało.... popróbować warto....

„Drudzy mówią: — srom i hańba — a ja chwałę młodzieńca — rozum ma.... wie co grosz wart.... Honor fraszka, fortuna to grunt.”

Może tam było i co więcej jeszcze — bo panna Hortensya raz zasiadłszy do pisania, nie łatwo rzucała pióro, i wstrzemięźliwości nie znała ani w gniewie, ani w korespondencyi....

Gdy kartka ta była gotowa, spaliła starannie brulion u świecy, oryginał włożyła w kopertę, dobiła jakąś pieczętkę tajemniczą z szufladki, która już zapewne nieraz do podobnego użytku służyła.... Iak nawet dobrała dziwnego koloru niezwyuczajny, i przygotowała list, położywszy adres na nim.... Oddawać go jednak wprost na pocztę było niebezpiecznie — ukryła więc pismo w drugiej kopercie, dodając do niej słów kilka, i do jakiejś zaufanej osoby zaadresowała....

Wieczorny posłaniec mógł go już wziąć na pocztę, a nazajutrz miał biedz do miejsca swego przeznaczenia.

Dopełniwszy tego panna Hortensya odetchnęła, uspokoiła się, obejrzała weselęj po świetle, odrygłowała drzwi... Twarz jęj wróciła do tego poprzedniego wyrazu z umiarkowaną złościwością znośną, do której wszyscy byli przywykli...

Gdy później nieco weszła panna Karolina, aby się o jęj zdrowie dowiedzieć, znalazła ją, jak to się nerwowym osobom trafia — zupełnie ozdrowiałą... prawie uśmiechniętą.

— Przepraszam was za kłopot, któryście miały ze mną, rzekła do Sensytywy, taką mam niegodziwą naturę, że mnie każda rzecz zbyt obchodzi. Biorę wszystko niepotrzebnie do serca.... Teraz to już przeszło — sen mnie orzeźwił....

Ale, moja Karusiu kochana! zapomniałam wiecznie listu do mojęj poczciwęj Rabskięj oddać na pocztę. Leży od rana.... Gdybyś też była łaska wa go teraz choć wysłać!

— Bardzo chętnie — proszę dać — biegnę.... odezwała się Karusia, rada że się wyrwie ze szpon kuzynki, która ją nieznośnie musztrowała....

Przez pannę Karolinę dowiedziano się w pałacu, iż panna Hortensya już zupełnie przyszła do siebie. Troskliwi o nią, chcieli ją odwiedzić, okazując współczucie, ale — obawiali się wymówek.... i pojedynczo nikt się nie odważył. Wzięto dla obrony szambelanową po skończeniu wiszcza.... i ceremonialnie odbyła się wizyta kondolencyjna,

przy której mowy o niczym nie było. Wszyscy się wynieśli prędko....

Nazajutrz rano, po bardzo chłodnym pożegnaniu, hrabstwo wyruszyli w podróż. Radca miał się wybrać po śniadaniu. Szambelanowa chciała wypocząć jeszcze, a gospodyni mocno ją prosiła o to.... Dobry stół, wesołe towarzystwo, swoboda wiejska, uśmiechały się staruszce. Nie miała wprawdzie swych partnerów zwykłych do wista— ale grać zawsze było z kim, choć przy pomocy dziadka.... Karol nie nudził się także i przysiadł do Sensytywy, z którą, z tytułu kuzynostwa, bardzo a nawet trochę nadto był poufały — a biedna istota z bojaźni i nieśmiałości, opierać się jego czułościom nie mogła.

W pół żartem, powiadał, że się kocha w panie Karolinie. Szambelanowa wierzyć nie chciała: — Gdzie tobie się kochać w tym fijołku — co trzech zliczyć nie umie! Bałamut jesteś jak zawsze — i po wszystkiém....

Zaraz po wyjeździe głównych filarów rodziny, przybył Robert, którego wezwano, aby się stawił. Ada przyjęła go jako dobrego sąsiada, poufale, serdecznie, ośmieliła, zbliżyła do szambelanowej, a tak ciągle okazywała umysł swobodny, że staruszka, jak nie wierzyła w miłość Karola dla Sensytywy — tak zwątpiła też o miłości Ady dla Roberta.

— Ładny chłopak, miły, rozsądny. Innaby się pewnie mogła takim mężem uszczęśliwić — ale dla Ady!! Ho! ho! téj potrzeba czego innego. Wyimaginowali sobie i po wszystkiém. Ona artystka, patrzy na niego jak na ładny obrazek — bo chłopiec co się zowie piękny, — ale żeby tam co więcéj było! — dalipan, nie wierzę.

Mówiła to przed Dyakowską, powtarzała przed Karolem, który słuchał, uśmiechał się, nie przeczył....

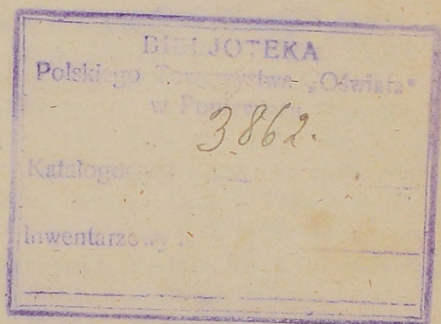
W ciągu pobytu szambelanowój, który trwał jeszcze dni dziesiątek, Robert był bardzo częstym gościem w Ruszkowie. Ze śmiałością, na którą tylko kobiety się zdobyć umieją, Ada czasem przechodziła z nim do drugiego pokoju, aby móżdż mu kilku słowami poufałemi osłodzić oczekiwanie rozmowy sam na sam.... Stawała tylko z daleka i nie dopuściła więcéj, aby się brat zapomniał, że był — tylko bratem.

Ze staruszką przyjaźń się zawiązała równie dobra jak z panem Karolem. Gdy nadeszła chwila wyjazdu, Ada ją odprowadzała o dwie mile powozem, Robert konno.... A pięknie mu było tak, na dziarskim koniu, że szambelanowój przypominało to bardzo dawne czasy, pewnych ułanów.... jak on pięknych i młodych — i lzy jéj w oczach stawały. Robert dokazywał ze swym siwkim co chciał — sadił przez rowy, przeskakiwał płoty....

uganiał się po polach.... powracał.... Ada z dumą na niego patrzyła.... a szambelanowa żegnając go, zapomniała się i pocałowała w głowę....

Karol ściskając go po bratersku, tak szybko mu w ucho rzucił: — Proś mnie na wesele! — że Robert nie miał czasu odpowiedzieć.... Koczyk ruszył z miejsca, i tumany kurzu tylko widać było na gościńcu.

Koniec Tomu II-go.





1881

Всего в 1881 году было
выдано 1000000 рублей
на содержание
всех учреждений
и на прочие нужды
государства
в том числе
на содержание
всех учреждений
и на прочие нужды
государства

NÓWSZE DZIEŁA

wydane Nakładem i Drukiem Księgarni pod firmą:

JÓZEFA ZAWADZKIEGO
w **Wilnie.**

Zdanowicz Aleksander i Leonard So-
wiński, RYS DZIEJÓW LITERATURY
POLSKIEJ: Tom I. 1874. Str. nieliczb. XI i
760; Tom II. 1875. Str. VIII i 501; Tom III.
1876. Str. IV i 791; Tom IV. 1877. Str. XI i
837; Tom V. 1878. Str. X i 322. W ogóle Str.
3,345 w wielkiej ósemce. Cena 5 Tomów rs. 12.
Z przesyłką rs. 13.

Baliński Michał, PAMIĘTNIKI O JANIE
ŚNIADECKIM jego życiu prywatnem i publi-
cznem i dziełach jego, (treść ich dotyczy głównie
Historyj b. Uniwersytetu Wileńskiego), ozdobione
1 litografią i 2ma drzeworytami. 2 Tomy in 8vo,
1420 str. ścisłego druku. 1864. Cena niższa
z 6 rs. na rs. 3.

Chodźko Ignacy, DZIEŁA KOMPLETNE

11 Tomów in 12. Cena Katalogowa rs. 12 k. 50.

Osoby nabywające cały komplet otrzymują 11 Tomów za rs. 5.

Gołuchowski Józef, DUMANIA NAD NAJWYŻSZEMI ZAGADNIENIAMI CZŁOWIEKA,

poprzedzone historycznem rozwinięciem głównych systematów filozoficznych, od Kanta do najnowszych czasów. 2 Tomy. 8. T. I. Str. 643.

T. II. Str. 480. 1861. (Cn. dawna 5 rs.) Cn. zn.

na rs. 2 k. 50.

Kraszewski J. I., WILNO, od początków

jego do roku 1750. Historyja tego miasta, za-

wierająca szereg wypadków, jakich ten starożytny

gród Litewski w ciągu kilku wieków doznał; ko-

lei, przez jakie przeszedł; i wszystkich najdro-

bniejszych szczegółów pod jakimkolwiek wzglę-

dem go dotyczących.— Całe dzieło składa się

z 4-ch tomów, in 8vo, około 110 ark. druku obej-

mujących, z dawnym herbem miasta, i portretami

Krolów polskich — Wielkich Książąt Litewskich,

widokami Świątyń, bram miejskich, grobowców,

krajobrazów, w liczbie 20, i 2ma planami, jeden

z r. 1560, drugi w arkuszowym formacie zrobiony

z roku 1840. Z rycinami litogr. i portretem Wi-

tolda na stali. 1840—42. (Cena dawna 8 rs.)

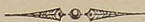
Cn. zn. na rs. 4.

— **PAMIĘTNIKI JANA DUKLANA OCHOCKIEGO,**

z pozostałych po nim rękopismów prze-

pisane i wydane. 4 tomy 12. 1857. (Cn d. 6 r.)

Cn. zn. na 4 r.



Rivine źródła
30. XI. 62 r.